ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XVI. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXII.

TOM II. — ZESZYT III.

Czerwiec.

WARSZAWA.

1891.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29 Senatorska, 29

SPIS RZECZY.

Zeszyt niniejszy zawiera arkuszy 13.

Druk ukończono dnia 6 czerwca 1891 r.



CHWILA DZISIEJSZA.

Według ogólnego twierdzenia myślicieli, ekonomistów i socyologów, jesteśmy w okresie wielkiego „uspołeczniania“ cywilizacyi. Przyszły jéj okres, którego wiek XX ma być okresem, będzie okresem cywilizacyi społecznéj. To znaczy, że sprawy, tyczące się życia i rozwoju społecznego, wysunięte zostały na pierwszy plan przed wszystkiemi innemi, zajęły pierwsze miejsce w uwadze działaczy państwowych, teoretyków, myślicieli i obserwatorów. To ma znaczyć także, że z zapasów, jakie się tworzą między indywidualistami a społecznikami, ci ostatni wyjdą zwycięsko, a pierwsi zostaną pokonani. Ogólnie biorąc, ten ciekawy proces przeobrażania się ustroju i ducha cywilizowanéj ludzkości, jest tylko dalszym etapem w rozwoju demokracyi. Przed stu laty, wielkie zwycięstwo odniosła demokracya polityczna, dziś takie samo rokuje sobie demokracya społeczna. Przed stu laty obalono wielkiego potwora, który się nazywał feudalizmem, dziś szykują się do obalenia innego potwora — indywidualizmu, który się nazywa kapitalizmem. Wówczas przeciwnikiem demokracyi była arystokracya rodowa, dziś — jest mieszczaństwo. Różnica jest ta, że przed stu laty, było ono atakującém, dziś jest atakowaném.

Wogóle dopatrują obecnie częste analogie między końcem zeszłego a naszego stulecia. Nie wdając się tutaj w ich sprawdzanie szczegółowe, zaznaczyć jednak można, że te dwa momenta historyczne mają wiele niezaprzeczonych podobieństw, że i przed jednym i przed drugim leży góra nagromadzonych do regulowania lub likwidacyi rachunków. Zacięta agitacya, jaką w zeszłém stuleciu prowadziła wolnomyślna filozofia przeciwko ustalonym powagom, przywilejom i nadużyciom uprzywilejowanych powag i klas społecznych, przypomina dzi-

siejszą agitacyę. Wprawdzie przywileje, powagi i tradycye, wyobrażane wówczas przez monarchię, kościół i arystokracye zostały obalone w Europie zachodniéj; wprawdzie w sferze wiary, sumienia i swobody obywatelskiéj, zniesiono tam oddawna wszelkie krępujące pęta. Ale na ruinach starych przywilejów — odpowiada na to agitacya tegoczesna—pozostał nietknięty jeden, który za nie częstokroć wystarczy. Tym przywilejem i tym tyranem jest kapitał, niwelujący wszystko, niżéj od niego położone, bez miłosierdzia i bez najmniejszego zgiełku.

W zeszłym roku, te zaprzątające całą myślącą ludzkość tak zwane kwestye społeczne i interesy klas wydziedziczonych, doczekały się uroczystéj sankcyi najwyższéj władzy politycznéj. Zanadto dobrze wszyscy mamy w pamięci hałas i dyskusye, wszczęte w czasie zwołania przez Wilhelma II słynnéj konferencyi robotniczéj w Berlinie. Jedni przepowiadali mu los Ludwika XVI, inni witali już wschodzącą zorzę państwa socyalistycznego, a Juliusz Simon powiedział, że wiek XX właściwie już się zaczął, podobnie, jak wiek XIX został otwarty razem ze zwołaniem Stanów generalnych w roku 1789. Wprawdzie owa sławna konferencya nie osiągnęła wybitnych pozytywnych rezultatów i dowiodła braku chęci, a może i możności rządów do międzynarodowego rozstrzygania kwestyi robotniczéj i przemysłowéj; wprawdzie zapowiedziany przez Wilhelma II w wielkim stylu okres reform socyalnych zwolnił swoje tempo, lecz niemniéj inicyatywa cesarza niemieckiego została faktem wielkiéj doniosłości. Nie zaczęto jeszcze „rachunku społecznego“, ale przystąpiono do badania gruntu, na którym ma się rozstrzygać wielka kwestya pracy.

Wilhelm II, który jest obecnie jedną z najciekawszych postaci politycznych w Europie, sprawił jéj wówczas dużą niespodziankę. Wystawiany przez stronnictwo liberalne, jako typowy, zajadły junkier, zamknięty w kastowych pojęciach militaryzmu pruskiego, ukazuje się nagle, o ile mu stanowisko pozwala, na wysokości zagadnień czasu. Mówimy o jego stanowisku, bo pamiętajmy, że monarchia z natury swojéj jest instytucyą zachowawczą, że ustępstwa, jakie czyni kosztem interesów zachowawczych, dyktują jéj tylko nieubłagane wymagania czasu.

Bądźcobądź, młody ten monarcha jest przedmiotem wielkiéj uwagi ze strony inteligencyi europejskiéj. Nawet młode pokolenie Francuzów, o którém obecnie wiele piszą i mówią, a które wziąwszy rozbrat z mieszczańskim liberalizmem w polityce, naturalizmem w literaturze i pozytywizmem w filozofii, zamiast dążeń indywidualnych, stawia sobie ideały społeczne, odzyskując w nie powoli wiarę, ma zwrócone oczy i uwagę na „cesarza robotników“, jak Wilhelma czas jakiś

nazywano. Minął już wprawdzie pierwszy dla niego entuzyazm, lecz zainteresowanie się trwa, podniecane jego podróżami, mowami, wygłaszanemi na manewrach, konferencyach i t. d.

Jednocześnie jest on wodzem i moralistą, politykiem i pedagogiem. Legitymizm nie przeszkadza mu sprzyjać socyalizmowi, a patryalchalne niemal pojmowanie obowiązków monarchy, pragnie pogodzić z wszelkiemi nowożytnemi i nowemi wyobrażeniami. Nie jest zapewne Napoleonem, ani Fryderykiem, ale ktoby chciał szukać koniecznie analogii w historyi, dostrzegłby ją może między Wilhelmem II a Henrykiem IV.

Niewątpliwie, że przewodnie myśl agitacyi tego „społecznika“ leży w idei wytworzenia syntezy między przeszłością a przyszłością, pogodzenia bez gwałtownych i krwawych wstrząśnień kapitalizmu z socyalizmem. Kompromis to niezmiernie trudny, a może niewykonalny. Stoimy już oddawna wobec teoretycznych, a stanąć możemy wobec faktycznych zapasów monopolu kapitalistycznego z dążeniami mas, indywidualizmu z niwelacyą, hierarchii z demokracyą.

Zadanie rozjemców i pośredników w takich przełomowych epokach nigdy nie było łatwém i wdzięczném, a zawarcie kompromisu między dwoma wielkiemi, zasadniczemi stronnictwami ustroju społecznego: zachowawczém i uprzywilejowaném, a rewolucyjném i wydziedziczoném, kończyło się najczęściéj zgrzytliwym dysonansem, nienawiścią i śmiertelną walką. Thiers słusznie mówi, że w takich epokach „stronnictwa polityczne mają zawsze jedną myśl, chociaż nie zawsze przyznają się do niéj, to jest zgniecienie wszystkich swych przeciwników“.

Tak czy inaczéj, czy intencye Wilhelma II będą błogosławione, czy przeklinane, czy panowanie jego będzie wielką reformacyą społeczną, czy poronioną i spóźnioną próbą harmonii, inicyatywa jego stanęła na wysokości zagadnień czasu.

Te zagadnienia dojrzały już do tyla, że idee politycznego prawodawstwa okazują się wobec nich bezsilnemi. Stare recepty i powierzchowne leki nie wystarczają dla nowéj dyagnozy. Zasada powszechnego głosowania, zasada samorządu, parlamentaryzm ze swemi mdłemi i nieskończonemi rozprawami, samopomoc i stowarzyszenia, nie dopięły celu, nie zadowolniły massy. Na ich kredyt zapisać tylko można, że rzuciły światło na niwę społeczną, wytworzyły samowiedzę stronnictw i jasność ich programów, wykazały bezsilność półśrodków i półcelów.

Największy więc interes, a może i przyszłość sprawy społecznéj leży obecnie w Niemczech. Kościół socyalistyczny, jeśli tam nie ma

swéj widoméj głowy, to tam właśnie ma największą liczbę i najżarliwszych swych wyznawców. Nie dziw więc, że sprawy społeczne, interesujące w wysokim stopniu ludy europejskie, zwróciły wielką uwagę tego ogółu na Wilhelma II, od chwili, kiedy zapowiedział „nową erę“ i stał się wyznawcą cywilizacyi społecznéj. Poświęciliśmy mu też w tym przeglądzie dłuższą wzmiankę, z uwagi, że interesa, prądy i dążenia tegoczesne mają w nim, mniéj lub więcéj, swego rzecznika.

Kiedy z jednéj strony przygotowuje się emancypacya niższych klas społecznych, stanowiących ogromną większość narodów cywilizowanych, lecz dotychczas odsuniętą od korzystania z postępu, wygód i zdobyczy cywilizacyjnych, bo całą ich energię, życie i zdrowie pochłania fatalna walka o byt, to z drugiéj strony, tę mniejszość, stanowiącą tak zwany kwiat i szczyt ludzkości, korzystającą z wszelkich nabytków i zbytków cywilizacyi, toczą rozmaite zwyczajne i wyrafinowane choroby. Klasy bogate, a nawet inteligencya europejska, przechodzą kryzys. Najbieglejsi dyagnostycy społeczni zgadzają się na to. Filozofowie i lekarze chorób umysłowych, publicyści i socyologowie, powieściopisarze i poeci, w swoich książkach, artykułach i występach publicznych, stawiają dyagnozę choroby, wyższym i inteligentnym sferom społecznym, już to zdenerwowanym życiem pożądliwém i gorączkowém z utratą równowagi moralnéj, już to w gorączce złota i walce o byt pozbawionym zasad moralnych, których miejsce zajęły antyhumanitarne i antyspołeczne instynkty. Litania tych chorób społecznych jest niezmiernie długą, a analiza ich obejmuje całą sferę życia. Od najprostszéj hygieny, aż do naczelnych zagadnień ludzkości ci okrutni analitycy przebiegają wszystko i odkrywają nurtującego społeczność raka, któremu dają rozmaite nazwy: zaniku ideału, niemocy woli, brutalnych instynktów, podniesionych do wysokości zasady naukowéj pod firmą „walka o byt“ i t. d.

Dyagnostycy ci noszą nazwiska świetniejące blaskiem znakomitych talentów, i czy są głośnymi rozmansopisarzami, jak Zola, Bourget albo Daudet, czy publicystami i obserwatorami, że tak powiem, temperamentu wieku, jak Nordau, Kraft-Ebing lub Mantegazza, stwierdzają przesyt i upadek warstw wyższych.

W literaturze dzisiejszéj, któréj naczelném hasłem jest jeszcze zawsze możliwie dokładne odtworzenie rzeczywistości, przeważa a nawet panuje bezbrzeżny smutek i pesymizm, który, nawiasowo mówiąc, dziennikarze warszawscy, o ile się w naszéj pojawia beletrystyce, palcami wytykają. Otóż w téj, pozostającéj w ściśléj zgodzie z rzeczywistością literaturze, jednostki szlachetniejsze, obdarzone

organizacyami wrażliwszemi i głębszemi, lecz jednocześnie delikatniejszemi, upadają pod naciskiem mechanizmu życiowego, ustępując miejsca płytkim i marnym aferzystom i karyerowiczom, a same, wpadając w zniechęcenie i odrętwienie moralne, przychodzą do wniosku, że „najwyższą rozkoszą życia jest boleść“.

Zjawisko, o którém mówimy, jest jednèm z najciekawszych znaków czasu, i niezmiernie ważnym dokumentem do cywilizacyi, jeżeli tak powiedziéć wolno. W saméj rzeczy ta demoralizacya, przekwit, zwątpienie lub dekadencya, jak się dzisiaj ogólnie wyrażają, klas bogatych i całego „wyższego świata“, a z drugiéj strony wielka energia i wielka wiara nizin społecznych, skupiających się, dążących do solidarności i następnie emancypacyi, ta sprzeczność między górnemi warstwami a wielkiém morzem ludzkiém, zwaném ludem, gminem lub proletaryatem, znamionuje przełom, a może nową erę w historyi ludzkiéj. Ogólne prawo ewolucyi wymaga, żeby organizmy pojedyncze lub zbiorowe, które dosięgły kulminacyjnego punktu w swoim rozwoju, kostniały, rozkładały się i ustępowały miejsca innym. Ostatni okres cywilizacyi, który nazwać można cywilizacyą mieszczańską, dochodzi zapewne w zachodniéj Europie do tego stanu skostnienia. Dlatego tak bardzo zawadza nowym aspiracyom społecznym, dla tego przeciwnicy, nie bez pozorów słuszności może, odmawiają mu prawa do panowania, dlatego skazują go na zagładę, dla tego także „nowa era“ w Niemczech, znalazła odgłos i wywołała tyle dyskusyi wszędzie, bo mniéj lub więcéj, szczerze ogłosiła się za przedstawiciela tych nowych aspiracyi.

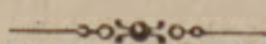
Możemy się spotkać z zarzutem, że akt oskarżenia, napisany przeciwko mieszczaństwu przez szkołę socyalistyczną, jest naciąganym. Lecz my go ani nie rozbieramy, ani nie zbijamy, ani nie popieramy. Dajemy tylko bardzo powierzchowny szkic stanu obyczajowego i społecznego, na zasadzie tych spostrzeżeń, jakie dostarczają literatura, sztuka i publicystyka, które o ile są dziełami talentu i obserwacyi, pozostaną najważniejszemi dokumentami do wniosków i sądów w teraźniejszości i przyszłości.

B. Lutomski.





SUBIEKTYWIZM KOBIÉT.



I.

Każde zjawisko zewnętrzne, bez względu na jego naturę, a więc zarówno najzwyczajniejszy przedmiot jak i dzieło sztuki lub nauki, krajobraz, jednostka towarzyska, odrębna jakaś grupa społeczna czy narodowość—dwojakie w świadomości naszéj budzą wrażenia, to jest: wrażenia uczuciowe, jak większe lub mniejsze upodobanie, sympatyę, albo niechęć, oraz wrażenia intelektualne, to jest świadomość znamiennych cech i charakteru danego przedmiotu. Przez wrażenia uczuciowe poznajemy właściwie skutki, jakie wywołuje dane zjawisko, przez wrażenia dopiéro intelektualne wytwarzamy sobie pojęcia o głównych cechach i zawartości danych przedmiotów. Dwie te kategorye wrażeń zachowując się w naszéj pamięci — są źródłem, z którego czerpiemy następnie, wytwarzając sądy i rozumowania. Im zaś w sądach wogóle uwzględniać będziemy w większéj mierze świadomość wrażeń swych uczuciowych, jak: sympatya, zachwyt, smutek, radość i t. d. tém przedmioty te sądzonemi będą mniéj dokładnie, mniéj jasno i bezstronnie; przeciwnie, im bardziéj przytłumiać je zdołamy, a raczéj izolować sądy i rozumowania od wpływu świadomości tychże stanów psychicznych, tém sądy te będą wielostronniejsze, szersze i bezstronniejsze. Przyczyną tego prostą bardzo jest fakt, iż inteligencya nasza posiada pewien tylko ograniczony zasób energii, jeżeli zaś energię tę zużyjemy w jednym kierunku, brak jéj okazać się musi w drugim. Są ludzie, którzy nie umieją zupełnie odrywać uwagi od własnych uczuć, cierpień a chociażby radości; ale patrząc przez nie jak przez równobarwne szkła na wszystkie zjawiska zewnętrzne, przynoszą do każdéj rozmowy, do każdego sądu, do każdego poglądu kryty-

cznego cząstkę swych najgorętszych pragnień, cząstkę, że tak powiem swych osobistych interesów. Od takich osób oczekiwać niepodobna opowiadania faktów dokładnego, oceniania indywidualności bestronnego, zdawania relacyi z jakichkolwiekbądź spraw prawdziwego: będą one wszędzie i zawsze ze szkodą drugich uwzględniać własne tylko poglądy i upodobania, jeśli nie wprost to drogą uporu i wytrwałości, albo co gorsza, drogą podstępu i przemocy. Inni przeciwnie, a należą do nich ludzie silnego zazwyczaj charakteru, umieją świadomość stanów psychicznych w sobie przygłuszać i zabraniać jéj niejako wstępu do tego laboratoryum myślowego, w którém się wytwarzają sądy i rozumowania, wiedząc, iż na świadectwie uczuć i pragnień osobistych polegać nie można gdy chodzi o osądzenie przedmiotu ściśle i prawdziwe. W tém dopiéro wyosobnieniu myśli, do którego nie dochodzi echo upodobań i interesów osobistych i praktycznych, obserwują, analizują, krytykują dany przedmiot albo zjawisko bezstronnie i wszechstronnie. Umysły pierwszych charakteryzuje rodzaj egoizmu intelektualnego, który nie dozwala myśli wydobyć się z pod wpływu własnéj indywidualności: umysły takie nazywamy subiektywnemi; w działalności intelektualnéj drugich, spostrzegamy przeciwnie bezinteresowną wytwórczość myślową, dla któréj jednostka zrzeka się chwilowo świadomego poczucia swéj indywidualności: umysły te są obiektywnemi. Powiedzieć zatém można, że subiektywizm jestto ścieśnienie myśli w zakresie wrażeń psychicznych, czyli, co na jedno wyjdzie, jest to naciąganie sądów do potrzeb własnéj indywidualności; obiektywizm zaś, jestto przenoszenie myśli wkolo wrażeń czysto intelektualnych, czyli jestto dążenie bezinteresowne do poznania prawdy.

Ale — gdyby subiektywizm ograniczał się na tém ścieśnianiu myśli ludzkiéj, braćby go może za przedmiot ściśléj analizy nie było warto—bo nakoniec czy oko nasze widzi trochę daléj czy bliżéj, jeżeli tylko widzi dobrze, o resztę troszczyć się nie ma powodu; ze względu jednak, iż to ścieśnienie myśli odciska następnie swoje piętno na ogólnéj działalności człowieka, czyniąc ją szkodliwą, jużto dla jednostki saméj, już dla otaczających — sądzę, iż przypatrzéć się temu psy- psychiczno-intelektualnemu objawowi z bliska — choć trochę interesującém być może.

Przypatrzmy się atoli najpierw na przykładzie, w jaki to sposób dwa te kierunki myśli ludzkiéj, to jest subiektywny i obiektywny uwydatniają się w działalności człowieka. Pokazał to Göthe w dramacie „Torquato Tasso“ mianowicie zaś w dwóch z głęboką prawdą psychologiczną wykończonych typach, jakimi się Tasso i Antoniusz.

Wielki poeta włoski jest umysłem na wskroś intuicyjnym, o przeważnéj skłonności do obiektywnego myślenia, drugi, to jest Antoniusz—umysłem refleksyjnym i praktycznym z wybitną skłonnością do kierowania się myślą subiektywnego.

Oto streszczenie wybitniejszych scen, w których zestawia autor charakterystyczne w postępowaniu obu cechy i różnice:

Poeta włoski, w którego naturze uwydatniła się z taką siłą bujność i gorącość temperamentu narodowego, przebywa na dworze księcia Ferrary — mecenasa sztuki. Ukończył on był właśnie nieśmiertelne swoje dzieło—„Jerozolimę wyzwoloną“—którą ofiaruje w dowód przyjaźni i wdzięczności księciu. Obecna temu aktowi, odbywającemu się w ogrodzie, przyozdobionym w hermy Wergiliusza i Ariosta, księżna zdejmuje z hermy, przedstawiającéj popiersie Wergiliusza, włożony nań przed chwilą wieniec i składa go z inicyatywy księcia na skroniach żyjącego wieszcza. Na ten właśnie moment wchodzi Antoniusz, powiernik i prawa ręka księcia. Człowiek to żelaznéj woli a zarazem zacnego bardzo charakteru. Taką przynajmniéj cieszył się opinią w domu księcia. Wraca on po dłuższym pobycie z Rzymu z szczęśliwie dokonanéj a powierzonéj mu przez księcia misyi. Nietylko świadomość zasługi i przeświadczenie wynikającego z niéj pożytku, ale i nadzieja wprowadzenia w zadowolenie całéj książęcéj rodziny podnosiła dlań urok tego powrotu. Tymczasem trafia właśnie na scenę składania hołdu innemu. Tasso i Antoniusz nie znają się osobiście. Tasso jednak wiele się nasłuchał o zaletach Antoniusza i pragnie go dla tego poznać; Antoniusz przeciwnie, widząc ogólne zainteresowanie się poetą, uczuwa do niego odrazu... niechęć i zawiść. Spostrzegamy to w pierwszych zaraz słowach, które między sobą zamieniają. Opowiadając o misyi swojéj w Rzymie, Antoniusz chwali rozumne i konsekwentne rządy papieskie, gdy zaś Tasso stawia mu pytanie: czy papież popiéra także sztuki i nauki, Antoniusz odpowiada mu z pewnóm lekceważeniem „O tyle tylko, o ile one z pożytkiem być mogą dla państwa“. Nie domyślając się niczego książe, interpretuje przerwaną przez Antoniusza scenę uwieńczenia, opowiada mu o odebranym od wieszcza darze z płodu jego genialnéj myśli, nie szczędząc przy tém autorowi gorących pochwał; zawstydzony i onieśmielony poeta radby uciec od tych dowodów czci i uznania, Antoniusz zaś spostrzegając jego zakłopotanie a nie mogąc przytłumić w sobie gniotacego uczucia zazdrości, wychwalając niby to Tassa, mówi brutalnie „iż znaném mu jest aż nadto dobrze nieumiarkowanie księcia, gdy chodzi o nagradzanie zasług“. Powiedziawszy to zaś zwraca rozmowę na nieżyjącego poetę Ariosta. W apologii zaś na cześć Ariosta,

widnieje nietyle chęć scharakteryzowania poetyckiéj jego twórczości, ile usiłowanie pomniejszenia i zlekceważenia zasług Tassa. Oto scena pierwszego ich spotkania w któréj zarysowała się już odrębność usposobień obu.

Druga charakterystyczna scena: Siostra księcia spostrzegając jakiś brak harmonii wśród dwóch przyjaciół domu, ufając zresztą szlachetności Antoniusza, podsuwa poecie myśl, aby się z nim zaprzyjaźnił. Tasso nie opiéra się temu, pomimo, że pierwsze zetknięcie z Antoniuszem każe mu wątpić, aby mógł w nim znaleść przyjaciela. Antoniusz liczne posiada zalety—mówi poeta—zalety zwłaszcza, których on brak czuje w sobie, ale brak mu jednéj—poczucia piękna a na takiéj piersi spocząć trudno. Na żądanie jednak księżnéj, robi krok pierwszy. Tu wszczyna się ciekawy bardzo, bo spowodowany odrębnością psychiczno-intelektualną obu tych postaci — konflikt. Tasso nie zastanawiając się wiele, pod wpływem bezwiednym pochwał, jak i namowy księżnéj, podaje z całą szczerością bratnią dłoń Antoniuszowi i ofiaruje mu swoją przyjaźń. Antoniusz waha się w przyjęciu jéj, żąda czasu do namysłu, wzajemnego poznania i ocenienia się. Poeta odpowiada mu na to pięknym bardzo wierwszem: czyż nie lepiéj iść za głosem uczucia, niż słuchać zawsze przestróg rozumu. Na ten temat przychodzi do konsekwentnéj z jednéj, zjadliwéj z drugiéj strony dyskusyi. Antoniusz chwali przezorność i doświadczenie życiowe. Tasso rozkosz intuicyjną, zbratanie się serc wypadkowe--bezwiedne. Ale, kiedy Tasso odpiéra zdania swego przeciwnika spokojnie, bezstronnie, każdém słowem Antoniusza kieruje wzmagająca się w nim zazdrość wobec poety. Znudzony nakoniec narzuconą mu powtórnie przyjaźnią, wybucha, odsłaniając pomimo chęci istotną przyczynę nieusprawiedliwionego postępowania. Ofiarowaną sobie przyjaźń odpycha, insynuując najwyraźniéj, iż za godnego przyjaźni Tassa nie uznaje, nie widzi w nim bowiem zasłużonego jeno szczęśliwego—tym ostatnim zaś dostają się zazwyczaj wieńce. Tasso poznaje nakoniec o co chodzi mówiąc: „bądź o tyle wielkim, abyś mi nie zazdrościł sławy, a wówczas będziesz odemnie godniejszym“. Brutalność Antoniusza wzmaga się. W poecie krew zawrzała, obrażony wyzywa Antoniusza na pojedynek. Na to wchodzi książę. Sprawa się wytacza i kończy skazaniem poety na domowe więzienie.

Trzecia i ostatnia scena: Książe przywołuje do siebie Antoniusza. Surowość wobec Tassa spokoju mu nie daje. Pragnie co prędzéj wrócić mu wolność i za pośrednika w tém używa Antoniusza, który do téj misyi dość chętnie się nakłania. W rozmowie téj z księciem widnieje stronność sądu Antoniusza, gdy chodzi o przedmiot jego

zazdrości. Przytacza on z jak największą skrzętnością niewinne zdania, przyzwyczajenia lub proste objawy sympatycznego nader humoru poety, które mu policza na karb zniewieściałości i braku charakteru. Oto jak się o nim wyraża: Akt V, scena I.

ANTONIO.

Czyż on panie,
Najprostszy nawet dług natury, strawę
Wybierać umie, jak rozsądek każe?
Czyż się jak dziecko nie ubiega chciwie
Za łakociami? Czy do wina kiedy
Domiesza wody? Wszystko, co go draźni,
Łakomie chwyta i narzeka potém
Na krew gorącą, na porywczość swoję.
Jak cierpko, jak dziwacznie go słyszałem
Z lekarzem nieraz rozprawiającego:
„Ja czuję, żem cierpiący, mawiał Tasso;
Co znaczy sztuka twoja? daj mi zdrowie!“
A lekarz na to: — Dobrze, więc unikaj
Powodów.—„Tego nie dokażę nigdy“.
To użyj leków.—„Nie, na te odwary
Natura wzdryga się“—A więc pij wodę.
„Ja wody lękam się, jak ukąszony
Przez psa wściekłego.“—To uleczyć ciebie
Nie mogę.—„Czemu?“—Bo złe jedno musi
Sprowadzać drugie, i tak wiecznie wkoło
Cierpienia twoje się powtarzać będą. —
„Od czegożeś lekarzem? Znasz chorobę,
Więc powinieneś znać i środki na nią,
Lecz środki takie, coby zamiast koić
Cierpienia, same cierpień nie zadaiy.“—
Uśmiéchasz się, a jednak to jest prawda
I nieraz sameś to usłyszał. *(Przekład L. Jenikego).*

Tasso interwencyi Antoniusza — rzecz prosta — nie przyjmuje. Bez względu na swoją przyszłość, bez względu na korzyści dla swego talentu pod opieką księcia Ferrary—opieki téj się rzeka i dom księcia opuszcza. Pragnienie swobody i wolności przeważa wszystkie inne względy.

W trzech tych scenach widzimy najcharakterystyczniejsze cechy sposobu myślenia i postępowania obu. Umysłu Tassa o jasnych i szerokich poglądach nie zaciemniają nigdy wewnętrzne stany psychiczne. Łatwość ta zaś do wyzwoienia się z pod ich przewagi objawia się nietylko w kierunku jego myśli pełnym swobody, niezależno-

ści i bezstronności, ale i w postępowaniu konsekwentném i wytworném, w którém poczucie własnéj godności nie łączy się nigdy z chęcią pognębienia indywidualności drugich. Cechą przeciwnie charakterystyczną w postępowaniu Antoniusza jest nieustanna zależność sądów i myśli od uczuć jego i namiętności. Ambicya i zazdrość mieszają się nieustannie w działalność jego myślową. Kogo kocha lub potrzebuje lub pod czyim sztandarem stoi, tego przecenia, kogo nie lubi, komu zazdrości, tego ani osądzić, ani uszanować nie jest w stanie, czyniąc to nie rozmyślnie, ale z danych wrodzonych, z konieczności zasobów psychiczno-intelektualnych. Jednostronność i bezwzględność sądów łączy się w nim z niekonsekwencyą w postępowaniu oraz brakiem poszanowania najwybitniejszych nawet indywidualności.

W starciu, jakie się rozegrało pomiędzy dwoma temi różnych zupełnie uzdolnień postaciami, stroną pognębioną jest bezwarunkowo Tasso. Człowiek ten nietylko genialnych natchnień, ale również delikatnych uczuć, jest traktowany po prostu brutalnie, talent jego poniewierany przez ocenę, nie powiem niesprawiedliwą, ale namiętną i bezczelną — człowiek ten, aby uniknąć moralnéj jak i fizycznéj niewoli, skazywać się musi na wygnanie z pośród rodziny, o któréj sam mówi, że była drugą jego ojczyzną. Antoniusz tymczasem panem zostaje sytuacyi. Jeżeli zaś porównamy powyżéj przytoczone zdania, jakie obadwaj wyrażali o sobie—Tasso pod wrażeniem słusznego żalu, Antoniusz pod naciskiem zazdrości — wówczas dopiéro uwydatni nam się różnica owéj siły do wyzwalania myśli z wszelkiego w obec najsilniejszych nawet uczuć poddaństwa. Powtarzamy zatém, charakterystyczną cechą w postępowaniu Tassa jest panowanie nad sobą, umożliwiające przejrzystość świadomości oraz szerokość myśli, właściwością zaś Antoniusza jest owa niemoc i nieustanne poddawanie się stanom psychicznym, oraz wynikłe stąd ciasnota myśli, bezwzględność sądów, nieuwzględnianie indywidualności drugich i niekonsekwencya w postępowaniu, które to właściwości charakteryzują subiektywizm wogóle. Pierwszy zapomina o sobie i patrzy na świat i objawy życia jasno i głęboko dla saméj rozkoszy, jaką poznanie to sprawia; drugim kieruje zawsze jakaś żądza, ambicya albo zazdrość, służąc za podnietę do czynów celowych, pozostawiając świadomość i sąd jego w stanie, że tak powiem zaćmienia i niewoli wobec własnéj indywidualności.

Otóż zachowało się do dziś dnia zdanie, które napotykamy zarówno u ludzi nauki, jak i u ludzi praktycznych, że kobiéta téj siły potrzebnéj do przygłuszania w świadomości uczuć i pragnień nie posiada wcale, że udziałem jéj stałym jest owa niemoc wobec własnéj

indywidualności, jaką widzieliśmy w postępowaniu Antoniusza, — zdanie to zaś jest tak ogólnem, że uważalibyśmy za coś wprost niemożliwego, aby kobieta zajmować mogła kiedykolwiek stanowiska, wymagające czy to siły panowania nad sobą, czy to bezstronnéj krytyki, zwłaszcza zaś poczucia sprawiedliwości.

Przed potwierdzeniem lub zaprzeczeniem tego zdania, że kobieta jest i być musi subiektywną — pozwolę sobie postawić następujące, a główne w niniejszém studyum pytanie: jakie mogą być przyczyny psychiczno-intelektualne, jakie zaś powody przypadkowe z ustroju społecznego wynikające, które stanowią o tém odrębném kierowaniu się myśli ludzkiéj, to jest subiektywném i obiektywném?

II.

Schopenhauer, którego analiza poznania obiektywnego jednym jest z najcenniejszych ustępów jego filozofii, odporność tę wobec stanów psychicznych pojawiającą się w najwyższym stopniu u geniuszu, a więc u jednostek silnych zazwyczaj namiętności — większym przypisuje zasobom intelektualnym. Ludzie praktyczni, tacy jak Antoniusz, posiadają według niego zasób tylko inteligencyi, potrzebnéj do pełnienia obowiązków życia praktycznego. Ale są ludzie, którzy prócz téj zdawkowéj monety intelektualnéj posiadają to, co autor zwyżką nazywa umysłu i ta to zwyżka służy im do przenoszenia się w świat czystego poznania. Na twierdzenie to nie można się nie zgodzić.

Z konieczności atoli nasuwa się następująca uwaga.

Dobrze! — im ta zwyżka intelektualna w umyśle jednostki jest większa, tém łatwiejsza będzie odporność wobec własnych stanów psychicznych; ale z drugiéj znów stron zważywszy, iż siłę tę warunkuje zarazem gorętszy temperament, bo stare to i znane zdanie, iż wielkich ludzi wielkie tworzą namiętności, — rodzaj zatém i jakość temperamentu nie może być bez wpływu na większą lub mniejszą subtelność w funkcyonowaniu téjże siły intelektualnéj. Następnie zaś doświadczenia życiowe w każdéj jednostce różny wywołuje w danych epokach rozwoju indywidualnego sposób myślenia. Względnie zatém do tego, czy doświadczenie to jest szersze lub ciaśniejsze, sposób myślenia jednostki musi być odpowiednio subiektywniejszym lub obiektywniejszym. Czyli, na kierunek myśli człowieka składają się trzy rzeczy: 1) stopień siły intelektualnéj, 2) wpływ na inteligencyę temperamentu jednostki, oraz 3) doświadczenie życiowe.

I. W jakiż sposób objawia się w jednostce ten wyższy stopień

siły intelektualnéj? czy większą wrażliwością, czy przeważającą może zdolnością do refleksyi? Nie. O stopniu téj siły stanowi tajemny jakiś związek,—to przepromienianie się, że tak powiem nieświadome, a wzajemne wrażliwości z refleksyą, odpowiadające temu, co zwykliśmy u poetów, artystów albo uczonych szczęśliwą nazywać intuicyą. Jeżeli przypatrzymy się czterem głównym typom intelektualnym, u których ustosunkowanie wrażliwości z refleksyą w najrozmaitszy objawia się sposób, zobaczymy, iż zdolność ta do obiektywnego kierowania się myślą zawarunkowana jest ową ścisłą, choć niedojrzaną dla psychologa łącznością pomiędzy dwiema temi władzami, zaś skłonność do subiektywizmu znajdzie się zawsze tam, gdzie pomiędzy wrażliwością a refleksyą jest pewien rozdział, pewien brak wzajemnego przenikania się i ciągłości.

a) I tak zadziwia nas często bardzo wrażliwość osób, u których inteligencya stosunkowo jest małą. Objawiają one subtelną czułość na wrażenia z zewnątrz; zachwycają się pięknością natury i sztuki, interesują się z dziwną energią najdrobniejszemi szczegółami w życiu. Ale wrażliwość ta jest początkiem niejako i końcem ich ruchliwości intelektualnéj. Wrażenia te nie zostają następnie należycie przetrawionemi, wrażenia te nie pobudzają innych funkcyi umysłu, jak sądzenie, krytykowanie, rozumowanie; jednostka taka czyni jedynie zadość temu pragnieniu wewnętrznemu dostarczania świadomości własnych i drugich jaknajwiększéj liczby wrażeń, oraz potrzebie nieustannego ekscytowania i uświadamiania sobie własnych stanów psychicznych: po za ten rezultat działalność jéj intelektualna nie przechodzi wcale. Naturalném zaś następstwem tego niezupełnego procesu myślowego, który zaczynać winien od odbiérania wrażeń, ale na tém nie poprzestawać,—jest to, że w pamięci takiéj jednostki zachowują się wrażenia z zewnątrz w surowéj bardzo obsłonie, gdy zaś przyjdzie następnie wrażenia te spożytkować w sądach, wówczas wśród nieprzygotowanego należycie materyału, refleksya obraca się z trudnością, interpretując raczéj warunki psychiczne, wśród których wrażenia te z zewnątrz zaszczepiły się w umyśle jednostki, aniżeli istotne ramy, wśród których rzecz sama się odbyła. Czyli brak siły intelektualnéj, podczas samego procesu poznawania odzwierciadla się następnie w ciasném i subiektywném interpretowaniu każdego przedmiotu. Typ ów intelektualny o przewadze wrażliwości pojawia się istotnie najczęściéj wśród kobiét, już to dlatego, że wrażliwość kobiéca z natury swéj jest subtelniejsza, bardziéj jednak przez to rozwijanie i ekscytowanie jéj do ostatecznych granic wychowaniem, kształceniem, usypianiem zaś systematyczném objawów chociażby najzdrowszéj refleksyi.

b) Drugi typ intelektualny przedstawiają ludzie talentu — poeci i artyści. I u nich także widoczna jest przewaga wrażliwości, ale wrażliwość ta zdaje się być powiązana całą siecią włókien tajemnych i niedostrzegalnych, ale niemniéj istotnych z refleksyą. Wielkie myśli poetów i artystów nie są rezultatem długiego myślenia i przebywania w abstrakcyi— wcale nie, myśli te rodzą się niewiadomo skąd i jak pod wpływem danéj chwili, są one rodzajem jasnowidzenia, jeżeli jednak są istotnie wielkie, znoszą bez szwanku najgłębszą i najsurowszą krytykę refleksyi. Ten zaś zupełny, choć śpieszny i niedocieczony dla oka psychologa proces myślowy, który każde wrażenie przenika i opromienia refleksyą,—absorbuje działalność intelektualną jednostki, tak iż nie dozwala jéj poddawać się bezwzględnie wywołanym przez te wrażenia uczuciom wewnętrznym, jak smutek, radość, zawiść, etc. Drzémią one w jednostce, podniecają ogólną jéj działalność, ale w świadomości jéj miejsca zajmować im nie wolno. Im większym — tém obiektywniejszym jest poeta, jak i artysta.

c) Jak obok większéj skłonności w umyśle do odbiérania wrażeń z zewnątrz, tak i wobec przeważającéj skłonności do refleksyi, proces poznawczy w dwojaki się odbywa sposób, sprzyjając już to obiektywnemu, już subiektywnemu rozwojowi myśli. Ludzie praktyczni, jak Antoniusz np., u których pedantyczne rozumowanie zagłusza rozkosz intuicyjnego poznania—łakną takich tylko wrażeń, które pomieścić się mogą w ramach ich ciasnego, bezwzględnego i rutynicznego myślenia. Świadomość u takich umysłów dla wielu bardzo wrażeń zupełnie jest zamknięta i nieprzystępna po prostu, nie pojmują oni nawet, że istnieją jednostki, które mogą od nich inaczéj czuć, kochać i myśléć, to zaś ścieśnienie myśli sprowadza z konieczności suchość i bezkrwistość, że tak powiem sądów, które jako takie są pedantyczne, bezwzględne czyli znów subiektywne. Ten rodzaj subiektywizmu, z powodu że w kształceniu mężczyzn kosztem często wrażliwości rozwijaną bywa nadmiernie refleksya, pojawia się przeważnie u jednostek męskich.

d) Wówczas dopiéro, gdy przeważająca skłonność w kierunku refleksyjnym połączy się z czułą i bogatą wrażliwością, gdy zniknie znów pomiędzy obudwoma przedział, a zastąpi go ów tajemny pomost, przez który refleksya komunikuje się nieustannie z danemi wrażliwości; wówczas dopiéro refleksya, mając obfity a niezbędny do zasilania się materyał, zamiast gubić się w rutynie i abstrakcyi, staje się żywotną i ujawnia się obejmowaniem przedmiotu szerokiém, jasném, oraz sądem bezstronnym i obiektywnym. Typ ów intelektualny, będący najwyższym wyrazem obiektywnego myślenia, widzimy wśród wielkich uczonych i myślicieli.

A zatém przewaga wrażliwości prowadzi do namiętnego, niekonsekwentnego, to jest subiektywnego sądzenia i rozumowania, jak przewaga refleksyi do bewzględności i pedanteryi, ten zaś nieświadomy związek pomiędzy wrażliwością a refleksyą, chociażby nawet z przewagą jednéj albo drugiéj, to wzajemne się przepromienianie obu dla psychologa niedostrzegalne, bo rozpoczynające się pod poziomem świadomości, to jest to, co nazywamy szczęśliwą intuicyą artysty, albo uczonego, rdzeniem jest i pierwszą przyczyną mniejszéj lub większéj zdolności do obiektywnego poznawania i sądzenia. Że tak jest, sprawdza się i na powyższym przykładzie. Tasso, jako poeta i artysta, umysłem jest przedewszystkiém wrażliwym, — bogata jednak i soczysta intuicya chroni go od subiektywizmu. Antoniusz objawia raczéj skłonność do refleksyi, ale refleksyi téj brak soków, żywotności, jest ona z tego powodu sucha i ciasna, do obiektywnego myślenia niezdolna. Gdyby zaś, jak to już powiedzieliśmy, z przewagą refleksyi łączyła się bogata również wrażliwość, słowem szcześliwa intuicya, wówczas skłonność do obiektywizmu doszłaby w takiém zespoleniu do swéj doskonałości. Dlatego to słusznie bardzo wkłada Göthe w usta włoskiego poety słowa, którémi tenże odpiéra subiektywną napaść (skłonnego do refleksyi) Antoniusza:—gdybyś był o tyle wielkim, żebyś mi nie zazdrościł sławy, wówczas byłbyś odemnie godniejszym. (Akt 2, scena 3).

II. Temperament — jak powiedzieliśmy — drugim jest czynnikiem regulującym kierunek myśli naszéj. Opiérając się na powyższém twierdzeniu, iż obiektywny sposób myślenia ciągłego wymaga panowania nad sobą, mylném byłoby sądzić, iż przy mniéj bogatym temperamencie opanowanie to więcéj ma szans powodzenia. Wcale nie. Im bogatszym, soczystszym i doskonalszym jest temperament jednostki, tém opanowanie to mniéj przedstawia trudności, tém harmonijna ta ruchliwość temperamentu bardziéj harmonijném i bogatszém odbija się echem w działalności mózgu. Wpływ jednak temperamentu najrozmaiciéj oddziaływa na inteligencyę, względnie zatém do tego temperamenta podzielićby można na kształtujące i deprymujące.

a) Przez temperament kształtujący rozumiemy tak bogato uposażoną naturę ludzką, że w ustroju jéj psychicznym drzémie cała skala najrozmaitszych uczuć, dążeń i skłonności, w skali téj zaś poszczególne pierwiastki psychiczne w takiéj są ze sobą zgodności, jak w dobrze nastrojonym instrumencie poszczególne tony. Jak zaś na doskonalszym instrumencie muzycznym śmieléj dobywać można ostrych chociażby dysonansów, bo łatwo je następnie rozwiązać w łagodnych i głębokich konsonansach; podobnież, im bogatszy jest temperament

człowieka, tém gwałtowniejsze objawiają się w nim namiętności, ale subtelne i różnorodne pierwiastki psychiczne, wybuchy te zdołają utrzymać w pewnych karbach, oraz przywracać następnie wewnętrzną równowagę i harmonię jednostce. W temperamencie kształtującym bowiem wszystkie niejako czynniki solidaryzują się ze sobą: one to w chwilowém zaniepokojeniu, pod wpływem danéj namiętności milkną, uwydatniając przez to dysonansowy akord gniewu, zazdrości lub szału, ale one następnie kojarzą się w reakcyi, aby przywrócić organizmowi spokój i harmonię, zamieniając wzburzone morze namiętności na gładką szybę z lekka pulsujących żądz i uczuć. Takim jest temperament artystyczny. Nie brak w nim jednéj nuty, jednego dźwięku, a wszystkie one składają się na to, aby życiu prawdziwego artysty oryginalną, dziełom jego wielką i mistrzowską nadać barwę. Ta to sprężystość, soczystość i bogactwo zasobów temperamentu sprawia, iż ludzie genialni posiadają ową, że tak powiem zdawkową w postępowaniu dobroć, delikatność i pobłażliwość, którą bierzemy często za objaw wartości moralnéj, która jednak tém jest wobec etyki, czém np. pięknie malowany obraz wobec pożytku jego obyczajowego. Ta dobroć i łagodność, ta wytworność w postępowaniu — to koloryt temperamentu kształtującego, artystycznego, który nie znosi nic konwencyonalnego, a który z tłem charakteru nie ma zazwyczaj nic wspólnego.

b) Temperament deprymujący, to przeciwnie instrument, w którym brak stale wielu tonów i półtonów, — to rodzaj daltonizmu psychicznego, który sprawia, iż gama uczuć w człowieku jest niezupełna, nierówna, harmonii i wdzięku pozbawiona. W takim temperamencie odezwanie się gwałtowniejszéj namiętności wprowadza trudny bardzo do usunięcia rozstrój, bo nie służy mu za tło szeroka skala pierwiastków psychicznych, któreby pomagały do rozwiązania się téjże namiętności w słodkich a wdzięcznych półtonach żądz i uczuć. Wybuch sam w sobie namiętności ma coś wielkiego, ale piękno wymaga zawsze i wszędzie miary, stawia granicę, po za którą dodatnie wrażenia zastępują ujemne, pierwszym zaś warunkiem piękna w wybuchu namiętności, jest powrót stopniowy do równowagi do rozwiązania się dysharmonii w harmonię. Tu szwankuje temperament deprymujący.

Wzburzone koryto namiętności nie ma się na czém rozlać, na czém bałwanów swoich rozproszyć, stąd przedłużenie walki wewnętrznéj i przechodzenie od jednego dysonansu w drugi, która to walka całą naturę człowieka wstrząsa i zamiast ją zaopatrywać w tém większą siłę i żywotność, jak się to dzieje w normalnie rozwijającym się

temperamencie kształtującym, wyczerpuje ją i wyniszcza, odzywając się fałszywém również echem w rozwoju inteligencyi.

(Dwa te odmienne temperamenta znać o sobie dają w powyżéj przytoczonym przykładzie, to jest temperament kształtujący w postaci Tassa, temperament deprymujący w osobistości Antoniusza).

Ta dwoista bowiem natura temperamentu dwojako się w działalności mózgu uwydatnia: temperament kształtujący mniéj zmuszając jednostkę do zajmowania świadomości sobą, mniéj zużywając siły intelektualnéj dla opanowania tych stanów wewnętrznych, ułatwia jéj przenoszenie się w krainę czystego poznania, oraz sprzyja obracaniu téj zaoszczędzonéj siły intelektualnéj na rozwój myśli w kierunku czysto obiektywnym; przeciwnie zaś temperament deprymujący, zmuszając do nużącéj walki ze sobą samym, do zajmowania się własną indywidualnością, oraz wynikającemi stąd drobnemi sprawami codziennemi i praktycznemi, absorbuje tém ową siłę intelektualną tak wyłącznie, iż pozbawia ją następnie potrzebnéj sprężystości do tego przenoszenia się w zakres poznania czysto obiektywny.

III. Przechodzimy nakoniec do trzeciego czynnika i regulatora myśli ludzkiéj, jakiém jest doświadczenie życiowe. Inteligencya, jak i temperament człowieka potrzebują swobody i sposobności, aby wśród ruchu i czynu, wśród walki z życiem śmiałéj i szerokiéj objawić i urobić wszystkie swoje odrębne cechy i zasoby.

To ściéranie się dopiéro jednostki z najrozmaitszemi okolicznościami w życiu, ta walka szeroka i intensywna daje poznać człowieka takim, jakim on jest i pozwala mu uregulować i ukształtować wszystkie swoje zasoby psychiczno-intelektualne. Nim zaś natura człowieka się urobi i rozumnie do danych warunków życia zaadaptuje, przechodzi najpierw przez mnóstwo różnych, stale po sobie następujących etapów. I tak nie licząc epoki dzieciństwa, ludzie młodzi rzucają się w wir życia z pełnią ciekawości i niepohamowanego zapału, wkładają w każdy czyn, w każde uczucie duszę całą:

Zapał ich — jak mówi poeta — tworzy cudy,
Nowości potrząsa kwiatem
I obleka nadzieję w złote malowidła.

Atoli zapał ów i to szafowanie czynami mają swój kres. Zawody, niepowodzenia, poznanie samego siebie, poznanie życia godzą nań nielitościwie i wyniszczają go zbyt wcześnie, budząc natomiast uczucia wprost przeciwne: apatyi, zwątpienia i pesymizmu. Jestto druga epoka w życiu normalnie rozwijającéj się jednostki, epoka straszna i dolegliwa, ale jak ogień wypalając utrwala żelazo, tak

okres ów w życiu zmuszając człowieka, aby cierpiał, utrwala i wzmacnia jego naturę tak, iż wychodząc z niéj jednostka, choć zmienioną jest i przeobrażoną nie do poznania, ale zdolniejszą do zaadaptowania się właściwego i pogodzenia z koniecznemi warunkami życia. W owéj epoce apatyi i smutku człowiek wyosabnia się zazwyczaj od reszty świata i zaczyna zastanawiać się głębiéj, oceniać właściwiéj osobiste dążenia i pragnienia, różne zupełnie wydawać sądy o życiu, o ludziach, o przeszłości, w któréj wyrósł, o ideałach, w które wierzył. Z tego pół-snu ducha wychodzi wzbogacony w wiedzę, — w nim się nauczył myśléć trzeźwo i beznamiętnie, w nim się nauczył opanowywać samego siebie. Wstępując na nowo w szranki życiowe, jednostka taka walczyć znów będzie, teraz jednak nietylko za, ale i przeciw sobie, z każdym dniem nabiérając więcéj pobłażliwości dla drugich, a surowości dla siebie. Co w téj epoce zdziała, nosi na sobie piętno doskonałości względnéj do jéj zasobów psychiczno-intelektualnych. Rozwaga, sąd zdrowy i trzeźwy, wolny od subiektywizmu, spokój i równowaga wewnętrzna, konsekwencya w postępowaniu—oto główne cechy téj epoki, którąby nazwać można organizującą.

Nakoniec, dla wytchnienia, dla zapomnienia o têm, czém jest i jakiém jest życie gubi się indywiduum, będące na tym stopniu rozwoju, chętnie w poznaniu czysto przedmiotowém, czy to w sztuce lub nauce, czy to w obserwacyi i sądzie beznamiętnym, a zmierzającym do poznania prawdziwego jakiegokolwiekbądź przedmiotu.

Przez te najrozmaitsze fazy w życiu, któreby nazwać można instynktową, reakcyjno-pesymistyczną, organizującą i kontemplacyjną przechodzi każdy normalnie rozwijający, a ile tyle uposażony umysł: ewolucya ta zaś dla umysłu jest po prostu powolném przechodzeniem od krańcowego subiektywizmu do takiegoż obiektywizmu. Jeżeli jednak bogato nawet uposażona psychicznie i intelektualnie jednostka przez te niezbędne dla urobienia indywidualności swéj etapy nie przejdzie, wówczas i prąd jéj myślenia swobodnym, szerokim i prawidłowym być nie może.

Oto—zdaje mi się—główne przyczyny, składające się na kierunek myśli ludzkiéj wogóle.

III.

Analiza ta przyczyn subiektywizmu pozwoli nam obecnie odeprzéć powyżéj przytoczone zdanie, iż kobiéta zawsze jest i być musi z natury swego uzdolnienia subiektywną.

Zaprzeczyć temu niepodobna, że kobiéta poddaje się nierównie łatwiéj własnym uczuciom i pragnieniom, niż mężczyzna, że sądami jéj i rozumowaniami kieruje przeważnie zmienny nastrój psychiczny, że sposób jéj postępowania mniéj bywa konsekwentny. Jak żywe srebro pod wpływem temperatury ścieśnia się lub rozszerza, tak sąd kobiét pod wpływem dodatnich lub ujemnych uczuć ciaśniejszym jest lub szerszym. Inną miarą mierzy się ukochanych, inną obcych, odmienną ludzi z któremi się częściéj lub z któremi się mniéj obcuje; jest się pobłażliwszą dla ludzi chociażby niewielkiéj wartości moralnéj, którzy dopełniają ściśle towarzyskich form i przepisów, oraz wyznają te same co i my poglądy i przekonania, bezwzględnie surową dla tych, co przepisy te lekceważą i przyjętego sposobu myślenia nie znoszą; z pośpiechem i nieopatrznością wydaje się sądy i postanowienia pod wpływem gniewu, żalu, obawy i t. d., pomimo, że żałuje się najczęściéj tychże sądów i postanowień; wpada się w przesadzony smutek, albo zbyteczny zapał wobec nie zasługujących na to przyczyn, przywiązuje się wielką wagę do drobiazgów w życiu, a lekceważy grożące często niebezpieczeństwa i nieszczęścia wśród dobrego usposobienia; czyni się wiele dobrego dla tych, co umieją drobne słabostki jak próżność, żądze pochwały wyzyskać, przechodzi się często obojętnie wobec rzeczywistego cierpienia, słowem sądzi się i działa pod wrażeniem chwili, dla téj czułéj zawsze wrażliwości zapomina się o najcenniejszych zaletach duchowych, jakiemi są bezstronność sądu, postępowanie konsekwentne, oraz spokój i harmonia wewnętrzna.

Z brakiem panowania nad własnemi stanami psychicznemi łączy się u kobiét inna jeszcze cecha subiektywizmu, do którego już kilkakrotnie zaliczyliśmy brak właściwego oceniania indywidualności drugich. Kobiéta, powiedziałabym — może się mylę — przecenia wogóle indywidualność mężczyzny, zapoznaje indywidualność jednostek płci własnéj. Przeciwko pierwszemu powstawać nie zamierzam wcale, chcę tylko zaznaczyć, że podczas gdy indywidualność syna, brata, męża cieszy się ze strony matki, siostry, żony wyjątkowemi względami, indywidualności przyjaciółki, siostry, córki nie ocenia się dostatecznie, indywidualności téj nie toleruje się nawet do pewnego stopnia. Porównajmy np. postępowanie ich wobec córek. Od syna wymaga się nie wiele. Daje mu się wolność, swobodę, nie zwraca się często uwagi na brak dosyć wyraźny uszanowania dla matki, bo on chłopiec — poczciwe chłopczysko aby się tylko dobrze uczył, to niechaj — na resztę się nie zważa. Inaczéj z córką. Odmawia się jéj często téj nawet dozy wolności, jaka jest niezbędna do urobienia charakteru i indywidualności. Podobne objawy zaznaczyćby można

w stosunku sióstr do siebie i przyjaciółek, w przeciwieństwie do stosunku z braćmi i przyjaciółmi. Zdaje mi się nawet, że dla służby żeńskiéj, czy to po sklepach i urzędach, czy to w domu, jest się zwykle z nierównie mniejszą sprawiedliwością, niżby tego smutny ich los wymagał. Od tego przeceniania indywidualności mężczyzn a niedocenia indywidualności jednostek płci żeńskiéj, nie jest wolną żadna, może nawet najbardziéj ukształcona kobiéta. Przykłady te, zdaje mi się, w prostym pozostają stosunku do naszego przedmiotu.

Ale przechodzę do bliżéj nas obchodzącego przedmiotu mianowicie, jaka może być przyczyna téj przewagi subiektywizmu u kobiét?

Stosownie do powyższéj analizy, albo kobiéta z natury swéj organizacyi posiada mechanizm myślowy i temperament różny zupełnie od mężczyzny, to jest inteligencyę o stałéj przewadze wrażliwości lub refleksyi, temperament zaś częściéj deprymujący, niż kształcący i wskutek tego subiektywną pozostać musi zawsze, albo, jak sądzę, kobiéta posiada te same prawie dane psychiczno-intelektualne, ale rozwija je w sposób odmienny, nieprawidłowy, to zaś sprawia, że przeciętna kobiéta dziś istotnie więcéj niż mężczyzna jest i być musi subiektywną. Temu jednak, aby umysł kobiecy z natury jéj uzdolnień musiał być subiektywnym—zaprzeczam najkategoryczniéj. Ktokolwiek przebywał nietylko wśród kobiét salonu, ale i wśród licznych już dziś pracowniczek, poświęcających się, czy to naukom, albo sztukom, czy téż pełniącym jakiekolwiek praktycznego zawodu obowiązki, zaprzeczyć nie może, iż te cztery typy intelektualne, o których wzmiankowaliśmy powyżéj napotykają się zarówno wśród kobiét, jak i mężczyzn. O ile zaś, i które z tych typów przeważają liczebnie u mężczyzn, które u kobiét o tém wśród obecnych warunków osądzić dokładnie, jest prawie niepodobném. Różnica zaś w temperamencie, jak wiadomo, na większéj polega intensywności u kobiét uczucia. Miałożby jednak uczucie, ów balsam życia, pozbawiać kobiétę tego, co jest najlepszą cząstką istnienia, to jest owéj siły panowania nad sobą, od któréj znowu tak zależnym jest normalny rozwój myśli? Nie. Może być, że takiemi są rezultaty uczuć w ich nieprawidłowym i chorobliwym rozwoju, to jest w hiperestezyi uczuć, jaką spotykamy często u egzaltowanych, a powiedzmy po prostu, fizycznie, psychicznie i intelektualnie zaniedbanych kobiét, ale takiemi być nie mogą skutki rozwoju normalnego i dodatniego uczuć kobiecych.

Przyczyn zatém téj różnicy gdzieindziéj szukać należy, a mianowicie w braku danych pochodzących z rozwoju normalnego przez kształcenie i wychowanie, oraz doświadczenie życiowe, bo one tylko

dają człowiekowi to, z czém się nikt nie rodzi, mianowicie zaś poznanie samego siebie i poznanie środków na opanowanie samego siebie. Powiedzićć zaś, że kobiéta z natury swego usposobienia i uzdolnienia panować nad sobą nie umié, znaczy tyle co powiedzićć o człowieku, którego zamknięto na długie lata w ciemnicy, w któréj on nakoniec oślepł, że człowiek ten wzroku nie posiadał. Kobiéta dane te, będące wynikiem prawidłowego kształcenia i normalnego rozwoju indywidualnego, zastępować jest zmuszona innemi a nierównie mniéj żywotnemi pierwiastkami, jak naśladownictwem, wiarą w przekonanie i doświadczenie drugich — rutyną. Umysł jéj w ten sposób poddać się musi dobrowolnie w rodzaj kleszczów, które krępują i ścieśniają każdy sąd i każdy swobodniejszy a bezstronniejszy duch myślowy, następstwem zaś tego konieczném jest, że kobiéta w dzisiejszym stanie jéj rozwoju, częściéj nierównie jest subiektywnie, niż obiektywnie myślącą. Gdybyż jéj saméj, chociaż dobrze z tém było, ale subiektywizm ten w dodatku to część jéj cierpień. Kobiéta, jak każdy człowiek, im bogatszą jest jéj natura, tém więcéj w sobie czuje najrozmaitszych pragnień i dążeń, które rwą jéj ducha w rozlicznych często sprzecznych ze sobą kierunkach. To im ulega, to je opanować się stara, ale jak w jednym tak i drugim razie przegrywa w téj walce ze samą sobą, bo życie i szkoła nie nauczyły jéj czém jest i jakie są sposoby na względne zadawalnianie tego własnego ja. Stąd ów brak często harmonii w życiu, stąd może i zwątpienie, pesymizm tak często dziś pojawiający się wśród kobiét, nie ów pesymizm przejściowy, jaki zaznaczyliśmy w rozwoju normalnym każdego człowieka, nie ów pesymizm teoretyczny, wynik głębokiego myślenia, ale ów pesymizm, jako niemoc wobec samego siebie, do którego rozlicznych pojawów pozwolę sobie zaliczyć nader przykrą chwiejność w postępowaniu, nieśmiałość wobec własnych przekonań, skłonność do długiego przebywania w stanie rozstroju, słowem niepewność dróg i celów, jakiemi i do jakich się zmierza.

Reasumując zatém, powiedzmy: kobiéta jak i mężczyzna z natury swoich zasobów jest i być może zarówno subiektywną, jak i obiektywną, stosownie do tego, czy posiada większą lub mniejszą dozę téj siły intelektualnéj, jaka potrzebna jest do opanowania własnéj indywidualności, stosownie do tego, czy temperament jéj więcéj lub mniéj ma w sobie pierwiastków dodatnich; że zaś wychowanie i kształcenie kobiét zmierza często do wykrzywiania zdolności ich wrodzonych, do wyniszczania zdrowéj refleksyi, do usypiania najcenniejszych zasobów temperamentu, że warunki życiowe nie pozwalają się kobiecie rozwijać normalnie, czyniąc z niéj zamiast siłą panowania nad sobą obda-

rzonego człowieka słabą i wątłą, naginającą się do każdego wewnętrznego pragnienia roślinkę, że ustrój społeczny każdego kraju pomija istotne potrzeby kobiét i przymusza je do zgnębienia w sobie poczucia własnych praw i obywatelskiéj z mężczyznami równości — wszystko to składa się na objaw zaprzeczyć się nie dający, iż kobiéta częściéj nierównie cierpi pod skłonnością do subiektywizmu, co jednak ze zmianą warunków i instytucyi społecznych, przysługujących dziś kobiecie, ustąpi niezawodnie.

A rzecz to nie małéj wagi: Panować nad sobą samym, rozporządzać niezamąconą świadomością, patrzéć na świat i ludzi nie przez szkła własnéj tylko ambicyi, smutku, gniewu, obawy, zgryźliwości lub nerwowego rozstroju, ale patrzéć na rozwój życia rodzinnego, towarzyskiego i społecznego zupełnie bezinteresownie dla saméj przyjemności, jaką to poznanie sprawia, a co ważniejsza, brać czynny udział we wszystkich objawach tego życia, nie w celu zadawalania zmiennych stanów psychicznych, ale dla istotnego pożytku własnego, rodzinnego, oraz dla pożytku społeczeństwa, to jedynie ideał godny człowieka. Aby do takich ideałów częściéj zdążała kobiéta, potrzeba, aby wychowanie i kształcenie, oraz instytucye społeczne mniéj miały na celu kobietę-żonę, a więcéj kobietę-człowieka.

Anna Wyczółkowska.





DZIELNA KOBIÉTA.

POWIEŚĆ *).

IV.

Judyta wracała wolno do hotelu, niezadowolona z siebie.

— Zmaltretowałam chłopca, szarpałam mu serce, mściłam się—i za co? Za to, że kocha piękną dziewczynę i żeni się z nią, gdy ona tego chce.

— Skąd mi się wzięła ta wymowa, upór, złość, śmiałość — mnie, którą do niedawna raziło każde „*shoking.*“

Przypomniała sobie rozmowy z Henrykiem.

— On jest we mnie, czuję jego wpływ, siłę i logikę rozumowania... Mówiłam jego myślami. *Mary*—jakaż ona piękna, dobra, szlachetna! Patrzała się na mnie dumnie i litościwie. Pogardza mną. I już jéj nigdy, nigdy nie zobaczę!

Cicho, jak cień, wsunęła się do pokoju Henryka.

— A więc? — zapytał.

Rozkazujący ton i szorstkość głosu niemile ją dotknęły.

Usiadła, zdejmując kapelusz.

— A więc stało się, co chciałeś. Byłam z nim na obiedzie, potém w jego pracowni. Widziałam przepyszny portret *Mary*.

Henryk usiadł naprzeciwko, wpatrując się w nią badawczo.

— A daléj?

— Daléj wié, że jestem twoją stronniczką.

— Wié?

---

*) Ciąg dalszy—patrz zeszyt za m. maj r. b., str. 217.

— Powiedział mi to zaraz po przywitaniu.

— Jakże się zapatruje na ucieczkę *Mary.*

— Dosyć napozór obojętnie. Sądzę, że nie odgrywa czynnéj w téj sprawie roli.

— Jest jednak pewny swego.

— Być może.

— Kiedy się zobaczy z Maryą?

— Tego nie wié,—myślę, że mówi prawdę.

— Gdzie jest Marya?

Judyta spłonęła i zachwiała się.

— Ty wiész, gdzie ona jest. Patrzył na nią spokojnie, lecz przejmująco.

Pod tym wzrokiem lodowato zimnym, biédna kobiéta drżała i mieniła się.

— Judyt, droga, kochana moja Judyt, gdzie jest Marya? — Głos jego był stanowczy.

— Nie wiem—rzekła zmięszana—bo i on nie wié na pewno.

— Powtórz, co ci powiedział.

— Czy pragniesz tego koniecznie?

— Judyto, wierzę, że nie jesteś dzieckiem i że nie chcesz ze mnie żartować.

— Ale i zdradzać nie chcę.

— Kogo?

— Uczciwych ludzi.

— To ja i ty jesteśmy nie uczciwi? Moja droga, tyle już chwil przeżyliśmy razem, nie dla tego i po to, aby pierwszy lepszy błazen przeciągał cię na swą stronę i zwyciężał. Czy sądzisz, że ja na to pozwolę?

Przysunął się bliżéj, ujął jéj ręce i trzymając w swych dłoniach mówił daléj:

— Co ci powiedział, powtórz pociecho mego życia—powtórz.

Judyta została pokonaną.

— Mówił mi, że *Mary* schroniła się do jednego z klasztorów w Belgii i tam ma czekać swéj pełnoletności.

— Przysięgasz?

— Popełniłam podłość dla ciebie, lecz kłamać i podwójnie zdradzać nie umiem.

Henryk powstał.

— Ale przysięgam ci, że jeżeli mi jeszcze będziesz dawał wstrętne rozkazy, nie usłucham cię nigdy, nigdy! — zawołała z mocą.

Henryk milczał. Śledził pracę mózgu i grę nerwów, odbijającą się na jéj twarzy.

— Dokuczałam mu — mówiła daléj — bez żadnéj potrzeby, aby tylko ulżyć swéj złości i zawiści. Nie pójdę tam już nigdy, a jeżelibym poszła, wyrzuci mnie.

— Pójdziesz, moja droga, a on cię nie wyrzuci.

— Nigdy, nigdy! Za co ty mnie tak dręczysz. — Zerwała się i wybiegła z pokoju.

— Zrobisz wszystko, kochanko, co ci każę. Nie takie ja charaktery, jak ty, biédaczko, ujeżdżałem. A teraz do czynu — należy działać szybko. Jeżeli ten głupiec nie skłamał, przy moich stosunkach w Belgii znajdę ją i odzyskam.

Otworzył drzwi, któremi wyszła angielka.

— Judyt, pieszczoto moja, chodź, nie obawiaj się. Przyrzekam, że ci nigdy nie dam polecenia, któregoby twoje nerwy nie mogły znieść. Jesteś fantastyczka, masz fałszywe przeczucia, boisz się, sama nie wiész czego.

— Nie mówmy już o tém.

— Przypuszczam — zaczął Henryk — że chłopak ten, mówiąc o klasztorze, nie skłamał.

— Poczciwą miał minę.

— Mieszczanie i chłopi, gdy mają najpoczciwsze miny, wtedy najwięcéj kłamią. W każdym razie, trzeba się przekonać. Dziś jeszcze wyjadę do Brukselli i tam się dowiem prawdy. Judyt, skarbie mój, pozwalasz?

Serce Judyty wezbrało uczuciem. Poddawała się z wewnętrznym bólem sile i wpływom tego człowieka, lecz się oswobodzić nie mogła.

— Zostawisz mnie samą?

— Konieczność, moja droga, nieubłagana konieczność. Musisz tu zostać śledzić go. Jeżeli nas oszukał, to Marya znajdzie się tu. Dasz mi znać.

— Nie chcę jéj widzieć, nie zniosłabym jéj spojrzenia: gdy pogardza, patrzy strasznie. I ty doświadczyłeś tego.

— Chciała mnie zmaltretować wzrokiem, lecz żartuję sobie z jéj spojrzeń i pogardy. Trzeba ją ratować mimo jéj woli. Malarz być może niezły chłopak, lecz pewno i on sam widzi niedorzeczność związku swego z Maryą.

— Zdaje mi się, że go więcéj pociąga młodziutka, jasnowłosa niemeczka, która mu kawę przynosi.

— Niezawodnie, przysiągłbym na to. Zostawimy go z pulchną niemeczką, a sami zabierzemy Maryą.

Judyta uśmiechnęła się smutno.

— Masz jakąś piekielną władzę nademną.

— Bo cię kocham.

— Tom ja raczéj dziwnie zaprzepaściła się w tobie.

— Czyby to być mogło, bez gorącego udziału z méj strony.

— Takby się zdawało. Często jesteś straszny, okropny. Boję się ciebie, chcę umrzéć, uciec, a ruszyć się nie mogę.

— A ja? Co się ze mną dzieje na samą myśl, że przegrałem tak nędznie i głupio stawkę mego życia... Co teraz pocznę? Jestem zrujnowany, ośmieszony, niemożliwy. Ekonom ten...

— Roman?...

— Będzie mnie ciągnął po sądach o zdanie rachunków z opieki. Przyszły mąż, miałem ze skrupulatnością buchaltera zapisywać każdy wydany grosz?... Co mnie czeka, co ja pocznę... Ściskał rękami głowę, chodząc po pokoju.

— Judyt — odezwał się serdecznie, stając przed angielką — ratuj mnie.

— Jak? zrobiłam wszystko, coś chciał, aż do zdrady.

— Ty kochasz Zalesie?

— Jakby swój rodzinny kąt. Jezioro, lasy, na południu sine góry, ogród, wioska rozrzucona w olszowych gajach, po rozłogach brzezinowe białe laski... Tęsknię za Zalesiem...

— Jeżeli nam się nie uda odzyskać Maryi—pogódź się z nią.

— Nie myślałam o tém. Jest to niepodobieństwo.

— Ona nie wié o naszych stosunkach. Zaledwo czegoś może się domyślać. Przebaczy ci.

— Znam jéj dumę, pojęcia o honorze i nieskazitelności... Ona mną pogardza.

— Ale jest szlachetną, dobrą. W tę strunę jéj uczuć możesz uderzyć... Nigdy się nie powodowała banalną moralnością.

— Dlaczego chcesz, abym się z nią godziła?

— Dlatego tylko, że w Zalesiu było ci dobrze i kochasz go, jak swój własny kąt.

— Masz zamiar pozbyć się mnie?

— Broń Boże, lecz ja mam mało, ty niewiele! Będziemy musieli się rozstać.

— Prawda—szepnęła, zamykając oczy.

Henryk ujął ją delikatnie za ręce.

— Pewno wiész, że ja jestem po *Mary* jedynym dziedzicem Zalesia.

— Słyszałam, lecz dlaczego przypominasz mi to w téj chwili?

— Sam nie wiem, skąd mi się wzięło, dość że jestem jedynym spadkobiercą *Mary*. I jeżeli ją przeżyję...

— Ty?

— Bywają wypadki...

— W takim razie, ja nie chciałabym przeżyć podobnego wypadku.

— Przeżyjesz.

— Ja kocham *Mary*, słyszysz, kocham ją.

— Bardzo dobrze, nie zakazuję ci kochać jéj. Cóż znaczy miłość twa do *Mary* z moją możnością przeżycia jéj? Podobno i mnie kochasz?...

— Więc czegóż chcesz?—czego ty odemnie chcesz?—powtórzyła przerażona.

— Nic, tylko jeżeli ją przeżyję, będę panem Zalesia, ty panią... Bo że nasze losy złączone na śmierć i życie, o tém nie wątpisz.—Pochylił się, całując ją w czoło.—I to się stanie, to się musi stać...

Judyta nieruchoma i sztywna nie poruszyła się. Nareszcie dreszcze przeszły po jéj ciele, zerwała się.

— Kiedy jedziesz?

— Za godzinę—odpowiedział spokojnie. — Gdy się o czémś dowiem i zatęsknię za tobą, powrócę. A tymczasem, pilnuj, śledź — dawaj znać. Droga Judyt, jesteś moją—i wierzysz w to. Do widzenia.—Pocałował jéj usta, wyszedł.

— Siew rzucony zakiełkuje w sercu, myśl powoli będzie się wżerać w mózg i dopóty dręczyć słabą wolę, dopóki nie zmieni jéj w czyn. Holofernes, droga Judyt była to próba tylko, a tak się głęboko wryła w twą duszę, takie wywołała objawy. Nie wątpię, że wrócisz niedługo do Zalesia, odpoczniesz, nabierzesz sił, utyjesz troszkę; — wygody życia i próżniactwo rozbudzą pożądliwości — wtedy cię dopiéro wezwę, przylecisz...

— Głupia dziewczyno — myślał o Maryi,—sądzisz, że ja się dam okradać ze czci i honoru, spychać ze stanowiska, na jakie zostałem postawiony urodzeniem, uśmiechem losu i fortuny?... Jeżeli tak myślisz, jesteś naiwna tyle, ile ci głupcy, co cię otaczają, są idyotami... Judyto, za dużo z méj strony poświęcenia i za dużo zmarnowanego czasu. Ja piękny, silny, o starém nazwisku, wytresowany w sztuce zjednywania sobie serc najwykwintniejszych kobiét, oddałem ci cały miesiąc mego życia! I za to nie miałabyś być mojém narzędziem?... Piękna

kuzynko, walka jeszcze nieskończona, dramat dopiéro zaczęty. Jeżeli akt pierwszy skończy się dla ciebie zwycięstwem, dla mnie zostają jeszcze dwa!

Odjechał.—Judyta głęboko westchnęła. Uczuła, że jakiś ciężar spadł jéj z serca.

To być musi, być musi,—dźwięczało jéj w uszach, jak klątwa.—Co być musi,—zapytała się i wzdrygnęła. Boże, Boże, ratuj mnie! To mój kat, palił mnie wzrokiem, a chłostał słodyczą, zimnem i rozkazującą logiką. Ten jego wzrok, któremu się oprzéć nie mogłam...

Odjechał, nie ma go—nie czuję nad sobą świstu jego bata w słowach łagodnych, a strasznych. — *Mary*, moja *Mary*, jak ona na mnie patrzała z portretu... I ten chłopak wesoły, dzielny, zakochany w sztuce—przypomnieli mi Zalesie. Byłam tam dobrą, serdeczną, kochającą...

To być musi?! Nie, nie... Uwolniona z pod twego wpływu i żelaznéj woli, odzyskuję powoli świadomość siebie.

Duszno jéj było—otworzyła okno.

Noc księżycowa, ciepło, tłumy spacerujących ludzi wyciągnęły ją na ulicę.

Zamyślona, nie umiejąc sobie jasno zdać sprawy ze swego stanowiska, nie mając pojęcia o swéj przyszłości, zadumana, raczéj odurzona, bez możności jakiegokolwiek postanowienia szła w kierunku bramy tryumfalnéj... Żałowała Zalesia, *Mary* stała jéj przed oczami, tęsknota za nią zaczęła ją pożerać.

Przechodziła obok rzęsiście oświetlonéj kawiarni, tony wesołéj muzyki wydobywały się, gromadka ludzi słuchała. Chcąc ich obejść, dostała się na środek ulicy, — gdy prawie koło jéj nóg przesunęła się dorożka, wioząca Adama w białym krawacie i szapoklaku.

— Gdzie on jedzie—może *Mary* jest tu.

Stary bawar drzémał na koźle, stara szkapa szła małego truchcika.

— Panie Adamie—zawołała.

Adam się ocknął, bawar przebudził, szkapa stanęła.

— Gdzie pan jedzie?

— Na wesele kolegi artysty, niemca.

— Na wesele?

— Niestety, jeszcze nie na własne.

— Mam do pana prośbę o wielką łaskę.

— Siadaj pani, jeśli masz czas—pomówimy w drodze.

Judyta siadła. Bawar świsnął w powietrzu batem, stara pomyślała chwilę i ruszyła.

— Znalazłam się względem pana nędznie. Przykro mi i wstydzę się.

— Nie gniéwam się, wrażenie minęło. Przeczułem w wymowie pani obce wpływy.

— Prawda, lecz wpływy te ustępują, wracam do równowagi.

— Cieszę się.

— Mówisz to pan tak zimno i obojętnie.

— Cóż mam zrobić—uściskać panią z radości?...

— Czy pan pozwolisz, abym jutro przyszła do pracowni.

— Proszę, ponieważ nie będziemy wznawiać dzisiejszéj rozmowy.

— Nigdy, nigdy! Jesteś pan dobry, że po niéj chcesz mnie jeszcze przyjąć. Dziękuję.

Dorożka stanęła przed otwartą bramą kamienicy.

Oświecone okna, muzyka, przesuwające się pary poświadczyły, że Adam mówił prawdę.

— Do jutra — baw się pan wesoło i bądź dobréj myśli. *Mary* pana kocha, będzie kochać i dobry wybór zrobiła.

Wysiadła.

W oknie ukazała się Kätti, dając niecierpliwie znaki Adamowi.

Judyta wracała zamyślona.

— Co za szczęście, żem go spotkała. Nie byłabym śmiała do niego pójść. Zaczyna mi być lżéj na sercu... „To być musi“ — zachuczało jéj w mózgu. Przyśpieszyła kroku, jakby chciała uciec od tych wyrazów, od téj myśli, od tego rozkazu. Zmęczona wbiegła do hotelu, zamknęła się w swym pokoju, pochwyciła pióro — pisać zaczęła:

„Boję się ciebie, nie mam sił do obrony—uciekam.

„Wrócę do *Mary*, może mi przebaczy podłość moją...

„To się nigdy nie stanie, słyszysz—nigdy, jak ty już nigdy mnie nie zobaczysz.

„*Judyta.*“

Późno w noc zasnęła. Śniło się jéj, że Henryk wielkiemi oczyma pochłania ją, a ręka daje rozkaz spełnienia zbrodni... „To być musi.“

Widzenie się zmienia, przeobrażając w inne straszniejsze. Prowadzą ją na rusztowanie.

Biédna kobiéta z krzykiem zerwała się na równe nogi.

— To nie musi być i nie będzie—powtarzała—nigdy, nigdy, raczéj śmierć.

Mary, czemużem ja z tobą nie uciekła? Jakiż on we śnie był straszny ten „słodki“, co za siła w spojrzeniu. A oczy, te jego wielkie oczy dreszczem mnie przejmują.

A jednak nie daléj, jak dwadzieścia cztery godzin temu, kochałaś go...

Prawda, kochałam, lecz jakiémś dziwném, ślepém, zwierzęcém przywiązaniem, bez możności z méj strony oporu, wydania sądu... I dlatego jest on dla mnie straszny.

Słońce, wydobywszy się z po za wysokich murów kamienic, rzuciło snopy jasnego, wesołego światła w okna pokoju Judyty.

Uciekać, uciekać — czuję, że nie byłabym w stanie oprzéć się jego strasznéj „słodyczy“, jego uściskom, a w rezultacie jego woli i rozkazom.

Nie, to się nie stanie. Boże wielki, ratuj mnie.

Zamyśliła się.

Pięknością i dobrocią mnie zjednał, siłą owładnął, pieszczotami pokonał—i ciągnie za sobą ofiarę...

A teraz przeklinajcie mnie, sądźcie, skazujcie i zamordujcie — wyciągnęła przed siebie ręce.

Uciekać, bo oszaleję, lub się otruję! Gdyby w téj chwili stanął przedemną, roztworzył ramiona i swym przejmującym głosem przemówił:

— Judyt, moja droga Judyt—chodź...

Wpadłabym w jego objęcia, biédna, nieszczęśliwa, nędzna. Bóg tylko jeden może nas sądzić, On jeden ma prawo, On jeden zna nasze serca...

Mary, moja droga *Mary*, czy i ty mi przebaczysz?... A jak mnie odpędzisz od siebie?!... Tego ciosu nie przeżyję, bo i on jako nieużyteczną również odpędzi!

Za te kilka chwil szału i zapomnienia, jakże każesz strasznie płacić ty, kacie mój!...

Zimna woda ochłodziła jéj rozpaloną głowę i uporządkowała poszarpane od burzy myśli.

Ubrała się, była zaledwo siódma.

Nie trzeba go budzić—myślała o Adamie—niezawodnie tańczył do białego dnia.

Niemeczka przyzywała go przez otwarte okno...

Szczęśliwy, kocha *Mary*, pieści i bałamuci niemkę. Im wszystko wolno.

I ja miałam dni upojenia...

Zmęczona, siedząc w fotelu usnęła. Zobaczyła *Mary* zbliżającą się do niéj, uczuła rękę jéj na swém czole.

— Pzebaczam ci, uspokój się — pod moim wpływem będziesz znów dobra, szlachetna, nasza.

Uśmiéchała się we śnie rozkosznie, wyciągnęła rękę, aby pochwycić Maryą, przebudziła się—była dziesiąta.

W pół godziny późniéj otworzyła pocichu pracownię. Wielka izba była pusta, królował w niéj jedynie portret Maryi. Na stołku leżał frak, rzucony biały krawat i ślubny bukiecik.

W przyległym pokoiku, przez odchylone drzwi spostrzegła na łóżku Adama. Pogrążony był we śnie, obnażoną rękę podłożył pod głowę, połamane kędziory spadały mu na czoło. Oddychał spokojnie; z po za odchylonych ust bieliły się szeregiem zęby.

— Holofernes — pomyślała, dreszcze ją zimne przeszły, odwróciła się, przenosząc wzrok na portret.

— *Mary*, moja dobra *Mary*, to się nie stanie, to się nigdy nie stanie.

Zdawało się jéj, że Marya z obrazu uśmiécha się do niéj i przebacza.

— Ach, jak ja pragnę być przy tobie, słuchać cię i kochać.

Nabrała odwagi, zbliżyła się do drzwi.

— Dzień dobry. Wielki śpioch z pana. Już po dziesiątéj dawno.

— Dzień dobry pani — śniłem rozkosznie. Byłem w Zalesiu, pani z nami. Jak tam dobrze, wesoło...

Judyta ze wzruszenia nie mogła mówić.

— Jestem w dobrym humorze, mam dobre przeczucia. Zaczekaj pani chwilkę, zaraz się pokażę.

Zerwał się, przymknął drzwi. Słychać było plusk wody.

— Co ja mu powiem, jak przekonam, czy mi uwierzy? — *Mary*, *Mary* ratuj mnie.

— Jestem. Po całonocnych tańcach nie czuję się tak zmęczonym, jak po sześciogodzinnéj pracy.

— Panie Adamie, postąpiłam nędznie.

— Przedewszystkiém wierzę w dobroć pani — i mam dla niéj dużo sympatyi. Gdyby nie ty, panna Marya nie byłaby moją narzeczoną. Zostałaś zbałamuconą przez „słodkiego“, a jest on w tych rzeczach majster.

— Oczarowaną — zawołała — zawojowaną, pochłoniętą. Wytłómaczył mi, że popełniłam zbrodnię względem *Mary*, pomagając panu.

— Wierzę, zrobię, co będę mógł, aby panią pogodzić z panną Maryą. Czego pani żądasz—rozkazuj.

— Pragnę stąd uciec... Jego tu nie ma, lecz może lada chwila się zjawić. Nie chcę wiedzieć, gdzie jest *Mary*. Lecz w chwili, kiedy będzie spokojna o swą przyszłość, kiedy zostanie żoną pańską, dajcie mi znać — przyjadę. A pan, panie Adamie, wyproś mi przebaczenie...

Do pracowni z miną zawadyacką wpadł młody człowiek — z miny i czupryny artysta.

— Jest, podał Adamowi list, masz, trzymaj, czytaj, ciesz się, — a ja ci powiem...

Zobaczył Judytę.

— Czy to nie ona?—szepnął.

— Nie—odpowiedział Adam wesoło.

Judyta się uśmiéchnęła.

— Mój przyjaciel, Stanisław Knajpkiewicz — *miss* Judyt, protektorka sztuki, sama malująca pejzaże akwarelami. Bawcie się, wybiegł z listem do drugiego pokoju.

— Akwarelami pejzaże „*connu*“ — odezwał się artysta.

— Jest to u nas w Anglii — odpowiedziała Judyta — dokończeniem edukacyi.

— Jesteś pani angielką i mówisz po polsku.

— Od kilku lat bawię w Polsce.

— *Miss* Judyt, znam panią z opowiadań Adasia. Pomagałaś mu, a potém ten „słodki“. Nie wierz pani słodkim na gładko uczesanym;—ciekawi panowie.

Judyta oblana rumieńcem przymrużyła oczy.

— Przepraszam panią, nic sobie pani z tego nie rób, to zwyczajna heca, lepiéj szopka, a nawet szopa... Wskazał na portret. Podobna?

— Bardzo—szepnęła Judyt.

— Jakie ciało, jaka karnacya. To mistrz co do ciała. Najlepiéj z całéj akademii malował „akta.“

Wszedł Adam z listem w ręku. Z oczu jego i twarzy biła radość.

— No cóż—spytali Judyt i Stach.

— Sny się sprawdziły. Zobaczymy się w Zalesiu. Słuchajcie— zaczął czytać:

„Już nikt nie jest zdolny przeszkodzić naszemu połączeniu. Będziesz moim, zwyciężyłam, chociaż zdawało się, że świat cały sprzysiągł się przeciw nam.“

Judyta wyciągnęła do niego rękę. Uścisnęli się.

— Adaś, pyska!—cieszę się. A teraz spójrz pani na portret i na tego faceta. To ma być jego żona!

— Dobrana para.

— Taka sama, jak gdybym ja, ożenił się z panią.

Rozśmiali się.

— Stach, nie znasz jakiego cichego a spokojnego miasta na północnym stoku Alp?

— Jedyne Botzen.

— Byłeś tam?

— Tydzień przeszłego roku.

— W którym stałeś hotelu?

— „Pod Czarnym Orłem.“

Adam zaczął szukać koło siebie.

— Nie masz papiérosów?

— Właśnie sam chciałem zapalić.

— Zejdź na dół i kup, podał mu portmonetkę, — a kłaniaj się Lieschen.

Stach wybiegł.

— A więc, jedź pani do Botzen, stań „Pod Czarnym Orłem“ i czekaj. Zatelegrafuję, a może napisze Marya lub ja. Nie widziałem w Monachium słodkiego — fakt, żeś pani uciekła przed nim tu, prosić mnie o wstawiennictwo do Maryi... Oszukana, obałamucona, działałaś w dobréj wierze dla jéj szczęścia. Jesteś niewinna i nieszczęśliwa... zgoda!?... Nic przed Maryą, coby ją mogło zrazić. Szanujmy w niéj niepokalaność uczuć.

— Dobry, szlachetny—szeptała Judyt.

Wrócił Knajpkiewicz z papiérosami.

— Wiész, Lieschen w różowéj sukni i w kanarkowéj chusteczce—kolory, co? pycha. Niemki mają pojęcie o harmonii kolorów takie, jak i angielki... Przepraszam, nie znam się na komplementach. Co innego ten komik—wskazał na Adama—co się żeni z księżniczką, jest już wytresowany do chodzenia na dwóch łapach.

Judyt uśmiéchnęła się tylko z grzeczności, była tak wzruszona, że mówić nie mogła, wyciągnęła rękę do Adama, skłoniła się Knajpkiewiczowi — wyszła.

Na ulicy oprzytomniała.

— Wrócę do mojéj *Mary*, do Zalesia. Wydobędę się z drapieżnych szpon tego człowieka... Chłopak szlachetny i dobry, o delikatnych uczuciach. Oszczędzi mnie i pozwoli patrzéć w oczy *Mary*. Dziś jeszcze pojadę do Botzen. Cicha miejscowość — góry. Ja tam umrę z tęsknoty i niecierpliwości.

Weszła do księgarni, zakupiła dziesięć ostatnich romansów an-

gielskich, bardzo tkliwych, sentymentalnych, szlachetnych, długich i nudnych...

— Ucieknę—co za rozkosz; jutro mógłby znowu mnie pochwycić i w uściskach swych prowadzić do... W ciszy tyrolskiego miasteczka zapomnę o nim...

Przyjaciele zostali sami.

— A więc?...

— Wszystko skończone.

— Tak prędko?

— „Słodki“ zrobił podanie o usamowolnienie swéj pupilki, chcąc się z nią ożenić. Roman podczas jego nieobecności sprawę przeprowadził, usamowolnienie wydobył, papiéry przywiózł.

— Nic nie brakuje?

— Pana młodego.

— Jedziesz?

— Jutro.

— Szczęśliwyś?

— Bardzo, lecz boję się.

— Czego?

— Zagadki—co znajdę na drugiéj stronie progu nowego życia.

— Wielką panią, hrabiankę, która cię kocha i chce za męża. Oto wszystko. Śmiało, naprzód—życie jest szopą, sztuka jego udręczeniem, ale i rozkoszą. Łeb na dół, oczy zamknąć i naprzód. To cała filozofia.

— A z ciebie filozof—niech cię nie znam.

— Lepszy, jak ci się zdaje. Co myślisz robić z tém płótnem — wskazał na portret.

— Wysłać go na wystawę do Medyolanu. Zrobię narzeczonéj niespodziankę.

— Gdzież ona jest?

— W północnych Włoszech nad jedném z trzech jezior.

— W takim razie musicie być w Milano. Przysięgam ci, że i za to płótno dostaniesz medal. Nie ma na niém nic nadzwyczajnego, ale porządnie malowane. To właśnie daje medale.

— Zapakujesz mi i odeślesz?

— Dla ciebie chętnie — dziś jeszcze. Trzeba ci się pożegnać z kolegami, nie przebaczyliby ci ucieczki.

— Koniecznie chcę i muszę. Stach, wszystko przygotuj. Jestem tak wzruszony, że myśli zebrać nie mogę.

— Gdybyś był filozofem, choćby takim jak ja.

Adam się rozśmiał.

— Co powiész, Kätti. Zblaguj, co chcesz, tylko nie roztkliwiaj niemeczki, bo możesz miéć niepotrzebne historye.

— Powiem, że wyjeżdżam z obrazem na wystawę. Poproszę, aby mi ułożyła i zapakowała rzeczy.

— To najlepiéj!... Ty znasz niemki. Zapomni o zmartwieniu, dasz jéj dowód wielkiego zaufania. Będzie miéć miłą rozrywkę.

Sprowadzono stolarza.

Kätti na widok zdjętego płótna, wydobyły się z oczu grube łzy, spadając na biały fartuszek.

Adam ją wyprowadził do drugiego pokoju.

Tam nastąpiły pożegnalne pocałunki i cicha prośba.

— Wracaj, bo mi serce pęknie.

V.

W nocy odprowadzony przez kolegów tłumnie na dworzec, przy wesołych okrzykach, odjechał przez Lindau, Chur, Simplon na dolinę Adygi.

Dla młodego artysty zlatywać z północy przez wielkie góry, pokryte śniegiem, w doliny słońca, renesansu i miłości, to rozkosz. Ze szczytów Alp wpadać w objęcia ukochanéj, to szczyt marzeń...

Przesuwające się przed jego oczami obrazy, nietylko odczuwał, lecz je pożerał łakomie nie jako malarz, lecz raczéj poeta obejmujący wielkie przestrzenie.

Na przedostatniéj stacyi przed Como czekał na niego Roman. Bracia przywitali się serdecznie.

— Zmężniałeś i wyładniałeś — wołał Roman, wpatrując się w młodego artystę.—Nie widzieliśmy się cały rok!

— Panna Marya?—zapytał wzruszony Adam.

— Czeka. Kazała mi wyjechać aż tu, abyś się nie błąkał po Como. Mam cię przywieść odrazu do niéj, do jéj stóp.

Adam zbladł ze wzruszenia.

— Tyle przejść, walk o jednego głupca, jakim ja jestem.

— To bohatérka—zawołał Roman.—Energia, dzielność...

— Mój drogi—spytał Adam—powiédz z ręką na sercu, czy ona mnie kocha?

— Gdyby było inaczéj, nie narażałaby życia, swych rodzinnych stosunków, nie wychodziłaby ze swéj sfery, nie paliła za sobą mostów... Kocha, lecz cię weźmie za czupryné. — Pokazał zaciśniętą pięść i rozśmiał się. — Ale co ty z nią, z tą wielką panią, biédaku, będziesz robił—dodał naiwnie.

— Nie przerażaj mnie, nie strasz. To co się stało, spadło na moją głowę tak niespodziewanie. Dotąd umiałem o niéj tylko marzyć. Lecz gdy się zbliża chwila, że z tą wymarzoną będę musiał żyć, strach mnie przejmuje.

— Nie bój się, nie taki dyabeł straszny. Jesteś młody, przystojny, masz talent, przyszłość przed sobą, zwyciężysz.

— Czyż będę potrzebował walczyć?

— Chciałem powiedziéć, że zapanujesz w sercu téj dobréj i dzielnéj kobiéty.

Adam posmutniał.

— Rozprawiamy jak dwóch tchórzów i egoistów wobec szczęścia i oblubienicy, którą zobaczysz za pięć minut.

— Za pięć minut, już za pięć minut!

— Ty naprawdę się boisz, ha, ha, — Roman zaśmiał się poczciwie.

— Nie jestem przygotowany do roli wielkiego pana.

— Lecz jesteś przygotowany do roli męża młodéj pięknéj dziewczyny.

Rozległ się świst lokomotywy.

— Zbieraj manatki—zakomenderował Roman—oddaj przekaz na rzeczy, powóz czeka.

— *Como! Como, due minute* — wołali konduktorzy, otwierając drzwi.

— Wychodź — naglił.

Adamowi stanęła w myśli Kätti szepcząca *mein Schatz, mein Kind, mein Gott.* Do niéj leciałby z uśmiechem pana i tryumfatora.

Wysiadł, służba pochwyciła pakunki, Roman wziął go pod ramię.

— Adasiu, panujże nad sobą, miejże rozum; idziesz jak na ścięcie. Śmiało, przebojem, naprzód a zawsze zwyciężysz. Rozumiész?... Odwaga imponuje kobiecie.

Adam się wstrząsł, dreszcz nerwowy przebiegł po jego ciele, wyprostował się, uśmiechnął.

— Już zapanowałem—rzekł — i niechaj będzie co ma być.

Siadł do powozu, patrzał spokojnie na wody jeziora, rozrzucone nad brzegiem pałacyki i na Alpy błyszczące od śniegu srebrem.

— Rozkosznie tu — szepnął.

— Przedewszystkiém dla zakochanéj pary — dodał Roman.— Tém więcéj, jeżeli on jest sławnym artystą, a ona...

— Wielką panią... — dokończył Adam.

— Nie przeczę, lecz kochającą artystę i sztukę.

— Patrz stoi na ganku téj oto nad jeziorem willi. Powiéwa chustką, kłaniajmy się.

Adam stanął w powozie, zdjął kapelusz, wiatr targał mu kędziory włosów. Patrzał jak na zjawisko, nie odrywając oczu.

Zajechali, powóz się zatrzymał. Wyskoczył, biegł przesadzając po pięć schodów, wpadł do pokoju, Marya wyciągnęła do niego ręce, ukląkł, objął jéj kolana i całował.

Podniosła go, pochwycił jéj ręce, podała mu czoło. Nie miał odwagi nie pocałować.

Zaszeleściało, może kwiaty popychane wiatrem zaczęły się na złość kochankom całować. Szelest ten ocucił młodą parę.

Marya wzruszona zsunęła się na kanapkę, Adam ukląkł przy niéj.

I znowu zaszeleściało, powoli, cicho otworzyły się drzwi, na progu ukazał się Roman rozpromieniony szczęściem.

— Chodź pan chodź i pomagaj mi — mówiła Marya...— Dotąd ten pan nie przemówił ani jednego wyrazu.

— Nie stać go na słowa.

— Nie spytał się nawet skąd i jak się tu wzięłam.

— Widzi panią i to mu wystarcza.

— Nie jest ciekawy nawet dowiedziéć się kiedy jego ślub.

Adam ukrył twarz w dłoniach Maryi.

— Za trzy dni, za niecałe trzy dni, słyszysz szczęśliwcze — zawołał Roman.

— Słyszę—odpowiedział cicho.

— Panie Adamie siadaj obok mnie i przemów nareszcie.

Podała mu rękę, Adam ją zatrzymał, Roman się zbliżył siadając naprzeciw narzeczonych.

— Opowiadaj pan swoje przygody, a my potém opowiemy nasze.

Adam zaczął mówić z werwą i komicznym odcieniem o pierwszém spotkaniu z Judytą, obiedzie, wizytach jéj w pracowni. Marya wypytywała się o szczegóły, przerywała i sama odpowiadała.

Nie była to wielka pani wychodząca za malarza, ani artysta pokonywający formę, lecz dwoje dzieci wesołych i szczęśliwych z odniesionych zwycięstw, patrzących w przyszłość, jak na rozkoszną sielankę.

O ostatniéj bytności Judyty u siebie mówił spokojnie, ze współczuciem, nawet rzewnie.

— Jest nieszczęśliwą, wyzyskaną, oszukaną. Głównym motywem jéj postępków była rzetelna miłość dla pani. Wymowa i logika

„słodkiego“ są silne. Czeka w Botzen zmiłowania, miłosierdzia, łaski i przebaczenia.

— Cobyś pan zrobił na mojém miejscu?

— Zatelegrafowałbym, aby przyjechała do Medyolanu. Widziałem rozpacz na jéj sympatycznéj, zmęczonéj bólem twarzy.

— Zgoda. Pierwszy to akt łaski przez pańskie wstawiennictwo wydany. Cieszę się, że mogę jéj przebaczyć, nie pojmuję Zalesia bez Judyty. Gdyby nie ona, nie wiem coby się stało, lecz to pewna, że nie bylibyśmy razem dziś w Como.

Po obiedzie, wracając z telegrafu, wsiedli do czółna.

Śnieżne szczyty Alp oblane purpurą zachodzącego słońca różowiły się całe. W nizinach panował niebieskawy ton wśród szafirowych wód i szafirowego nieba.

Ciepło i cicho, plusk wioseł akompaniował dalekiéj pieśni odbijanéj od zwierciadła wód. Śpiewali ją rybacy ukryci w białych mgłach.

— To raj, to raj — szeptał zapatrzony artysta.

— Co za pejzaż, stworzony jakby dla pana.

— Dla mnie — zawołał zdziwiony — dla mnie! Horyzont, dający się objąć jednym rzutem oka, stanowi dwadzieścia mil, a moje płótno dwadzieścia kwadratowych cali. W téj chwili w obec tych czarów jestem w stanie połamać wszystkie moje pendzle, podrzéć wszystkie rozbite na ramach płótna. Oto wrażenie, jakie na nas artystach robi majestat tych wspaniałych widoków. Zazdrościmy naturze, że nie możemy jéj objąć, pomieścić, a nawet naśladować.

Gwałtownie zawrócił czółenkiem.

— Nie chcesz pan nawet patrzéć — spytała Marya.

— Nie... jestem oburzony! To są pejzaże dla poetów. Słowo tworzy światy, ono jedno może ogarniać przestrzeń, panować nad czasem. My jesteśmy naśladowcy... Co do mnie, wolę patrzéć na niebo z odbicia oczu pani.

Zamilkł — nie powiedział komplimentu.

Marya to odczuła. Pierwszy raz w życiu dowiedziała się o ciasnych granicach w sztuce. Mimo to wspaniałe jéj marzenia co do wielkich idei, jakiemi pragnęła dzielić się z mężem artystą, nie zachwiały się ani na jedną chwilę.

— Nie rozpaczaj pan, będziemy radzić i bronić się. I wśród możliwości, są rzeczy piękne i wzniosłe.

Zaledwo jeszcze różowiły się wierzchołki Simplonu i Gotarda, w dolinie już zapadał mrok, rozjaśniany szafirem nieba. Zmysły omdlewały od rozkoszy, wszystko się składało, aby je łagodnie drażnić.

— Pragnąłbym umiérać w Como — rzekł Adam.

— Dla czego nie żyć?

— Tu można tylko śnić i marzyć. A sen i marzenia, to rozkosz śmierci.

Wracający do miasteczka rybacy znowu zaśpiewali, podzieleni na głosy, chórem, pieśń pełną upajającéj melodyi.

Wiosła wypadły im z rąk, południowy wiatr, odświeżany rosą, kołysał lekko czółnem i chłodził rozpalone ich twarze. Z wielkiego wschodu, z po za tyrolskich gór wszedł majestatycznie księżyc, osrebrzając łagodném światłem śnieżne szczyty, szafirowe wody i ciemną głębię doliny. Silne zapachy róż jerychońskich i lilii wypełniały powietrze, w górze na granatowym stropie blado świeciły gwiazdy, a na dole czerwone światełka lamp rozrzuconych migotały wesoło.

Zaniepokojony Roman zaczął wołać z brzegu. Nikt nie odpowiedział.

Wskoczył do łódki, dwóch barczystych Włochów pruło wodę, na środek jeziora.

— *Signore*, tam, na wschodzie czarna plama— mówili wioślarze, przyzwyczajeni widziéć w ciemnościach.

— *Presto*, *presto* — powtarzał Roman — gdyż tyle tylko umiał po włosku.

Dwoje zakochanych z porzuconemi wiosłami, nie miało pojęcia co się z nimi dzieje. Dusze ich wyleciały po za światy i tam łączyły się w uściskach wspólnych marzeń.

Wołania Romana zbudziły ich. Łódki zwolna zbliżały się.

— Dzieci, dzieci, sami, niedoświadczeni, w nocy na jeziorze, mila od brzegu.

Jeden z wioślarzy skoczył do ich łódki, pochwycił wiosła i zaczął niemi energicznie pracować.

Dziewcze usiadło przy sterze, Adam pochwycił drugą parę leżących w czółnie wioseł; Włochom kazano śpiéwać. Do męskich ich głosów przyłączył się świéży, metaliczny sopran dziewczyny. Południowy wiatr niósł zapachy róż, gwoździków i rozmarynu, spadająca rosa odświeżała powietrze...

Taki był pierwszy dzień narzeczonych.

W Medyolanie w miejskim ogrodzie, zbudowano ze szkła i żelaza gmach na powszechną wystawę malarstwa tegoczesnego.

Sale roiły się od zwiedzających, cudzoziemcy przeważali.

Adam prowadził pod ramię Maryę, obok nich szedł Roman.

— Tam na prawo — odezwało się wesoło dziewczę, gromadka ludzi otacza jeden z wielkich obrazów. Chodźmy tam, jestem zaintrygowana...

Zbliżyli się.

W dyademie na głowie, aksamitnéj sukni, podtrzymująca ręką płaszcz purpurowy zstępowała, jakby ze stopni tronu piękna, młodziutka kobiéta. Uśmiechała się łagodnie, rozumny jéj wzrok biegł daleko.

Tłum rozstępował się z uszanowaniem przed zapatrzonem dziewczęciem. Szeptano z początku cicho, lecz Włosi lubiący swe uczucia wypowiadać, zaczęli zachwycać się głośno.

Adam posunął jedno ramię stalugi o parę cali, dla lepszego światła. Domyślono się w nim artysty, a że na karcie pod nazwiskiem napisane było „*polacco*“, zaczęli z uśmiechem powtarzać.

— *Eviva Polacco, eviva bella signorina!*

Adam ukłonił się kapeluszem.

Zdjęcie kapelusza wywołało szmery zadowolenia.

Zarumienione ze wzruszenia dziewczę, podawszy rękę Romanowi, uciekało w głąb sali.

— Wrócimy — mówiła — gdy nikogo przed obrazem nie będzie. Chcę być sama wobec mego portretu. Pan Adam zrobił ze mnie królowę, panią, despotkę. Włosi pewno myślą, żem naprawdę *incognito* królewna... Wobec tłumów jestem bardzo nieśmiała.

Nadbiegł uszczęśliwiony Adam.

— Dyrektor tutejszego muzeum jeden z sędziów wielki znawca i krytyk winszował mi. Pytał się czyj portret? Powiedziałem księżniczki polskiéj, któréj ślub jutro ze mną w *Duomo*... Zgłupiał, Włosi i Anglicy, słysząc to również zgłupieli, zgłupieje cały Medyolan.

Marya miała na ustach wymówkę, lecz widząc błyszczącą radość w oczach artysty, dumę malującą się na jego twarzy, uśmiech na ustach, wyciągnęła do niego rękę.

— Dziecko z pana — rzekła wesoło.

— Szczęścia — dokończył z zapałem.

O drugiéj dopiéro, gdy wystawa była prawie pusta, powrócono do portretu.

Jaśniał kolorytem, prawdą, ruchem, powagą, świetném traktowaniem ciała, ogniem w oczach i zadumą na gładkiém czole.

Wycięty stanik odkrywał do połowy alabastrowe okrągłe, drgające życiem piersi. Na ich widok dziewcze zapłonęło, odwróciło się i oczu podnieść nie śmiało. Z odważnéj i dzielnéj stała się nieśmiałą, zawstydzona dziewiczością.

Pierwszy raz Adam zobaczył ją taką, serce zaczęło mu bić gwałtownie; żałował, że właśnie takiéj uroczéj nie sportretował. Obawa, zbyteczny szacunek topniały, a serce wypełniało się serdeczném uczuciem miłości. Uczuł się wobec nieśmiałości dziewczęcia zwycięscą-mężem.

Ujął ją za rękę, przycisnął do ust i szepnął:

— Kocham panią.

— Dopiéro — rzekła, odzyskując swobodę.

— Kocham panią nietylko jako marzenie i królowę...

Na twarz dziewczyny buchnęły ognie, nie odpowiedziała, idąc obok narzeczonego zamyślona i zawstydzona. Dopiéro w galeryi króla Emanuela ożywiła się, zaczęła mówić i żartować.

Po powrocie do hotelu, oświadczyła służba, że jakaś dama czeka na Maryę w jéj pokoju.

— Judyta—rzekł Adam.—Ze względu na tę biédną, cofamy się.

— Przyjdźcie niedługo.

Pobiegła żywo na górę, otworzyła drzwi, przed nią stała Judyt.

— *Mary*, moja droga *Mary*, jestem nareszcie.

— Nareszcie—powtórzyła Marya.

— Tak mnie witasz *Mary?*— Strumienie łez wytrysły jéj z oczu.

— Judyt i ty...

— Są siły i czary, o których nie masz pojęcia, boś sama silna i dzielna... Gdyby było inaczéj, upadłabyś w walce z nim również jak i ja. Przekonał mnie, wlał we mnie niezachwianą wiarę, że dla twego szczęścia powinnam cię szukać, gonić i oddać w jego ręce.

W sercu Maryi wytwarzała się litość, sympatya wracała.

— Co się z tobą przez te kilka tygodni zrobiło? Musisz być bardzo nieszczęśliwa. Towarzystwo tego człowieka zgnębiło cię... Maltretował, upokarzał i znęcał się nad tobą.

Judyta milczała.

— Oszukał cię, wywiózł, zmusił do szpiegostwa. Powiédz, odkryj mi historyę tajemnicy swego serca.

— Nie jestem w stanie, gdyż jest również i dla mnie tajemnicą... Był twoim narzeczonym póki nie przejrzałaś i nie nabrałaś sił do walki...

— A jednak Judyt, tyś mi pierwsza otworzyła oczy. On cię raził. Ja dopiéro po długiéj pracy poznałam go...

— Po długiéj ale dobrze. Na mnie nie zwracał uwagi, uważał jako sprzęt. Lecz gdy się zbliżył i całą siłę swych czarnych oczu i wymowy wywarł...

— Uwierzyłaś.

— Musiałam! *Mary*, jestem słaba, ty panujesz, ja ulegam. Oswodzona od jego wzroku, od jego czarów, uwolniona od wpływów, widzę całą swą nędzę, czuję upokorzenie.

Nowe potoki łez stoczyły się po bladéj, zmęczonéj twarzy.

— Biédna Judyt, znajduję cię inną, rysy twarzy zmieniły się. Spojrzenie twoje zmącone, lękliwe. Co może zrobić z uczciwéj i szlachetnéj kobiéty nędznik, w przeciągu krótkiego czasu!

Milczały obie długą chwilę.

— Zrobię ci jedną propozycyę.

— Słucham mów, mów, wobec ciebie czuję, że się odradzam.

— Wracaj do Zalesia, odpocznij. Cisza ułagodzi twe nerwy, uspokoi twój umysł, przyjdziesz znowu do równowagi. Zaczniesz patrzéć na świat optymistycznie, wesoło. I wróci mi moja Judyt, dawna, dobra, serdeczna, wyciągnęła rękę.

Judyta ją pochwyciła okrywając pocałunkami.

— My tymczasem — mówiła daléj — wpadniemy do Neapolu, na Capri, Wezuwiusz i przez Sorento, Rzym, Rivierę do domu. Pojedziesz?

— Jadę, dziękuje ci, potrzebuję odpoczynku, biédna moja dusza pragnie ciszy. Tęsknię za dawną Judytą i chcę w nią znowu się wcielić.

— Potrzebujesz na drogę gotówki?

— Nie, nie, dziękuje ci — zniżyła głos, spuściła oczy.— O jedną tylko cię proszę łaskę.

— Dziesięć, jeśli mogę.

— Nie wymawiajmy nigdy, nigdy...

Nie mogła więcéj mówić, na policzki jéj wystąpiły czerwone plamy.

— Jego nazwiska. Zgoda, z przyjemnością.

Judyt odetchnęła.

— Kiedy w drogę?

— Zostanę przez jutro, aby być na twym ślubie. Pragnę zdaleka widziéć cię wstępującą w podwoje *Duomo*. Będziesz wtedy piękną, ja dumną... *Mary*, kocham cię jak siostrę, jak córkę... Kocham cię przywiązaniem niewolnicy i dumą artysty ze swego dzieła. *Mary*, czemużeśmy razem nie uciekły?

— Inaczéj losy kazały.

Zastukano do drzwi.

— Nie mam sił i odwagi widziéć kogokolwiek. Podziękuj twemu narzeczonemu. On mnie uratował i on wraca mnie saméj sobie.

— Do widzenia w Zalesiu — mówiła szybko Marya — napisz

poste restante do Neapolu długo, długo o wszystkiém. Pamiętaj o „Baśce“, przejeżdżaj ją codzień. Myśl o mnie troszkę i kochaj jak zawsze. Pocałowała ją.

— *Mary*, upokarzasz mnie i przykuwasz do siebie. Pochwyciła ją za ręce i ściskała swemi drżącemi.

— Przebaczysz?

— Już przebaczyłam.

Zniknęła.

Adam odnalazł w Medyolanie kolegów i koleżanki w artyzmie.

Drugiego dnia o siódméj godzinie przed samym wieczorem zajechały trzy karety przed wielkie schody katedry. Z pierwszéj wysiadły, trzy młode kobiéty. Marya w welonie i koronkach w których ślub brała jéj babka, w białéj sukni ze wspaniałym ogonem. Drużki, przyszłe śpiewaczki, również wystąpiły wspaniale.

Z mężczyzn liryczny tenor i sympatyczny bas podali ramiona pannie młodéj, drużki poprowadziły Adama. Roman i zaproszony dyrektor muzeum, zamykali pochód.

Majestatyczny ogon wlókł się po schodach. Marya wyniosła, z wrodzoną dumą na czole, szła jak królowa.

Artystyczny lud włoski tłumnie się zgromadził, szepcząc pochlebne wyrazy.

Judyt przytulona do filaru wlepiła pełne zachwytu spojrzenie w wychowankę.

Przygnieciony majestatem swéj narzeczonéj, jéj wytwornością i dumą Adam, czuł się małym i upokorzonym. Blady jak marmur, wzruszony swoją rolą i wielkością chwili, postępował wolno. Nogi się pod nim uginały. Czuł, że wstępuje w świat nowy, wielki, lecz, że traci swą wolność.

Nawa z koronek i szary zmrok rozświecany barwami zachodzącego słońca, wpadającemi przez różnokolorowe szyby, pochłonął ich.

W oddali migotały światełka, odbijając się od czarnych filarów ołtarza.

Głos organów wypełnił nawę kościoła i rozradował zgromadzony lud.

U ołtarza czekał ksiądz w asystencyi kleryków. Narzeczonych przyjął patosową mową wygłoszoną po włosku, zamienił pierścionki, ręce związał stułą.

Marya spokojna, Adam blady, onieśmielony, powtarzał wyrazy

przysięgi. Przed nim stała kobiéta, na którą od dzieciństwa nauczył się patrzéć jak na wielką panią. W téj chwili została jego żoną, jego towarzyszką na życie całe... Składała przysięgę posłuszeństwa wobec Boga, jemu, biedakowi. Zdawało mu się to niepojętém i nieprawdopodobném.

Organy rozbrzmiały uroczystym marszem.

— Wszystko skończone— szepnął rozpromieniony Roman.

— Wszystko — powtórzył głucho i cicho Adam.

Po wyjściu z nawy kościoła, Adam oprzytomniał i odetchnął swobodnie, zatrzymał się na wielkim przedsionku, mając pod stopami tłumy, a przed sobą bramę galeryi *Emanuele re*.

— Teraz już, panie mężu, do mnie należysz— rzekła Marya, odzyskując pewność siebie. Uśmiechnęła się czarująco, a wsuwając mu rękę pod ramię, zwróciła się do gromadki.

— Panowie prowadźcie drużki, panie Romanie, jedź naprzód i zastąp nam ojca.

Marya w jednéj chwili zmieniła się w wielką damę, pełną dystynkcyi i stanowczości. Adam, nieświadom form towarzyskich, milczał.

Państwo młodzi odjechali sami.

— No cóż mój mężu, nawet teraz nie masz odwagi pocałować żony?

Adam nieśmiało objął ją wpół i dotknął ustami czoła.

— Zdaje mi się, że się mnie boisz?

Adam podrażniony, zaczął ją z namiętnością tulić do siebie.

— Czy to z rozkazu? — szepnęła.

— Nieśmiałość moja pochodzi ze zbytku czci dla ciebie. Wychowałem się w tém przekonaniu, że jesteś istotą, niedostępną, boginią dla mnie, i ta bogini zostaje raptem moją żoną. Muszę się oswoić z tą myślą i nareszcie przestać się...

— Bać — dokończyła Marya.

— Cześć i obawa zwykle się schodzą — odpowiedział Adam.

W téj chwili bezwiednie przypomniała sobie Marya wyrażenie Judyty, powtórzone teraz przez Adama. Spojrzała mu w oczy, patrzały poczciwie. Rodzące się podejrzenie zdusiła siłą woli i energii. Ona go chciała kochać i kochała. Położyła rękę na ramieniu męża z wiarą. Adam pochylił się ku niéj, zmrużyła oczy... objął ją wpół i ustami swemi pił rozkosz z jéj ust.

— Kochasz mnie.

— Kocham — szeptał.

— Jak żonę?

— Jak żonę, kobiétę, kochankę.

— I nie będziesz się mnie bał?

— Nie, nie będę.

— Nigdy?

— Nigdy...

Kareta stanęła, lokaj zeszkoczył z kozła, otwierając drzwiczki. Służba hotelowa czekała u wejścia, składając życzenia nowożeńcom. Adam prowadził żonę, tryumfujący, uśmiechnięty. Lody prysły...

U wejścia do saloniku stał Roman, trzymając na tacy chléb, sól i cukier.

— Dziękuję ci kochany przyjacielu za pamięć o starym naszym zwyczaju; gdybyś o nim zapomniał, byłoby mi przykro. My kobiéty, zawsze rade przechowujemy skarb pamiątek. — Dotknęła się cukru i soli, chléb rozłamała, podając połowę Adamowi.

— Oby go nam nie zabrakło nigdy... — dodała z czarującym uśmiechem, a zwracając się do dyrektora, tłómaczyła mu po włosku treść dawnego obrzędu religijnego, zmienionego dziś w zwyczaj.

W przyległym pokoju zastawiono stół na weselną ucztę. Państwo młodzi usiedli obok siebie na pierwszém miejscu.

Rozmowę prowadziła Marya z wdziękiem wielkiéj damy... Przy zamrożonym szampanie zapanowała serdeczna wesołość i ochota. Posypały się toasty i mowy pełne zapału, na cześć miłości, sztuki.

Na tém skończyły się weselne uroczystości...

Roman wyjechał o północy uzbrojony w pełnomocnitwo Maryi. Czekała go ciężka praca. Naprawiać gospodarkę opiekuńczą Henryka i dźwigać majątek.

Marya i Adam zostali sami: onieśmielona młoda dziewczyna i onieśmielony królewskością swéj żony artysta.

VI.

W cztery tygodnie od dnia ślubu, państwo młodzi wracali do Zalesia.

Angielka i Roman czekali na nich na stacyi kolei. Judyt odmłodzona o parę lat, uśmiechnięta, była w téj chwili zdenerwowana i niespokojna. Drżała o swój los i przyszłość. Bała się Adama, kochała Maryę, rada była dostać się pod jéj wyłączny wpływ, pod siłę jéj woli, aby zupełny odzyskać spokój i równowagę.

Poczciwy Roman uśmiéchał się serdecznie i wesoło. Brat jego zjeżdża do swych posiadłości, a on będzie się mógł pochwalić przed

bratową, dziedziczką wielkiego imienia i majątku, piękną, dobrą, rozumną. Pokaże jéj czego dokonał w tak krótkim czasie, on doniedawna dzierżawca na jednym forlwarku, dziś rządca i pełnomocnik wielkich obszarów.

— Jakim on jest wobec swéj żony — myślał o Adamie — jakim będzie panem?

— On panem, Boże... Adaś panem — roześmiał się.

— Śmiejesz się pan — zagadnęła go Judyt.

— Z radości — odpowiedział. — Wyobraź sobie pani, mój Adaś, który tak jeszcze niedawno, gdy mógł zapracować dwieście papiérków na miesiąc, był uszczęśliwiony, dziś posiada rocznego dochodu kilkadziesiąt tysięcy. Nieprawdaż, że to zabawne...

— Niezawodnie, zrzucić skórę artysty, a wléść odrazu w skórę lorda, to oryginalne.

Pociąg wysunął się z za lasu, buchał dymem, syczał parą, robiąc wrażenie pędzącego potworu.

Judyt i Roman wyskoczyli z powozu. Za chwilę Marya była w objęciach Angielki, Adam w ramionach brata. Zapytania i odpowiedzi krzyżowały się, ogólna wesołość i radość panowały. Adam przywitał Judytę serdecznie, jak dawno znajomą i protektorkę z Zalesia. Serce biednéj kobiéty, wystraszonéj i znękanéj, wypełniało się wdzięcznością. Do jednego powozu wsiadłaMarya z Judytą, do drugiego pociągnął Roman Adama.

— *Mary*, jedyna, droga *Mary* — mówiła szybko, nerwowo Judyt—nareszcie jesteś!? Nie masz pojęcia jak tęskniłam za tobą. Zalesie bez ciebie puste, głuche, ponure. Ty go ożywiasz. Ty jesteś jego duszą, życiem, ozdobą, pięknością.

Marya spojrzała na nią, zobaczyła w jéj niebieskich oczach łzy.

— Odpoczęłaś, wróciłaś do równowagi i spokoju. Wzrok masz pogodny, rysy już nie pomięte, wygładziły się. Cierpiałaś, dręczył cię i pastwił się nad tobą, za to, żeś mu oddała serce. Pocałuj mnie... Zapomnijmy o przeszłości.

Judyt pochwyciła ją w objęcia i tuliła się do niéj.

— *Mary*, przebaczyłaś mi i znowu przyjęłaś mnie pod swój dach. Odrodzi się we mnie dawna Judyt z Zalesia, dobra, łagodna, cicha, kochająca piękno...

Zatrzymała się.

— Nienawidzę tamtéj i gardzę nią, wybuchnęła z namiętnością. Boże, Boże, żebym nigdy nie wróciła do tamtéj. *Mary*, nie opuszczaj mnie, broń, ulituj się... Z tobą i przy tobie jestem tą moją da-

wną Judytą. Schwyciła ją nerwowo za ręce. Ty jedna możesz mnie uratować.

— Nie opuszczę cię—mówiła wzruszona Marya, widząc i czując boleść angielki.—Mam dla ciebie wielki dług wdzięczności. Ty, słaba i łagodna, wyhodowałaś uśpioną we mnie energię. Otworzyłaś mi oczy na piękności poezyi i sztuki, nauczyłaś oceniać ludzi... odgadłam „tego“ — nie chciała wymówić imienia Henryka — a poznałam mego męża. I za te wszystkie dobrodziejstwa miałabym cię wypędzać, że cię chwilowo opanował człowiek silniejszy od ciebie?...

Na Judytę buchnęły ognie, Marya przez litość i delikatność nie patrzała na nią.

— Twój mąż...—odezwała się po chwili angielka.

— Dzielny chłopiec — odparła Marya — szlachetna natura, artysta do szpiku kości. Zdobyłam go sobie taką straszną walką, muszę go więc kochać i chcę kochać. Ty rozumiész co znaczy chciéć...

— No i cóż panie mężu— mówił Roman — nie boisz się już swéj żony?

— Nie — odpowiedział Adam stanowczo.

— Byłem tego pewny. Teraz dopiéro ona za tobą przepada.

— Nie przepada, lecz czuję, że mnie kocha.

— Jedziesz do swego pałacu, do swych włości, do kawała ziemi, ciągnącego się szeroko i długo.

— Chciałeś powiedziéć do majątku méj żony.

— Do waszego wspólnego. Tak kazała, już przeprowadziłem. Wiész, tyś się w czépku urodził, nie zasłużony, ale szczęśliwy. No cóż, jakie uczucia wypełniają twe serce i umysł w téj chwili.

— Nieokreślonego strachu i wstydu...

— Strachu i wstydu! komiczny jesteś ze swym strachem i wstydem.

— Nie tak bardzo mój drogi. Wieleż to razy marzyłem o zostaniu wielkim panem. Jakie wtedy snuły się po głowie dzikie i wspaniałe projekta. Gdybym dziś chciał je przeprowadzić, połowa artystycznéj z Monachium cyganeryi biwakowałaby tu... Modelki ustrojone w zieleń, udając nimfy, igrałyby po stawie... W nocy muzyka, ognie bengalskie, rozkosz, pycha... Dla wielkich talentów, a biedaków, nie mających pojęcia o walce, wygodne przytulisko i wspaniałe pracownie... I wiele, wiele innych cudownych rzeczy... Tymczasem czuję, że jestem mężem wielkiéj damy, jadę do jéj pałacu na jéj chléb i wstydzę się.

— Dziecko z ciebie.

— Ach, żeby się te przywitania jak najprędzéj skończyły, żeby można być...

Nie dokończył, wjeżdżano w bramę.

Na przyjęcie swéj młodéj pani wyległa cała służba z oznakami niekłamanéj radości.

Na schodach stał wójt zalesiński z chlebem i solą, a przy nim wójci wszystkich wiosek, należących do klucza. Był i ten który z panienką uciekał.

Marya, jaśniejąca świeżością i zdrowiem, odzyskała dawną swą powagę, weszła w rolę dziedziczki i pani domu.

Powitała gromadę serdecznie, zaprezentowała im męża, prosząc i dla niego o przychylność ludu, jakiéj sama doświadczała.

Adam zakłopotany, uśmiechał się dobrotliwie, nie wiedząc jak przemawiać do licznéj gromady. Wyręczył go Roman

Nowa rola pana onieśmielała artystę. Zdawało mu się, że czyta na twarzach domowników zdziwienie.

Pokoje zastali urządzone. Adam znalazł dla siebie bibliotekę i pracownię. W pracowni nic nie brakowało. Płótna rozbite na ramach, manekiny, farby, papiéry na akwarele, wielkie i małe stalugi, krédki, aksamity, draperye, dywany... rozrzucone w artystycznym nieładzie. Okno wielkie zwrócone do północy... Nic nie brakowało, tylko artysty, jego talentu i pracy, aby te szare, milczące płótna wypełnić i ożywić.

Po obiedzie Roman, rad pochwalić się przed dziedziczką, zaproponował obejrzenie gospodarstwa.

W stajniach i oborach czekano na młodą panię, spodziewano się jéj. Zapał i radość malowały się na twarzach ludzi, oczekiwano prezentów i podarunków.

Młodego pana, do niedawna „prefesura“ jasnéj panienki, traktowano z dziwną obojętnością, któréj właściwą cechę umié tylko pokazać nasz arystokratyczny lud.

Wrażliwa natura Adama odczuła odrazu różnicę przyjęcia, lecz się z tém nie zdradził. Bo téż nie zajmowano się nim obecnie, nikt na niego nie zwracał uwagi.

Marya, szlachcianka od wieków, dziedziczną miała już we krwi namiętność do gospodarstwa. Adam nie rozumiał zapałów żony i wzruszał ramionami, gdy ona zachwycała się cienkością wełny owiec i rozbrykaną radością cieląt... Jedne konie pociągały go, widokiem ich ożywiał się, snując w myśli projekta do obrazów, w którychby konie odgrywały główną rolę.

— Modeli nie zabraknie — szepnął — będzie w czém wybrać od „Baśki“ wierzchowéj klaczy żony, do fornalskiego mierzyna.

Służba, widząc obojętność rolniczą Adama, była oburzona.

— Czemuż sobie przynajmniéj starszego brata nie wzięła, byłby ład, bogactwo i spokój— szeptali między sobą.—Gospodarz zawołany, stateczny. A ten co?

— Nabierze pieniędzy i ucieknie— zakonkludował karbowy, patrząc za odchodzącymi. — Widzicie kumie, jak się do niego łasi, taka pani z paniąt, a on, babracz, ledwo jéj łbem kiwnie. Nie obraza to boska.

Istotnie, Marya rozradowana przymilała się do męża, chcąc mu wynagrodzić chwilowe zaniedbanie.

— Nie uwierzysz — mówiła — jak mi tęskno było we Włoszech za Zalesiem. Gdyby mi nie szło o mego pana — zaznaczyła z przyciskiem — uciekłabym. Widocznie ja już nigdzie nie mogę żyć i niczém nie mogę być, jak tylko wiejską gospodynią — zaśmiała się.

— Niczem? — powtórzył machinalnie Adam.

— I żoną wielkiego artysty-- dodała z serdeczną kokieteryą. — Czy myślisz, że nie można pogodzić jednego z drugiém? Otóż przekonam cię, że można. Zobaczysz panie mężu, coś zdobył medale na wielkich wystawach.

Usiedli na werendzie. Duża, płomienna markiza dawała cień lekki, ochłodzony wodami jeziora wiatr pieszczotliwie muskał ich twarze.

Judyt odeszła do swego pokoju, a wtedy Marya opowiadała dzieje krótkie epopei swego życia.

— I to wszystko dla ciebie — zwróciła się z uczuciem miłości do Adama — dla ciebie, bohaterze pokonanéj formy... Ale za to musisz malować same arcydzieła.

— Czy mnie tylko będzie na nie stać?

— Musisz — zawołała. — Będziesz miał wszystko czego zapragniesz, będziemy zmiatać prochy z przed twoich stóp, abyś był sam z twemi myślami, fantazyą i natchnieniem.

Zwróciła się do Romana.

— Kochany Romanie, przyrzeknij mi pomoc.

— Zgoda, boję się tylko, aby gagatek ten w zbytkach nie rozleniwiał.

— A jeżeli ci idzie — zwróciła się do Adama — o modele, sprowadzaj je ile ci się podoba. Lecz i wśród naszego ludu znajdziesz ładne twarze i proporcyonalne formy. Podała mu rękę i daléj mówiła rzewnie.

— Jesteś smutny i zamyślony, jak gdybyś nie był u siebie. Czy ci się Zalesie nie podoba?

— Ależ, drogie dziecko, Zalesiem jestem zachwycony. Pozwól mi się opamiętać i oswoić z nową rolą. Dotąd byłem tylko twoim mężem, dziś zostałem gospodarzem domu i panem. Tyle wrażeń odrazu... Rok temu z teczką rysunków i ołówkiem przepływałem jezioro, pełen obaw, bicia serca. Wchodziłem do pałacu, jak do kościoła, zbliżałem się do dzisiejszéj żony, jak do świętości, lękałem się wzroku słodkiego pana, a czułem wielki respekt przed Judytą. Obecnie Judyt ma respekt przedemną—świętość biorę w pół i sadzam na kolana.

— A ona — dokończyła Marya -- obejmuje cię za szyję, całuje i tuli się do ciebie.

— Dawniéj—ciągnął wesoło Adam -- dzierżawca ukazywał się się w pałacu dwa razy na rok, odnosząc dziedziczce raty dzierżawne. Dziś mieszka tu, rozsiada się po salonach i werendach...

— Jest opiekunem, przyjacielem i szwagrem dziedziczki — wyciągnęła do Romana obie ręce.—Nareszcie uratowaliście mnie. Życie z tym człowiekiem byłoby męczarnią i wstydem. Wolałabym śmierć...

Przed werendę zajechała amerykanka, zaprzężona parą dzielnych koni. Maryi podała panna służąca rękawiczki, kapelusz i bat, jéj wyłączną własność. Wskoczyła, ujęła lejce i objechała w około gazonu.

— Nie zapomniałam jeszcze powozić, siadajcie. Panie mężu przy mnie.

Sprowadzono Judytę i posadzono obok Romana.

Wyjechali. Konie, uczuwszy w trzymaniu lejc dawną swą panią, parskały, wznosząc łby w górę, lecąc miarowym, dzielnym kłusem.

Entuzyastka rolnictwa zwracała się co chwila do Romana z uniesieniami. Zachwycała ją ciemno-zielona ruń na oziminach, na roli równa orka, wyprostowane zagony, obfity porost rzepaku.

Płaskie, długie zagony, jednostajna, jaśniejsza lub ciemniejsza, zielona barwa zboża nużyły Adama. Artystycznym wzrokiem szukał gry kolorów, zmian, świetlanych plam i cieni. Nie rozumiał entuzyazmu młodéj kobiéty i brata.

— Co ich tak zachwyca, co cieszy, czego oni chcą, — powtarzał w duchu, patrząc obojętnie na przesuwające się obszary.

Słońce skryło się za szarą chmurę, lecz za chwilkę raptownie wyjrzało przez szczeliny, rzucając snop czerwonego światła na przeświecającą wodę wśród łąk, pokrytych babskiem latem i grupą białych brzóz. Woda się złociła, białe o srebrnym liściu brzozy pło-

nęły, po trawach przemykały czerwone plamy, widziane zaledwo przez Adama.

— Czekajcie, stójcie, patrzcie...—zawołał.

Marya wstrzymała konie, Adam wskazał ręką.

— Przepyszne—szeptał — pejzaż skromny, smutny, ruizdalowski, lecz jakież światła, co za boski, złoty ton, chłonący wodę rozlaną na łące i białą korę brzóz. A te rozrzucone plamy, mknące po trawach. Ten jeden rzut promieni słońca oddam wam za wszystkie zboża, rzepaki i banalne wyciągnięte pod sznur, jak szeregi żołnierzy długie, jednostajne, zagony...

Kontent był, że dał wyraz swéj opinii i zemścił się za filisterski zapał żony i brata.

Patrzano, siląc się na zachwyt.

— *Splendid* — odezwała się sentymentalnie Judyta; *splendid* — powtórzyła.

Wyraz ten rozśmieszył Adama i Maryę; rozśmiał się również dla konwenansu Roman.

Pojechali daléj. Przez grzeczność dla artysty nie zachwycano się już łanem młodéj koniczyny, rosnącéj po skoszonym jęczmieniu.

Wieczorem na werendzie Marya spotkała się z Romanem.

— Nie będę mieć—odezwała się wesoło — agronomicznéj pociechy z mego pana męża.

— Niezawodnie—poświadczył Roman.

— Trzeba się kontentować jedném—jego artyzmem.

— Kosztowny to mebel—dodał naiwnie i szczerze Roman.

— Stać mnie przecie i na tak kosztowny — odparła żartobliwie.

Urwali,—na ścieżce ukazał się Adam w kapeluszu, na tyle głowy. Laskę założył na ramiona, szedł wolno, śledząc ostatnie blaski zachodzącego słońca, przedzierające się przez konary starych drzew parku.

— Ależ to duszą i ciałem artysta—szepnęła Marya. — Widzisz, z jakiém nabożeństwem wpatruje się w załamy światła na czarnych drzewach. Dajmy mu pokój.

— Zgoda—poświadczył cicho Roman.

— Boję się, aby go zbytecznie nie pochłonęła natura.

— Czyż byłoby w tém co złego?

— Nie chcę, aby został pejzażystą. Moja rola, moje wpływy byłyby skończone. Pragnę go usposobić do wyższych celów w sztuce, szlachetniejszych...

Adam w téj chwili odwrócił się, a zobaczywszy Maryą i Romana zapytał żartobliwie.

— Czy jeszcze o gospodarstwie?

— Na złość tobie właśnie o sztuce bez ciebie. Zbiegła do niego.

— Przy mnie tylko specyalnie o gospodarstwie.

— Aby cię nauczyć tego szlachetnego zajęcia.

— Trudne zadanie. Zdaje mi się, że szkoda czasu.

Pochwyciła go pod ramię, poprowadziła nad brzeg jeziora, opowiadając szczegóły heroicznych czynów w pamiętną noc ucieczki.

— Tu,—wskazała miejsce,— cofając się skoczyłam do łódki, neron za mną. Henryk pochwycił łódź. Nie wiem, czy chciał ją przewrócić, czy przyciągnąć, — byłam zdecydowaną zabić go. Odczuł to po mym głosie, musiał być strasznym. Uciekałam na łodzi, czterech jeźdzców przeleciało na koniach, jak wiatr, aby mi przeciąć drogę. Czujesz, co się działo wtedy w mojém sercu.

Adam pochwycił ją w objęcia.

— Ubogiego bez nazwiska chłopaka, mało znanego malarza, a twardy łeb, wielka dama, piękna i bogata zdobywa sobie bohatérstwem. Czyż to nie jest igraszka losu?

Marya zatkała mu usta ręką.

— Dosyć, ani słowa więcéj. Zdobyłam sobie szlachetnego człowieka, dzielnego młodzieńca, wielkiéj przyszłości artystę — wierzę w jego miłość. Nie wziąłeś mnie dla mego bogactwa. Gdybym miała dziesięć razy mniéj, więcéjbyś mnie jeszcze kochał, a gdybym nic nie miała—najwięcéj.

Podała mu rękę.

— Za taką wiarę w swego męża, można raz przecie przepłynąć jezioro, chociażby pod grozą utraty życia. Ja kocham wszystko w tobie, nawet moje bohatérstwo...

Adam chciał mówić.

— Cicho, błagam cię. Nie osłabiaj méj wiary, a na obecną, uroczą chwilę, nie kładź choćby najdelikatniejszego cienia żartu, — najlżejszego szyderstwa. Duchy babki i drogiéj mojéj matki, czuję to, błogosławią mi.

Przytuliła się do niego serdecznie.

— W tym wspaniałym stawie, starych drzewach, oszczędzonym lesie, we wszystkiém, na co patrzę — widzę ich dobre i szlachetne czyny. Cząstki swéj nieśmiertelności zostawiły wszędzie, od murowanego dworu do chat wieśniaczych, gdzie wnosiły uczucia miłości,

uśmiechy szczęścia, dobrobyt. One tu żyją... Moja dobra matka jest ze mną i przy mnie. — Pojmujesz teraz, dlaczego kocham Zalesie i tęsknię za niém w Neapolu, na Capri, w Sorrento...

— Pojmuję, a że cię czczę i kocham, muszę kochać i twoje Zalesie. Patrz, patrz, te różowe plamy na niebieskich wodach, oświeconych srebrnawym blaskiem odbitych w jéj nurtach gwiazd...

— Po co nam Neapolu, Wezuwiusza, Capri. Czyż i tu piękność nie posiada tych samych czarów?... Nie olśniewa ona, lecz pociąga, wżera się w pamięć i przykuwa do siebie.

(*D. c. n.*) *Sewer.*





STEFAN CZARNIECKI.

KILKA NOWYCH SZCZEGÓŁÓW *).

Po trudach i mozołach długoletniego zawodu redaktorskiego nie spoczywa Jenike na wawrzynach, które tak słusznie zdobył. Od czasu do czasu utworem swego zdolnego pióra przypomina się on czytelnikom dawnego „Tygodnika Ilustrowanego.“ Nietylko starsi, ale i młodsi zawsze mile witają każdy nowy dowód jego niespożytéj siły na polu pracy piśmienniczéj. Piękny przekład „Fausta“ doznał słusznie nadzwyczaj życzliwego przyjęcia, na które także liczyć może nowy owoc działalności, lubo do innéj odnoszący się dziedziny. Przerwawszy chwilowo zajęcia na niwie literackiéj, jął się Jenike przedmiotu naukowego i zaczął uprawiać zagon dziejów krajowych. Właściwie zwrot ten jest tylko nawiązaniem wątku pracy, która przed trzydziestu kilku laty wyszła z pod pióra autora. Przez cały, długi okres swojéj działalności redaktorskiéj miał on ciągle na myśli postać ukochanego przez się bohatéra. Szukał, zbiérał i skrzętnie gromadził wiadomości, notatki i szczegóły, żeby z nich pełniejszy ułożyć obraz, uwydatnić plastyczniéj rysy i nadać całości kształt więcéj wykończony. Tym sposobem wizerunek Czarnieckiego w obecném przerobieniu ukazał się w szerszych ramach. Przybyło wiele nowych danych, które dawniéj były nieznane, poprzednie niedokładności sprostowano, samo też tło ogólno-dziejowe zyskało staranniejsze oświetlenie. Stąd też i postać główna ukazała się na obrazie w perspektywie historycznéj, nieco głębiéj rozsuniętéj. Wogóle Jenike, nie będąc

*) „Stefan Czarniecki.“ Urywek historyczny. Z wizerunkiem Czarnieckiego i pomnika jego w Tykocinie, przez Ludwika Jenike. Warszawa, 1891, str. 168.

historykiem z zawodu, jak o tém we wstępie nadmienia, nie strojąc się więc w togę uczonego badacza, starał się jednak stanąć na poziomie wymagań współczesnéj nauki. A starał się, trzeba tu dodać, nie bez skutku. Zamiłowany do swego przedmiotu, kierował się słusznie tém uczuciem miłości, które nigdy zaspokoić się nie da w gromadzeniu jak największéj ilości szczegółów, mających służyć do skreślenia barwnego i wyrazistego obrazu. Nie poprzestawszy na tém, co się w drukowanych już znajduje źródłach, zabiegał autor mozolnie o to, aby wydobyć na jaw, co się w rękopiśmiennych kryje skarbach, zarówno w archiwach, jak i w bibliotekach. Znaną swą skrzętność w pracy redaktorskiéj, wyćwiczoną swą pilność i sumienność, przeniósł oczywiście Jenike i na pole poszukiwań źródłowych, które każdy dziejopis z zawodu starannie i wszechstronnie uprawiać musi. Podał więc cały szereg dzieł dawniejszych i najnowszych, z których wiadomości swe czerpał.

W długim szeregu źródeł, które autor przytacza, brak jednak wydawnictw ruskich, mianowicie aktów kom. archeogr. petersburskiéj. Tam jak i w innych zbiorach, znalazłyby się niewątpliwie niejakie szczegóły, że tu przytoczę choćby tylko list Zołotarenki z r. 1661 do Cara o najściu Polaków, pod sprawą Czarnieckiego (T. VII, str. 323. Petersb. 1872) i in.

Wskazał także autor biblioteki i archiwa, do których zaglądał bezpośrednio, albo z których korzystał, dzięki uprzejmości i uczynności, osób sobie życzliwych. Dostarczyły mu więc materyału drogą piśmiennych stosunków biblioteki w Krakowie, we Lwowie, w Kórniku, w Rosi. Nadto bezpośrednio przejrzane zostały w Warszawie archiwum główne, tudzież zbiory biblioteki hr. Zamojskich. Poszukiwania w tym kierunku nie pozostały bez skutku. Zebrał tedy Jenike wiązankę nowych dokumentów, które w całości jako dodatek do swojéj monografii ogłosił i tém oczywiście wartość jéj podniósł, niezależnie od pożytku, jaki sam zrobił ze swego świeżego plonu.

W licznych przypiskach, któremi zaopatrzył swą pracę, autor ujawnił chwalebne dążenie do ścisłości pod względem ustalenia porządku chronologicznego wypadków, wiarogodności szczegółów podanych przez współczesnych nawet pisarzów. Prawdę ma przedewszystkiém na oku i wobec niéj odrzuca niepewne opowiadania i legendy. Prostuje według Czermaka opowieść Paska o tém, jakoby Czarniecki w pław przebył podczas wyprawy duńskiéj cieśninę przy wyspie Alsen, wyjaśnia legendę o dzielnym siwoszu, stwierdzając jéj wiarogodność, z tym jednak dodatkiem, że wierny rumak, przekazany przez umierającego bohatéra dostał się królowi. Przynajmniéj tak wnosić należy z listu Jana Kazimierza, którego tekst przywiedziony jest

w dodatkach, a w którym król domaga się od zięcia Czarnieckiego wydania sobie sławnego siwosza.

Na takiéj szerokiéj podstawie nowych szczegółów starał się Jenike odtworzyć obraz dzielnego wojownika, który do najwydatniejszych postaci XVII-go wieku należy. Wizerunek ukazał się też w całéj pełni rysów, dających dokładne pojęcie o doniosłéj roli, jaką odegrał Czarniecki na widowni wypadków wojennych. Właściwie najwybitniéj występuje osobistość bohatera w ostatnich dziesięciu latach jego życia, poczynając od najścia szweckiego i obrony Krakowa w r. 1655. Wątek biograficzny, którego się autor trzyma w myśl swego założenia, nie nastręcza sposobności powiązania dziejów Czarnieckiego z ogólnym rozwojem Polski za Władysława IV, przed epoką strasznéj wojny ze Szwedami. Urywkowo wypadło więc Jenikemu traktować lata działalności wojownika, gdy ten jeszcze na drugim ukazuje się planie i wyższego, samodzielnego nie zajmuje stanowiska. Ale od czasu obrony kraju od najścia szweckiego, wątek biograficzny tak ściśle splata się z osnową dziejów ogólnych Polski, że nici wielkich wypadków i doniosłych zdarzeń, spoczywają w ręku wielkiego wojownika — Czarnieckiego. W tych właśnie rozdziałach znalazło się miejsce do rozszerzenia ram opowiadania. Zgromadzone skrzętnie rysy, składają się na wyrazisty i pełny obraz. Czego autor dopowiedzieć tu nie mógł, żeby wizerunek uczynić żywszym i barwniejszym, to starał się uzupełnić w końcowym rozdziale przy skreśleniu charakteru Czarnieckiego. Aby dopiąć swego celu — Jenike pomieścił nadto na czele monografii portret hetmana, według rysunku Gersona, wyjęty z publikacyi dawniejszéj Dzwonkowskiego w r. 1860. Dobrze wykonany drzeworyt daje sposobność wpatrzenia się w rysy, jakie autor starał się uwydatnić w swojéj piśmiennéj pracy. Z wdzięcznością przyjąć też należy odtworzenie litograficzne pomnika Czarnieckiego. Wszystkie te okoliczności przywiedzione przez nas, świadczą, ile starania łożył Jenike na to, aby nadać całości swojéj kształt skończony, ile miłości wlał w przedmiot swojego długoletniego dochodzenia, aby podać go czytelnikowi w téj powabnéj postaci, na jaką z treści swéj zasługuje.

Czy jednak pomimo tych usiłowań nowa monografia Czarnieckiego nie zostawia niczego do życzenia, czy jest już tak zupełną w sobie całością, do któréjby niczego dorzucić nie było można? — oto są pytania, które się nasuwają pod pióro, a na które z obowiązku krytyka odpowiedzieć tu należy. Życiorysy historyczne zdają się należéć do najłatwiejszych form dziejopisarstwa, do najprzystępniejszych kształtów, do których nadać się może praca, usposobienie i przygotowanie historyka, stawiającego pierwsze w swym zawodzie kroki. Są to jednak

pozory tylko. Nic trudniejszego nad umiejętnie wykonany wizerunek osób działających na wielkiéj widowni dziejowéj. Tło ogólne wypadków, na które rzucić należy czyny jednostki; oświetlenie obrazu, ustosunkowanie miary wpływu i znaczenia, perspektywa historyczna, analiza psychologiczna, nasuwają nie małe trudności. O ten punkt widzenia, sprzeczać się z autorem nie ma potrzeby, bo wiemy z góry, że różnicy zdań między nami w tym względzie nie będzie. Sam bowiem zastrzega się w przedmowie, że bez pretensyi przedstawił tylko koleje życia swego bohatéra, nie mając na myśli obrazu głębiéj i wszechstronniéj pojętego. Mógłby więc powstać spór jedynie co do samego wątku biograficznego, co do szczegółów, z których wysnuł autor nić swojego opowiadania. Na tym téż ściśle gruncie, téj kanwy historycznéj możnaby kilka rzucić uwag, o ile mianowicie pełnym jest obraz życiorysowych szczegółów. W téj mierze, zdaniem naszém, jeszczeby się chyba dał uzupełnić plon tak pilnie już zebrany przez Jenikego. Potrzebaby głębiéj sięgnąć do materyałów rękopiśmiennych, których względnie tak mało ogłoszono co do wieku XVII i pilniéj samemu na miejscu tam i owdzie przetrząsnąć pliki, zwoje papierów i księgi korespondencyi. Na życzliwéj uczynności zarządów bibliotek poprzestawać nie można, piśmienne prośby nie zawsze odnoszą pożądany skutek. Zdaje się więc, że z czasem wyjdą na jaw obfitsze do życiorysu Czarnieckiego materyały. Sami zresztą mamy pod ręką garstkę szczegółów, z któremi się tu chętnie w interesie nauki dzielimy, dla uzupełnienia rysów, jakie Jenike podał w swéj pracy.

Wprzód jednak jednę nasunąć tu pozwalamy sobie uwagę. Nie jest jeszcze rozstrzygnięte pytanie, gdzie mianowicie urodził się Czarniecki? Bartoszewicz, widocznie na podstawie dykcyonarza biograficznego (Warsz. 1851), podaje wieś Żórnaw (a może przez pomyłkę Żórawno). Jenike odrzuca to podanie i przytacza rodzinną wieś Czarnieckich Czarncę, nadmieniając, że leżała ona w województwie sandomierskiém. Wątpliwości téj rozstrzygać tu nic ma powodu, ale w każdym razie dla wyświetlenia téj sprawy należałoby poszukać informacyi, co do położenia saméj wsi Czarncy. Województwo sandomierskie obejmowało z górą czterysta kilkadziesiąt mil kwadr. Nie łatwo więc czytelnikowi, który takie tylko ogólne co do miejscowości otrzymuje wskazówki, zmiarkować się, w jakim mianowicie z licznych powiatów obszernego województwa, leżała wieś rodowa Czarnieckich, Czarnca. W wydanéj przez nas Polsce XVI wieku (Małopolska, 1886 r.), znajdują się wskazówki nie pozbawione wartości. Wieś Czarnca parafialna była w roku 1540 w posiadaniu podzieloném: jednę część mieli Czarnoccy, a drugą rozdrobnioną na

małe działy — dzierżyła szlachta drobna. Prawdopodobnie byli to Czarnieccy, z których wyszedł Stefan, wojewoda i hetman. Rodzinnym ich powiatem był powiat chęciński. Stamtąd więc wywodzą swój ród Czarnieccy. Gdyby Szajnocha był zwrócił uwagę na to położenie, nie byłby w swym szkicu, który poświęcił ostatnim chwilom Czarnieckiego, pomieścił Czarncy nieopodal Żółkwi. I nasz autor byłby mógł czerpać niejakie wskazówki z dokładniejszéj ubikacyi wsi rodowéj Czarncy w powiecie chęcińskim, do określenia gniazda Czarnieckich. Tam w pobliżu leżała także wieś Rzeszow, z któréj wyszli Rzeszowscy. A matką Czarnieckiego, wojewody, była właśnie Krystyna Rzeszowska. Ta wiadomość (Małopolska XVI-go wieku pod względem geograficzno-histor.) byłaby mogła służyć do stwierdzenia zdania o urodzeniu się prawdopodobnie Stefana w Czarncy, bo i matka jego z sąsiednich stron pochodziła. Pograniczna wioska Kąty również w podziałach należała do jednéj z gałęzi Czarnieckich. Akta sądowe chęcińskie z XVI-go wieku, przy pilném ich roztrząśnieniu, dostarczyłyby zapewne niejakich w téj mierze szczegółów. Idąc w trop za temi wskazówkami, sięgnęliśmy sami do tego źródła. Udało się nam na téj drodze poszukiwań zebrać kilka wiadomości, które jako uzupełnienie monografii Jenikego służyć mogą.

Z młodszych lat Czarnieckiego, przed rokiem 1633-im, wiadomości co do jego osoby płyną bardzo skąpo. Dopiéro od czasu wyprawy pod Smoleńsk, głośniéj rozbrzmiewa jego imię. Otóż ciekawą mamy pod ręką wskazówkę. Czarniecki między 1629 a 1633-im rokiem, szukając dla siebie pola, dla swych usposobień wojowniczych, zaciągnął się do służby cesarza niemieckiego. Tam pod chorągwią cudzoziemską spędził jakiś czas swego młodego życia. Zdaje się, że ze starszym bratem Pawłem opuścił kraj, dobijając się na obczyźnie sławy rycerskiéj. W Niemczech wrzała wtedy zacięta walka dwóch obozów religijnych. Nowe zarzewie ognia wniósł Gustaw Adolf. Czy pod cesarskim wodzem Tilly'm, czy gdzieindziéj walczył Czarniecki — nie wiadomo. To tylko pewna, że w obozie katolicko-cesarskim mógł się znajdować. Kiedy zaszła w Polsce po śmierci Zygmunta potrzeba bronienia ściany wschodniéj, wydano rozporządzenie celem odwołania z zagranicy rycerzy polskich. Czarniecki wtedy na pierwszy głos stanął w szeregach tych, którzy szli pod Smoleńsk, a sprawiał się tam dzielnie z narażeniem swego życia, z odwagą właściwą jego sercu, tak iż zjednał sobie powszechną i rozgłośną sławę. Hetman polny koronny, Marcin Kazanowski, wraz z królem Władysławem byli świadkami

jego czynów walecznych. Wydał téż wódz naczelny po skończonéj wyprawie piśmienne świadectwo dzielnemu swemu porucznikowi, w tych słowach go zalecając: „Wszem wobec i każdemu z osobna, komu to wiedzieć będzie należało, wiadomo czynię, iż urodzony jmść pan Stefan Czarniecki, czyniąc dosyć prawu pospolitemu i uchodząc konstytucyej na sejmie *coronationis* ferowanéj przeciwko tym, którzy za granicę bez konsensu na usługę cesarza jmci wyśli byli, służył w wojsku j. kr. mości na przeszłéj ekspedycyej moskiewskiéj, będąc porucznikiem chorągwie mojej, który, trwając na tym urzędzie *ab ineunte bello* aż do zawarcia pokoju, tak się rządził, *omnibus exemplum prae se ferens*, jako na człowieka rycerskiego przynależało i nie respektując nic na zdrowie i na koszty swoje, tak się starał, jakoby w nabyciu sławy dobrej nie dał nikomu *primum locum occupare*, acz-ci wszystko wojsko świadkiem jest jego dzielności w rzeczach rycerskich i sam król jmść ochoty jego do służb swoich raczył się napatrzéć. Ale i sam nieprzyjaciel umiałby odwagi jego opowiedzieć, których częstokroć doznawać przydawał mu się. A ponieważ żadnej okazyej, która z przysługą j. kr. mości, z ozdobą ojczyzny, ze sławą jego być mogła, nie opuścił, tedy za takową ochotę swą nietylko od téj peny na nich włożonéj uwolniony, ale remuneracyą odnosząc słusznie ukontentowany miałby zostawać. Dan w Warszawie 13 *Martii anno* 1635. Marcin Kazanowski, w-da podolski, hetman polny koronny“ (*Checin. Relat. Induct.* 19, f. 503).

Zmazał więc Czarniecki, jak z tego listu otwartego widać, winę swoją, któréj się dopuścił, wyszedłszy z kraju na obce usługi wojskowe bez pozwolenia rzeczypospolitéj. Starszy brat Paweł, który podobną na siebie ściągnął karę, również czynami swemi ją zgładził. Jako pułkownik uzyskał od Kazanowskiego także świadectwo, choć różne od tego, jakiém się brat Stefan zaszczycał. Nie było w niém zupełnie mowy o jakichkolwiek głośniejszych jego zasługach. (Tamże, *Libr. Chenc.*).

Niejakie światło spływa na Czarnieckiego z tych samych ksiąg w jakie dwadzieścia lat później. W r. 1654 i 1655, a więc przed wojną szwedzką przebywa ówczesny już oboźny koronny, wyniesiony przeto na wysoki stopień dostojeństwa, w swojém gnieździe rodzinném, w Czarncy pod Chęcinami. Okoliczność ta ważna z tego względu, że przydać się może do wyjaśnienia udziału Czarnieckiego w wyprawie na Bracław, w którym zasiadł z ramienia Chmielnickiego Bohun. Z rozprawki Jenikego wypada, jak gdyby Czarniecki nie opuszczał w ciągu całego roku widowni wojennéj na Ukrainie w walce

z kozakami. Tymczasem zdaje się, że Czarniecki po owéj ranie, którą w twarz otrzymał przy szturmie Monasterzysk (1653 r.) i która nadwérężyła podniebienie, ustąpił chwilowo z pola bitew dla pielęgnowania swego zdrowia. W kilka miesięcy późniéj nastąpiło poddanie się Ukrainy carowi Aleksemu. W 1654 roku, zatém w miesiącu maju (2 maja) znajdujemy Czarnieckiego na wsi u siebie w domu, zajętego sprawami majątkowemi i familijnemi. Skupuje on części i działy na przyległéj wsi, Kątach, która należała do dzieci po stryju Olbrachcie, pisarzu grodzkim chęcińskim. Zaokrągla posiadłość swoję, Czarncę, dokupieniem pewnych działów. Wreszcie wydaje córkę swą starszą (zaledwie 16-letnią) za Branickiego młodego, który pełnił urząd wtedy starosty grodowego w Chęcinach. Umowę przedślubną podpisano w Czarncy 10 czerwca 1654 r. Zdaje się, że pobyt przeciągnął się dłużéj bez przerwy, bo pod dniem 9 września znów Stefan Czarniecki osobiście staje w kancelaryi grodzkiéj i zeznaje akt zapisu posagu na rzecz drugiéj, a niezamężnéj córki, Konstancyi Joanny, któréj zabezpiecza 50 tysięcy zł. na swoich dobrach. Córce zaś po swoim bracie Dobrogoście, Krystynie, przeznacza na posag 3,000 złotych (Ks. 59, f. 226, 299, 479).— Zdaje się, że po załatwieniu spraw domowych, po odzyskaniu zdrowia wyruszył oboźny koronny na Ukrainę.

W chwili rozpoczynającego się w 1656 roku najazdu szwedzkiego, zastajemy znów Czarnieckiego u siebie w domu w Czarncy. Dawny oboźny koronny gościł już teraz w kole rodzinném jako kasztelan kijowski. Tę godność senatorską otrzymał w d. 14 maja 1655 r., jak świadczy o tém wydany przez króla list, oblatowany w ks. chęcińskich (59 f. 1084). Kiedy Czarniecki zawitał do swych penatów, jak długo pod ich skrzydłami bawił, oznaczyć trudno. Ale to pewna, iż gdy pierwsza doszła go wieść o wkroczeniu Szwedów do Wielkopolski w dn. 24 lipca, zrozumiał, że jego ramię, jego życie nie należało do rodziny w Czarncy, ale do kraju całego. Jakoż już pod dniem 29 lipca, jakby się gotując do krwawego zawodu, ustanawia opiekę nad swą drugą córką, Konstancyą Joanną, „ze względu na niepewność losów ludzkich“ (ks. 59, f. 1081). Porzuci się dom i zagrodę, porzuci się żonę i córkę, może Bóg wrócić nie pozwoli. Trzeba ustalić los dziecka. Dodaje więc żonie swéj, Zofii, do opieki brata Tomasza i Pawła, zięcia Branickiego, kasztelana Kobierzyckiego i innych. W kilka tygodni późniéj już Stefan Czarniecki gromił Szwedów pod Inowłodzem i Piątkiem. A późniejsze czyny bohatérskie — toć są znane z opowieści Jenikego.

W końcu tegoż roku król, wynagradzając Czarnieckiego za waleczne jego dzieła, dokonane „z wielkiém zdrowia niebezpieczeństwem i znaczną substancyi stratą“, nadał mu starostwo kowelskie w grudniu (30 d.) 1655 r. w Podolińcu (*Ch. R.* 37, f. 164). W 1658 r. (pod dn. 28 sierpnia) otrzymuje Czarniecki, już ówczesny wojewoda ruski, zwolnienie, wydane przez króla w Poznaniu, od wszelkich sądów, od stawiennictwa w nich z powodu jakichkolwiekbądź spraw, bo „z pewną partyą wojska poszedł (do Danii) i tam przez całe lato, albo póki wojna ze Szwedem skończona nie będzie, zostawać musi“ (*Chęc. R.* 37, f. 163). W 1661 r. bawi znów Czarniecki czas jakiś u siebie na wsi w Czarncy, zostaje zaś wojewodą kijowskim w 1664 r. (dn. 22 lipca), o czém dokładną podaje wiadomość Jenike. Wreszcie dla sprostowania jednego jeszcze szczegółu nadmienić wypada, że Czarniecki otrzymał starostwo kaniowskie w 1659 roku. Jenike po dwakroć zaprzecza téj wiadomości (str. 27 i 161). „Starostą kaniowskim nie był on sam (Stefan Czarniecki, wojewoda), tylko synowiec jego tegoż imienia“, (str. 27, przyp. 2). I na innėm miejscu twierdzi, „że z powodu tożsamości imienia i nazwiska, pamiętnikarze nasi mieszają często wojewodę kijowskiego ze starostą kaniowskim“, t. j. z bratankiem Stefanem, synem po najmłodszym bracie Marcinie (str. 161). Zaprzeczenie to nie ma podstawy. Owszem, wojewoda Stefan Czarniecki był starostą kaniowskim. O tém przekonywa nadanie królewskie z dnia 12-go kwietnia 1659-go roku w Warszawie podpisane (*Chęc. R.* 37, f. 262), które tu dosłownie przytaczamy w odpowiednich ustępach:

„Znaczne, a prawie krwawe w rzeczyposp. wielmożnego Stefana na Czarncy Czarnieckiego, wojewody i generała ziem ruskich, regimentarza wojsk naszych, piotrkowskiego, kowelskiego, ratyńskiego i t. d. starosty zasługi, które on z młodości lat swoich w każdéj okazyej tak najjaśn. św. pam. bratu i antecesorowi naszemu, jako i nam samym, ale osobliwie w teraźniejszych wszelakich naszych nieprzyjaciół na upadek korony naszéj i całéj rzpltéj sprzysiężonych insultach wyświadczał i po dziś dzień w cudzych krainach z wielką odwagą zdrowia swego, stratą substancyej na zachowanie całości i nieśmiertelną królestwa naszego sławę wyświadcza patrzymy, chętnieśmy na to umysł skłonili, abyśmy mu rząd i pożytek starostwa kaniowskiego... ofiarowali.“

Jako więc dank za wyprawę duńską, otrzymał Czarniecki pomienione bogate starostwo, które poprzednio dzierżył Al. Koniecpolski, wojewoda sandomierski.

Czytelnik nie będzie wraz z nami przeceniał doniosłości tych kilku uzupełnień i sprostowań, które z pod naszego wyszły pióra. Jeżeli one dorzucają trochę światła, to nie zmniejszają bynajmniéj wartości samego obrazu, skreślonego przez autora. Występuje i tak już sam wizerunek w pełni charakterystycznych rysów, uwydatnionych skrzętną ręką Jenikego. Nie wątpię, że pociągnie on ku sobie licznych czytelników i wzbudzi w nich miłe uczucie wdzięczności za pracę, podjętą z taką miłością i z takim pożytkiem dla ogółu.

A. Pawiński.





Francuzi i Niemcy

PODCZAS WOJNY *).

Dick de Lonlay t. V. Otoczenie Metzu. — Servigny, Noisseville, Flanville, Nouilly Coincy — T. VI. Oblężenie Metzu, Peltre, Mercy-le-Haut, Ladonchamps. — Kapitulacya.

Ze sposobu, w jaki Bazaine stoczył bitwę d. 16 i 18 sierpnia (1870 r.), można było zgadnąć, bez wielkiéj domyślności, dalszy ciąg jego postępowania. Jakoż śledząc dzień po dniu przebieg téj nieszczęsnéj kampanii, nieustannie się spotyka tęż samą złą wolę i marnowanie, w oburzający sposób, wszystkich środków i sił.

Wiadomo, że powinien był się złączyć z Mac-Mahonem, zatém nie cofać się ku Metzowi, lecz iść naprzód, nie tracąc chwili; tymczasem cały dzień po bitwie pod Gravelotte spędził on bezczynnie. Ks. Fryderyk Karol, przezwany „Czerwonym księciem“ korzysta z tego pomyślnego a niespodziewanego obrotu rzeczy: z pośpiechem zajmuje drogi i mosty, dla przecięcia komunikacyi, a miasto opasuje podwójném kołem szańców; gdyby się udało Francuzom złamać pierwsze, pozostawało do rozerwania drugie. Wzięci we dwa ognie, nie wiele szans powodzenia mają za sobą. I, rzecz nie do wiary, Bazaine cały tydzień spędza bezczynnie! Nawet nie przeszkadza fortyfikować się nieprzyjacielowi! Ten zaś uzuchwalony, stawi na zajętych przez się miejscowościach słupy z nadpisem: „Ziemia pruska, przechodzić niewolno“. Po takiém biernem zachowaniu się naczelnego wodza, wobec okoliczności, które krew burzą i domagają się energicznego wystąpienia, czyż potrzeba dodawać, że wszystko, co można było

*) Patrz „Ateneum“ 1889, IV, str. 258—282.

przeoczyć, zaniedbać, zmarnować, zostało przeoczone, zaniedbane zmarnowane? Jeśli zasadą wojny i polityki jest jak najwięcéj złego zrobić nieprzyjacielowi, a sobie jak najwięcéj przysporzyć korzyści, to Bazaine całkiem przeciwną obrał taktykę. P. de Lonlay, naoczny świadek, zbiéra gorliwie wszystkie szczegóły, dowodzące jego zdrady. Śledzić ich wraz z nim i przytaczać każdy, niepodobna. Jestto nieustanne powtarzanie tych samych rozmyślnych błędów, o których wyżéj była mowa, dość będzie zaznaczyć ważniejsze, by dać wierne wyobrażenie o głównym działaczu i o całéj sprawie. Samo cofnięcie się do fortecy, jako przekroczenie regulaminu, poczytuje się za zdradę, w tym zaś wypadku jeszcze przynosi ono drugą, niepowetowaną szkodę miastu—głód. Metz, uchodzący do tego czasu za niezdobytą warownię, posiadał dostateczną dla swéj obrony załogę i zapas żywności na kilka miesięcy. Zwiększona liczba ludności, blisko dwustotysięczną armią, mając przecięty dowóz, wyczerpywała ją w krótkim czasie. Bazaine, nie dość, że nie myśli o zaradzeniu temu, ale odrzuca pomoc tych, którzy ją ofiarowują. Wydaje się to potworném kłamstwem, ale, niestety, są dowody, że to prawda. Pewien urzędnik kolejowy doniósł, że o 12 kilometrów znajdują się ogromne składy żywności i paszy, należące do Niemców, że można się pokusić o zabranie onych, a przynajmniéj zniszczyć je. Bazaine nie skorzystał wcale z doniesienia. To téż Prusakom na niczém nie zbywa i w spokoju wszystkiego używać mogą; nawet hulanek pozwalają sobie. Rozpowszechnione dość mniemanie, jakoby żadnych nadużyć się nie dopuszczali, ale liczne fakta przeczą temu: oto naprzykład w Novéant, po biesiadzie niszczą i łamią wszystko u gospodarza, który im przymusową gościnność ofiarował, a nie mogąc wypić wszystkiego wina, dna w beczkach poodbijali, aby wyciekło. W Bellevue dostają się do opuszczonego przez właścicieli domu, łamiąc ogrodzenie i wyważając drzwi; zabrawszy potrzebne im sprzęty, cacka i drobiazgi darowali dziewczętom wiejskim. W Vaux zabierali chléb ludności, albo kazali sobie płacić po 2 fr. Tych, którzy zapłacić nie chcieli, albo nie mogli, zmuszali do robót przy okopach.

„Nie dość, że się dał otoczyć, Bazaine chciał nadto zostać intelektualnie odłączonym od Francyi, i przedsięwziął ku temu środki“.

D. 19 sierpnia, urzędnicy kolejowi donoszą, że dolina Mozelli jeszcze nie zajęta i ofiarowują się utrzymywać komunikacyę, byle wojsko broniło linii. „Mając 26 pułków kawaleryi, popartéj w danym razie przez piechotę“, można było rozporządzać linią kolejową i telegraficzną, ale naczelny wódz tego nie potrzebuje — przeciwnie. Więc 20 sierpnia Metz zostaje odcięty.

Dla zachowania swych planów, rozpuszcza kłamliwe wieści: to, że wojsko upada na duchu, gdy przeciwnie, wszyscy pragną walczyć i nie wątpią o zwycięstwie; to, że amunicyi brakuje. Tymczasem odkryto niespodzianie d. 20 sierpnia znaczne onéj zapasy, 4,000,000 ładunków „o których nikt nie wiedział“. Zamiast udzielić téj pożądanéj wieści, on ją ukrywa, i wojsko choć rwie się iść na nieprzyjaciela, martwi się tém, że zabraknąć może kul i prochu A raport gen. Soleille, z 20 sierpnia wykazuje, że wszystkie parki artyleryi dopełnione, wyjąwszy VI korpus. Dział 24 funtowych 103, dwunastofuntowych 145, mniejszego kalibru 103, moździerzy 189, 400,000 kilogramów prochu, 20,000 strzelb z r. 1866, 3,226 z r. 1867, iglicówek (*fusil à repercussion*) 37,889 (nie licząc tych, które są u żołnierzy), 7,000,000 ładunków i ogromny zapas kartaczy“. Raport się kończy temi słowy: „W skutek bitw w d. 16 i 18 sierpnia wojsko mniema, że brakuje amunicyi. Aby pokrzepić na duchu, myślę, panie marszałku, iżby wypadało uwiadomić, że jest znowu uprowidowane“.

Przez kilka dni głuche milczenie, następnie pobieżna i niewyraźna wzmianka, która minęła niepostrzeżona. Jaki cel takiego postępowania. Bo swoją bezczynność dowódzca tłómaczy brakiem zapasów wojennych.

A Mac-Mahon wierząc szalbierzowi, który w inném świetle, niż jest, wystawia swe położenie, wysyła kilka depesz na raz, każe opłacać posłańców choćby na wagę złota i donosi, że spieszy na pomoc...

W duchu zdrajca musiał kląć tę gotowość i zacność kolegi.

Gdy dzielny i rostropny agent policyjny dotarł z depeszą zawiniętą w cygaretkę i oddał pułkownikowi Lewal dla wręczenia naczelnemu dowódcy, ten natychmiast pośpieszył z nią do Bazaine'a.

Bazaine obojętnie czyta:

„Jestem w Reims. Idę w kierunku Montmédy; pojutrze będę w Aisne, skąd skieruję się ku tobie z pomocą?

Pułkownik Lewal mając pozycye zajęte przez nieprzyjaciela i wiedząc, że ks. Saski czatuje ze znacznym oddziałem, by przeszkodzić połączeniu się armii z Chalons z armią nadreńską, woła:

— Nie ma czasu do stracenia, panie marszałku! potrzeba śpieszyć niezwłocznie z pomocą Mac-Mahonowi.

— Niezwłocznie?... to zawcześnie — odpowiada Bazaine.

— Najpóźniéj jutro! — dodaje pułkownik, przerażony myślą o niebezpieczeństwie grożącém rodakom.

— Zobaczymy pojutrze! — brzmi niedbała odpowiedź.

A tymczasem pośpiech był konieczny. Oba wojska powinny były

się zejść w Montmédy; inaczéj Mac-Mahon wpadał w matnię, między dywizye ks. Saskiego, Fryderyka Karola i Fryderyka Wilhelma.

Nikczemnik wiém o tém i zostaje na miejscu, bo rad, że popularny spółzawodnik będzie pokonany. Klęski kolegów i kraju użyje jako szczebli do wywyższenia się. Roi o najwyższéj godności. Nie przewidział klęski pod Sedanem, a rewolucyi w Paryżu.

Nie chcąc przecież wywoływać powszechnego oburzenia i drażnić jawnie opinii, ucieka się do półśrodków, które jako takie, stanowczego rezultatu nie wydają. Łudzi pozorami, zwodzi masy, a w gruncie przeprowadza swą niegodziwą kombinacyę. Po tygodniowéj bezczynności udaje, że chce się połączyć z Mac-Mahonem i ogłasza rozkaz wymarszu na dzień następny. Wojsko przyjmuje go z zapałem i wesoło, jakby miało iść na gody, czyści rynsztunek wojenny. Wszyscy raźni i ochoczy prowadzą ożywione rozmowy: już się widzą za obrębem fortecy, przechodzą na prawy brzeg Mozelli, znajdują się na otwartém błoniu, a złączywszy się z armią z pod Châlonu zadają klęskę wrogowi. Tu następuje „dzień dudków“, *la journée des dupes.* Bazaine urządza wycieczkę tak, aby się nie udała. Rozkazy jego niewyraźne i niedokładne; pierwszemu zaprzecza drugi, drugiemu trzeci. Jest to coś w rodzaju tych ataków, jakie żołnierzom dla wprawy odbywać każą w czasie manewrów, z tą różnicą, że tu nie ślepemi ładunkami walczą. Komedya zaczyna się od zwołania rady wojennéj. Bazaine oznajmia, że postanowił śpieszyć z odsieczą Mac-Mahonowi i oznacza drogę pochodu, ale zamiast wybrać prawy brzeg Mozelli, wolny niemal jeszcze, on wybiéra lewy zajęty, „raczéj dobrowolnie ustąpiony Prusakom“ a pilnie strzeżony. Naturalnie, że taki projekt wywołał ogólną protestacyę. Zdrajca musiał uledz większości głosów, ale powetował to sobie w innych rozporządzeniach.

Nakoniec po licznych sprzecznych rozkazach i odwoływaniu rozkazów, część wojska wyruszyła na płaskowzgórze St.-Julien i uszykowała się między fortami: St.-Julien, Queulen i folwarkiem Châtillon, w szeregach tak ścieśnionych, że tamowały swobodę ruchów i działania. Mniejsza o to— myślą żołnierze — zrobimy sobie miejsce, uderzywszy na wroga, byleż co prędzéj rozkaz do ataku! Ale tego rozkazu nikt nie wydaje. Stoją z bronią w ręku i czekają. Wreszcie przychodzi rozkaz... aby się zabrano do posiłku. Więc zaczynają gotować kawę i spożywać dary boże. Tymczasem Bazaine zwołuje drugą radę wojenną. Tu nowe szalbierstwo. Ukrywa przed dowódcami, że Mac-Mahon jest w drodze, ukrywa i to, że wojsko posiada dostateczny zapas amunicyi, wszyscy zaś są przekonani, iż się rzecz ma przeciwnie. W fałszywie przedstawionych warunkach rezultat obrad prze-

chyla się na stronę życzeń zdrajcy — to jest czekać. Bo i jakże walczyć, gdy brakuje nabojów? Miał słuszność Napoleon I, mówiąc, że „narady wojenne są tylko na to, aby zdanie najtrwożliwsze przeważyło. Jeden tylko Bourbaki, który nadszedł przy końcu, zaprotestował, i domagał się, żeby iść przebojem, bądźcobądź, ale i on musiał ustąpić większości głosów. Nadmienić wypada, że według regulaminu, głosy podawane na radzie wojennéj, są tylko doradcze, nie zaś decydujące. Głos naczelnego wodza jest wyższy nad nie i jego decyzya o wszystkiém stanowi. I wojsko wystawszy piętnaście godzin przy broni złożonéj w kozły, pod kilka razy wznawiającą się uléwą, powróciło wieczorem na stanowiska opuszczone z rana!

Podobnie bezskuteczne manewra powtarzają się niejednokrotnie, pod rozmaitemi pozorami. Wojsko wychodzi jedną, powraca drugą bramą; rozporządzenia przeczą sobie wzajem, nikt nie wié, o co właściwie idzie. Naczelny wódz urządza rodzaj deptaka, w którym dużo ruchu, zamieszania i tłoczenia się, a rezultat żaden. A tymczasem wróg coraz ciaśniejszym pierścieniem otacza miasto, szpieguje w rozmaity sposób [1]) (a wybornie uorganizowana ta gałęź administracyi pruskiéj) ceny zaś produktów się wznoszą. Przy końcu sierpnia funt cukru kosztuje 1 fr. 60 ct., funt masła 5 fr., tuzin jaj od 5 do 6 fr. Piekarze ukrywają chléb, wołowiny mało, zaczynają bić konie. Humoru jednak żołnierz nie traci, a jakiś żartowniś układa litanię do Mac-Mahona, którego wszyscy wyglądają z upragnieniem.

Mac-Mahonie! Zbaw nas od Prusaków!
Mac-Mahonie! Wybaw nas od koniny i masła na wagę złota.
„ Zwróć nam byfsztyki! i t. d.

D. 30 sierpnia rozchodzi się pogłoska, że oczekiwany zbawca nadciąga. Bazaine wydaje rozkaz do pochodu. Niestety, wieść była fałszywa. Mac-Mahon pokonany pod Beaumont i Mouzon, odparty do Sedanu nie może już nikomu pośpieszyć z pomocą, bo sam jéj potrzebuje. Ale wojsko jeszcze nie wié o niczém i raduje się, nowéj otuchy nabiéra i gotuje się z zapałem do boju. „Tylko nas puśćcie na bagnety, mówią bez fanfaronady choć z przekonaniem, a zobaczycie czy damy sobie rady z ich działami“. „Cały charakter żołnierza francuskiego maluje się w tych wyrazach: naprzód! zawsze naprzód! Jego odwaga jest podobna do kuli jego *chassepot'a*. By stać

---

[1]) Pod lada pozorem, np. wysyła parlamentarzy, którzy szpiegują ile wzroku i słuchu starczy. Wszystko wiedziano w obozie niemieckim, co się dzieje w Metz, nawet takie drobne szczegóły: w czyim domu, przy jakiéj ulicy, pod jakim numerem znajdowali się ich rodacy wzięci do niewoli.

się straszną potrzebuje tylko siły rzutu. Pomimo licznych zmian w sztuce wojennéj, taktyka powinna zostać taż sama. Nie sądzę byśmy się mylili, obiecując zwycięstwo temu wodzowi, który w stosownéj chwili potrafi rzucić się na nieprzyjaciela: Rozumną zaczepką wygrywa wojsko, którego główną zaletą jest zapał (*entrain*). Odwaga jest rzeczą temperamentu. U Anglików, u Niemców i u wszystkich narodów flegmatycznych jest ona spokojną; u ludów romańskich, o krwi gorącéj, jest ona tém, co nazywamy: *la furia francese* na cześć narodu, który posiada ten przymiot w najwyższym stopniu“. Ta cecha wojska bodaj, że jest cechą całego narodu. Nie wiem azali często inicyatywa w wielkich, w żywotnych kwestyach, wychodzi z Francyi, ale rzecz niezawodna, że egzystującą już Francuz rozpowszechni, rozrzuci po całym świecie. Kraj ten gra w cywilizacyi rolę telefonu, albo kolei żelaznéj: telefon nie posiada własnego głosu a koléj swego towaru, za to najszybciéj podany sobie głos i towar wszędzie rozwiozą i wszystkim zakomunikują.

Nareszcie 31 sierpnia wojsko występuje rzekomo, jakoby na prawdę, do przebicia się na otwarte pole. Dick de Lonlay dając szczegółowe sprawozdanie o liczbie i pozycyach zajętych przez Niemców, twierdzi, że szybkie i energiczne działanie powiodłoby się w zupełności. Jakoż w istocie nieprzyjaciel nie zdołał jeszcze wykończyć wszystkich robót obronnych tak, aby stanowiły nieprzebytą zaporę, nadto znaczna część oblegających znajdowała się o pięć a nawet o dziesięć mil od punktu, na który wyruszyli Francuzi. Gdyby raźnie rzucić się naprzód, „w godzinę możnaby znieść ze szczętem te 40,000, które są przed nami“. Inne oddziały zdążając po kolei, stosownie do odległości, w jakiéj się znajdowały, po kolei mogły zostać zwyciężone. Ale Bazaine nie wydaje rozkazu do ataku. Zamiast rozpocząć walkę w stosownéj chwili, 140,000 wyborowego żołnierza stoi bezczynnie do 4 godziny po południu i widzi, jak zewsząd się ściągają pułki niemieckie. „Teraz — powiada autor z żalem, który się czytającemu udziela — żołnierze nasi mogą iść na bój, na śmierć, z przekonaniem, że nie zwyciężą, bo naczelny wódz nie chce zwycięstwa“. Ach, gdyby chciał! gdyby kilku słowami zelektryzował te dzielne zastępy i rzucił na najeźdźcę, gdyby 16 bateryi wsparło indywidualną waleczność, z pewnościąby się złamały szeregi pruskie! Cóż bo za bohatérskie epizody w téj bitwie bez planu, bez jedności akcyi! One dowodzą faktycznie czego może dokazać żołnierz francuski. Te pojedyńcze zapasy oddziału z oddziałem, to szczyt męstwa; dość wspomnieć zajęcie wioski Nouilly, gdy bagnetami zdobyli działa w jednéj chwili, albo zajęcie wsi Montoy, pod ulewą kul nie-

przyjacielskich, które „ścielą ich szeregi, jak żniwiarki plenne kłosy“, a oni, w szalonym pędzie sadzą przez okopy i w mgnieniu oka wypierają wroga. A ciż dragoni, którzy pod gradem ognistym idą równym, mierzonym krokiem, tak spokojni jak „na paradzie“ i biorą wioskę Coincy. Można myśléć, że się prześcigają dla popisu z pogardą śmierci. Mordercze zdobycie wsi Noisseville następuje przy śpiewie staréj piosenki francuskiéj. Niejednemu kula przerwała strofę wraz z życiem, ale pozostali idą śpiewając, a bagnet ich łamie wszystkie zapory. Zaiste straszny jest Francuz w szarży na bagnety. To jest uragan podzwrotnikowy, przed którym nic się ostać nie zdoła. A tak lubi tę broń, odpowiednią jego temperamentowi, że dwóch rannych, których niesiono do szpitala, odzywa się wesoło: „Nie żałujcie nas! szliśmy na bagnety“.

Następuje walka pod Servigny, która rozstrzyga o losie bitwy na korzyść Francuzów. Atak rozpoczyna się wielkiemi siłami. Wspaniale wygląda ta masa wojska, postępująca przy dźwięku trąb i biciu w bębny. Nagle wybucha ogień piekielny i rozpoczyna się bój zażarty, a po nad jęki rannych i huk dział przedziéra się pełen zapału okrzyk zwycięzców: „niech żyje cesarz“. Nieprzyjaciel pokonany cofa się. By stanowczą odnieść wygranę, należy iść naprzód: „niech rezerwa wesprze walczących, a płaskowzgórze S-te-Barbe zdobyte i droga otwarta przed nami“ [1]). Ale wódz naczelny rezerwy nie wysyła, noc nadchodząca nie pozwala wyzyskać zwycięstwa, i zamiast iść przed siebie, zatrzymują się w miejscu. Bazaine powraca ze swym sztabem do swéj kwatery w Ban-Saint-Martin, nie pytając o rezultaty, nie wydając żadnych rozporządzeń nadal. Wojsko zaczyna szemrać; między generałami wszczynają się nieporozumienia i spory. Do wodza należy położyć im tamę, ale ten o niczém wiedzieć nie chce. Gra rolę widza-amatora. Więc ta świetna karta z wojennych dziejów na nic się nie przydała. Nawet zajętych pozycyi nie utrzymuje. Gdy się nazajutrz walka rozpoczęła, warunki się zmieniły. Ks. Fryderyk Karol myśląc, że Bazaine chce stoczyć walną bitwę, telegrafuje po posiłki; 120,000 się zbiéra a Francuzi zaczynają wątpić o skuteczności swych usiłowań; rozkaz dzienny, dwuznaczny i podstępny, nie dodaje ducha i nie poprawia humoru. Walczą jednak i jak zawsze, bez ogólnego planu, bez jedności w działaniu, każdy oddział na swą rękę. Niektórzy z generałów są na widoczną zgubę wystawieni przez za-

[1]) Niemcy sami mówili: „dziś nas Francuzi dobrze zbili. Jeśli będą nas ścigać, tośmy zgubieni, ale jeśli będą czekać do jutra, to niech się mają na baczności!“

zdrosnego zwierzchnika i muszą się cofać przed przemagającą liczbą— a tymczasem rezerwa zawsze stoi bezczynnie; z 14 dywizyi piechoty 6 tylko bierze czynny udział. Wreszcie po krwawéj i bezużytecznéj walce Bazaine każe się cofać. Odwrót odbywa się w porządku, ale wszyscy gniewni szemrzą: „Czyż warto było nadstawiać głowy, by opuścić to, cośmy zdobyli!“ I mają słuszność, nieszczęśliwi! Walka w d. 31 sierpnia: „którą można zaliczyć do najświetniejszych czynów wojennych armii pod Metzem“, pozostała bezowocnym krwi francuskiéj rozlewem. Oto jak Niemcy osądzili głównego w niéj działacza. Generał Schwerin rzekł: „Bazaine zdradził kraj w d. 31 sierp. w bitwie pod Servigny, gdziem był. Mieliśmy za stracone dwa korpusy, gdyby nas był zaatakował o południu, jak to mógł zrobić, ale on wolał poczekać na nas“ (to jest aby się wszystkie siły ściągnęły). Ks. Fryderyk Karol, rozmawiając po kapitulacyi z oficerami francuskimi, odezwał się, iż nie pojmował wcale taktyki Bazaine'a w d. 31 sierpnia i 1 września. Zaiste trudno było przypuścić, że naczelny wódz chce zostać pokonanym.

Ta „udana“ chęć opuszczenia Metzu kosztowała Francuzów 146 oficerów, 3,401 podoficerów i żołnierzy (Niemcy stracili 120 oficerów, 2,358 żołnierzy i 400 ranionych w rękach Francuzów). Na domiar niedoli brakowało ambulansów przez te dwa dni mordercze, tylko dwaj zacni kapłani, de Damas i de Meïssas, pamiętali o nieszczęśliwych i zasłużyli na wdzięczność swą odwagą i poświęceniem.

Po niefortunnie zakończonéj bitwie pod Servigny „któréj doniosłość była nie mniejsza od wydanych w d. 16 i 18 sierpnia“, nastąpiła ponura i dżdżysta noc jesienna. Przerwała ją wrzawa tysiącznych głosów, w obozie nieprzyjacielskim, pijanych szałem radosnym. Otrzymali wieść o klęsce pod Sedanem.

Pod Servigny była ostatnia wielka bitwa armii nadreńskiéj, i na niéj się kończy pierwszy epizod oblężenia. Odtąd następuje powolne, długie konanie, przerywane mało znaczącemi wycieczkami, to po żywność, to po paszę.

Metz, słynący do tego czasu jako niezdobyta forteca, potrzebował jednak, przy udoskonalającéj się ciągle broni palnéj, pewnych zmian i ulepszeń, ale roboty rozpoczęte w 1868 r. nie były wykończone jeszcze w 1870 r. W takich warunkach twierdza ta nie mogła zostać podstawą obrotów zaczepnych wielkiego wojska. To téż deputacya z najpoważniejszych mieszkańców „błagała“ Bazaine'a, aby odstąpił od miasta wprzód, nim zasoby się wyczerpią. Ten jednak

uparł się, żeby pozostać, i swoim zwyczajem zaniedbał wszystkiego co mogło wzmocnić i przedłużyć opór, natomiast nieprzyjacielowi ułatwił wszystko, co było w jego mocy. Z długiego szeregu dobrowolnych błędów, kilka jest tak rażących, iż zasługują na wzmiankę.

Armia nie posiadała planu miejscowości, więc jeden z wyższych oficerów udał się do fotografa z zapytaniem, czyby nie mógł zrobić odbitek powiększonych z karty, którą mu na wzór pokazał.

— I owszem — odpowiedział fotograf.

Ale pozwolenie naczelnego wodza było niezbędne. Trzy czy cztery tygodnie upłynęło, zanim je dać raczył. Odbito wreszcie 100 kart, za które fotograf otrzymał 120 fr.

Komendant fortecy, gen. Coffinières (którego rola téż nie zupełnie jasna) głośno się uskarżał na szczupły zapas amunicyi. Gdy się wieść o tém rozeszła, z rozmaitych stron zaproponowano usługi, które odrzucono w sposób mniéj lub więcéj dyplomatyczny, ale na zanotowanie zasługuje następujący, jedyny w swoim rodzaju, dyalog jakby ze sztuki jakiejś teatralnéj wyjęty. Niejaki Champagneulles, gorący patryota, zaniepokojony, że ładunków jest rzekomo na jedną tylko bitwę udał się do swego przyjaciela, nazwiskiem Girard, właściciela zakładu metalurgicznego.

— Czy piec, który funcyonował niedawno — pyta — jest w dobrym stanie, i czy mógłby na nowo topić kruszec.

— Za godzinę może być gotów — odpowiada Girard.

— Brakuje kul, czybyś mógł je sfabrykować?

— Doskonale.

— Udaj się do arsenału z propozycyą, będą radzi.

— Nie znam nikogo; udaj się ty raczéj w mojém imieniu, ponieważ widujesz generała X.

Champagneulles zgodził się wyręczyć przyjaciela.

Generał X (pono gen. Soleille) powiedział, że musi odwołać się w téj kwestyi do swéj zwierzchności.

Tydzień mija bez wieści.

Dwaj przyjaciele naradziwszy się, postanowili piśmiennie swą propozycyę powtórzyć. List pozostał bez odpowiedzi. Champagneulles, który do serca brał sprawę zagrożonego miasta, napisał powtórnie do naczelnego wodza i do kilku generałów, dodając, że przyjaciel jego nie żąda wcale wynagrodzenia za swoje usługi, lecz je ofiarowuje przez patryotyzm: „Róbcie wreszcie, jak chcecie—kończy odezwę—co do mnie spełniłem swoją powinność“.

W kilka dni wezwano właściciela odlewni do arsenału.

Zdaje się, tenże sam generał Soleille pochwaliwszy szlachetną bezinteresowność swego gościa, dodał:

— Rzecz bardzo trudna odlêwać kule. Tylko w szkole politecznicznéj można się tego nauczyć.

— Ukończyłem szkolę centralną, jako jeden z pierwszych uczniów.

— Ach! powtarzam, tylko w szkole politechnicznéj można się tego nauczyć.

— Niejednokrotnie wykonywałem tę robotę — odpowiada Girard. — Oto są kule mego odlewu — dodaje, ukazując stos leżący na dziedzińcu.

— Ta-ta-ta— tego się tylko nauczyć można w szkole politechnicznéj, powtarza znów swoje generał.

Taki miała koniec rozmowa... i obywatelska propozycya Girarda.

A gdy ludność zaniepokojona swym losem udała się do Bazaine'a, prosząc, by obmyślił ratunek, on odpowiedział:

— Bądźcie spokojni. Mam mój plan. Wyjdziemy przez dobrą furtę.

Do pogorszenia tego stanu rzeczy przyczynia się niesłychany nieład we wszystkich gałęziach administracyjnych. Gdy Bazaine ulokował się na stałe, wzięto się do sprowadzenia żywności, ale z powodu źle urządzonéj służby, niedozoru, niedbalstwa, jedna część tych zapasów pozostała za miastem, w oddalonych punktach i wpadła w ręce Niemców, druga, umieszczona w nieodpowiednich składach, zepsuła się i zmarnowała, trzecia nakoniec, o któréj nie wiedziano wcale, przechowała się nietknięta do końca oblężenia! Rzecz nie do wiary, a przecież prawdziwa, że paki z żywnością przychodziły, bez adresu, nie wiadomo dla kogo, szedł kto chciał, brał czego potrzebował, pod pozorem, „nieregularnéj dystrybucyi" i nikomu sprawy z tego nie zdawał. Jeden z oficerów nie mając obroku dla konia, rozpruł wór ze zbożem i karmi zeń bez ceremonii, nie myśląc, że ludności chleba zabraknąć może. Ktoś inny wziął wór kawy, w mniemaniu, że to owies; rozwiązawszy, spostrzega omyłkę i mruczy z niezadowolenia, ale kawy nie odnosi na miejsce, lecz zostawia na opiece losu. Naturalnie znaleźli się tacy, którzy nie omieszkali skorzystać z téj macoszéj opieki. Wory mąki, ułożone nad brzegiem rzeki, na pochyłości, dla łatwiejszego spuszczania do przewozu, zamokły, poprzedzierały się i zmieszały z błotem; furaż, nieostrożnie podawany, zapalił się. Sól, umieszczona w magazynach drewnianych nad brzegiem rzeczułki, peryodycznie wzbierającéj (pomimo ostrzeżenia mieszkańców)

została zalaną. To téż cena jéj doszła do bajecznéj wysokości 16 fr. za funt.

Niesmaku się doznaje i gniewu, czytając opis téj niezaradności; tylko dzieci w podobny sposób psują swoje zabawki, albo w bajkach chochliki i inne psotne geniuszki niweczą ludzkie usiłowania; w rzeczywistości zaś, zwłaszcza tak strasznéj, jak ta, o któréj mowa, podobną niezaradność należy napiętnować mianem głupoty. Niemiłém jest używanie pewnych wyrazów, lecz są okoliczności, w których użyć ich potrzeba. Omówienie łagodne wyglądałoby na pobłażliwość, którą wbrew ogólnemu mniemaniu, nie za zaletę, lecz za wadę poczytuję; nawet za wadę bardzo niebezpieczną, bo ta w danym razie może stać się zbrodnią.

Z takiego zmarnowania zapasów tłómaczono się późniéj brakiem rąk do pracy. W istocie nie rąk, lecz głowy brakowało. Robotnicy uskarżali się, że nie mają zajęcia i najmowali się za 75 centymów dziennie, do zamiatania ulic. Wreszcie można było użyć żołnierzy, z których wielu bezczynnie przechadzało się po mieście lub „łapało raki“.

Żywność rozdawano zrazu w takiéj obfitości, iż żołnierze rzucali suchary w błoto, a szli po bułki do piekarzy, następnie zaś rozdzielano tak bezładnie, iż tysiące nie otrzymywały swych porcyi i do dobroczynności prywatnéj się uciekały. I znów szczegół charakterystyczny w téj mierze.

Na początku blokady prezes komisyi rolnéj, Magnin, przyszedł do komendanta fortecy, gen. Coffinières, doradzając, aby wezwano ludność do zwożenia zboża do miasta.

— Nie potrzeba — odpowiada komendant. — Sytuacya nie jest tak straszna, jak się wydaje. Na co trwożyć mieszkańców?

Zostały więc liczne stogi po wsiach i fermach, z których późniéj Niemcy korzystali.

W jakiś czas późniéj tenże Magnin przychodzi znów do gen. Coffinières, mówiąc:

— Garść ułanów pruskich plondruje okolicę. Masz pan liczną kawaleryę. Poślij ją po odebranie zapasów, które nam mogą być bardzo potrzebne.

Ostrzeżenie pozostało bez skutku.

Niezaradność i niedbalstwo były takie, że, gdy po kapitulacyi żołnierze francuscy marli w drodze z głodu i zimna, Prusacy znajdowali po magazynach jadło, bieliznę i odzież...

Bazaine objął najwyższą władzę w Metzu d. 12 sierpnia, i wtedy, według obrachunku kompetentnych, znajdowało się żywności na

60 do 70 dni, dla normalnéj liczby mieszkańców, a z napływową na dni 50. O prowizyi dla wojska nie było dokładnych danych. Liczba żołnierzy sięgała w tym czasie 145,000, nie licząc chorych i garnizonu —koni było 37,000.

W przybliżeniu rachowano, że dla 200,000 żołnierzy, a 50,000 koni, znajduje się w magazynach: zboża na dwa tygodnie, mąki podobnież, sucharów na pół dnia, ryżu i fasoli na 5 dni, soli na 6 dni, cukru na dwa tygodnie, kawy na 26 dni, wina na 7 dni, wódki na tydzień, słoniny na 12 dni, owsa podobnież (po 4 kilogramy na porcyę), mięsa na 6 dni.

„Na naczelnego wodza spada znacza część odpowiedzialności za tyle niedbalstwa. Nie wydał żadnego rozkazu na wypadek oblężenia; nie odwołał się wcale do władz cywilnych, które wykonywały zawsze z patryotyzmem i poświęceniem wszelkie rozporządzenia, i które nieustannie brały inicyatywę w środkach, mogących przedłużyć opór.“

Rzeczywiście, ludność złożyła dowody miłości dla ojczyzny francuskiéj, oraz dzielnego charakteru.

Gdyby, zaręcza Lonlay, nie marnowano sprowadzonych zapasów, a dostawiono te, które się znajdowały w pobliżu, oblężeni mogli wytrzymać do stycznia.

Dnia 6-go września doszła wieść o poddaniu się Sedanu i o niewoli cesarza.

Od rana krążyły niepokojące wieści, albowiem w nocy słyszano w obozie nieprzyjacielskim trzykrotne radosne „hura“, po którém muzyka zaczęła grać wesołe melodye, zakończone znaną pieśnią „*Wacht am Rhein.*“ Co to wszystko znaczy? — pytają siebie zatrwożeni mieszkańcy; ta uciecha Niemców nic nam dobrego nie wróży. Niebawem rzecz się wyjaśnia; znaleziono przybitą do pnia gazetę, a w niéj kopię listu Wilhelma do królowéj Augusty:

„Pod Sedanem, d. 2 września, w pół do drugiéj z południa.

„Gen. Wimpfen, naczelny dowódca w zastępstwie ranionego Mac-Mahona, podpisał kapitulacyą, która nam wydaje całą armię Sedanu jeńcem. Cesarz Napoleon oddał mi tylko swą osobę, gdyż nie posiadał dowództwa, a zostawił regencyi rządy państwa. Naznaczę mu rezydencyę po widzeniu się z nim, które niebawem się odbędzie.

„Jak ręka Boga kieruje wypadkami opatrznościowo.“

Jakiś dowcipniś germański dodał na marginesie: „Za trzy dni Metz kaput! za tydzień, Paryż kaput! za dwa tygodnie cała Francya kaput!“

Nieprzyjaciel skwapliwie donosił złe wieści, aby zdemoralizować

wojsko, „bo wojsko upadłe na duchu jest dwa razy zwyciężone. Zdemoralizowane, jest zwyciężoném z góry, gdy pobite a niezdemoralizowane, może nazajutrz świetnie powetować swą klęskę.“ Daléj powiada autor z bolesną ironią, że Bismarck wszystko spostrzegł podczas swéj bytności we Francyi, „nawet naszą wrażliwość“ i postanowił z niéj skorzystać w danym razie.

Smutne to dla Francyi, prawda, ale mąż stanu nie powinien lekceważyć żadnéj z sił natury ludzkiéj, — owszem, obowiązkiem jego wystudyować każdą i umiéć nią władać. A im głębszą będzie znajomość czynników i sprężyn, im bieglejsze władanie, tém większym będzie i mąż polityczny.

Zrazu nie chciano wierzyć klęsce Sedańskiéj, następnie wywołała ona nie przygnębienie, lecz chęć zemsty. Pewien więzień pisał w dzienniku swym te zapalczywe słowa, które teraz przeszły w krew i ciało: „Trzeba, aby matki, dając życie dzieciom, szczepiły w nie nienawiść ku Prusakom. Trzeba ścigać nieustannie jedyny cel, któregośmy dosięgnąć powinni, jeśli mamy się spodziéwać kilku chwil szczęśliwych, to jest—godziny zemsty.“

Przy téj sposobności autor znów powraca do ulubionéj sobie zwrotki, że Bazaine gdyby chciał, to i wtedy jeszcze mógł się wydostać po za szańce nieprzyjacielskie. Powiada, że częściowo można było znosić oddziały, które się rozciągały na obwodzie 48-kilometrowym; że Mozella, przerzynając ich obóz na dwie połowy, utrudniała połączenie się, gdy Francuzi, bardziéj skupieni, mogli szybciéj koncentrować się i działać, — że Niemcy nie mogli ogołocić z załogi żadnego z zajętych punktów z obawy utraty onego, że można było podjazdami nękać, że... rekryminacyi bez liku.

Nie ulega wątpliwości, że omyłki Francuzów i zdrada Bazaine'a dopomogły powodzeniu Prusaków, ale czy po trzytygodniowém ich oszańcowywaniu się, tak łatwo było przedrzéć się po za okopy, jak autor twierdzi, to pytanie. Powtarzanie w kółko jednego nasuwa myśl, że autor zaślepiony nienawiścią stracił trzeźwość poglądu. Jeśli nawet ma słuszność, nie umié w nią natchnąć wiary. I zdaje się w końcu, że jego dowody tak się mają do rzeczywistości, jak teorya doktrynerów do praktyki: — Nie mówi się tego dla uniewinnienia zdrajcy — uchowaj Boże od tak potwornéj myśli — ale profanowi się zdaje (może i mylnie: daje moje zdanie nie jako dobre, ale jako moje), że zmarnowawszy pierwsze dni od bitwy pod Gravellotte, coraz trudniejszą stawała się pozycya obleganych, i że w połowie września pogorszyła się o tyle, że wydobycie się na otwarte pole nie było tak łatwe, jak p. de Lonlay dowodzi.

Dnia 10 września Bazaine się dowiaduje, że ogłoszono w Paryżu rząd republikański.

Wobec nowego stanu rzeczy wszystkiemi siłami dąży on do zapewnienia sobie naczelnego stanowiska, odosobnia się od rządu narodowego i najfałszywsze o nim rozsiewa pogłoski, aby go zdyskredytować. Rola, jaką tu, według p. de Lonlay, wódz odgrywa, jest tak wstrętna, że niesmak wzbudza. Ulubioną bronią jego są kłamstwo i potwarz — sam demoralizuje wojsko, trwożąc je fałszywemi pogłoskami, a pokryjomu znosi się z nieprzyjacielem. Liczni świadkowie twierdzą, że go widzieli udającego się lub wracającego z obozu pruskiego. Bazaine tych zarzutów nie może ani odeprzéć, ani się z nich oczyścić i „ciemność, panująca w téj mierze, upoważnia do wszelkich domysłów.“

Dnia 15 września rada municypalna zawiadomiła urzędownie, że we Francyi rzeczpospolita została ogłoszoną.

Dzienniki wystąpiły z surowym sądem, nawet z potępieniem cesarza. Wojsko się zdziwiło i oburzyło zrazu, lecz się uspokoiło następującém rozumowaniem: „Ponieważ tyle się znajduje osłów na świecie, nic dziwnego, że nieprzeliczoną ilość kopnięć dostaje człowiek przywalony niedolą.“

W przeddzień tego ogłoszenia, powtórnie mieszkańcy, widząc twierdzę źle zaopatrzoną, prosili Bazaine'a, aby się oddalił. — Nadaremnie!

Ceny niektórych produktów następującéj dosięgły cyfry: szynka zwyczajna 45 fr., masło solone po 10 fr. funt; masła świeżego brakuje, lubo niektórzy z kupców ofiarowują się dostać takowego po 30 fr. za funt; jaja po 60 centymów jedno i mało ich jest; kurczę od 15 do 20 fr., króliki od 8 do 10 fr., świeża wieprzowina po 10 fr. kilo, tłuszcz wieprzowy 10 — 12 fr., słonina 14 fr. funt, baranina 9 fr., wołowina 8 fr., wołowina solona 21 fr. 50 ct., litr cebuli 2 fr., kartofle po 3 fr. kilo, fasola 4 fr., sól od 6 do 8 fr. funt, cukier 5 fr. za funt; sér i czekolada *„presque introuvables“* rozmaicie się płacą; chléb tylko nie nazbyt podrożał, po 49 cen. kilo. — Ceny paszy: sto kilogramów owsa 45 fr., siana 35 fr., koniczyny 40 fr., słomy 25 fr.

Nie cena jednak zastrasza wojsko, które żołd odbiéra regularnie i może się nim dzielić nawet z ubogą ludnością, niejednokrotnie téż składa dla niéj chętnie datki [1]), ale trwoży coraz bardziéj wyczerpujący się zasób, nieład w zawiadywaniu, niedbalstwo i niezaradność. Kiedy naprzykład obrachowano, że paszy nie nadługo wystarczy, na-

---

[1]) Bazaine pobiérał 180,000 fr., generałowie dywizyi po 43,000 fr.

leżało część koni poświęcić od razu i odesłać do jatek, a mięso przechować solone, zamiast głodzić biédne zwierzęta tak, że padały z wycieńczenia. Ale gdy ktoś zaproponował sposób konserwowania mięsa, przyjęto propozycyę śmiechem.

Wierny swemu postanowieniu, naczelny wódz trzyma się zdala od nowego rządu; nie stara się wcale o zaprowadzenie komunikacyi, nie korzysta z gotowości patryotów, którzy narażają się na śmierć, byle pewnych zasięgnąć wieści o tém, co się dzieje w kraju. Jeśli wreszcie zmuszony niejako, przez oglądanie się na opinię, przyjmuje propozycyę, to się tak zawsze potrafi urządzić, iż ta ofiarność żadnéj nie przynosi korzyści. Oto jeden z przykładów:

Dwóm kirysyerom, imieniem Henryk i Marek, polecono w d. 15 września odnieść nowemu rządowi depeszę. Przygody ich i zimna krew, to niby wymysł powieściowy.

Wyszedłszy z obozu zostali ujęci przez forpoczty. — Zdołali umknąć, ale nie na długo. W Ars powtórnie ich złapano i skazano na powieszenie. Już mieli stryczek na szyi, gdy Henryk się odzywa:

— Popełniacie zbrodnię, za którą was Bóg ukarze. Gubicie niewinnych.

— Jakiego wyznania jesteście? — pyta obecny egzekucyi generał.—Czy katolicy?

Odpowiedź twierdząca.

— A więc trzeba księdza. Zdejmcie powróz.

Ów generał był to ks. Fryderyk Karol.

Odprowadzono jeńców do odosobnionego budynku i zamknięto na 1-ém piętrze. Ksiądz miał przybyć nazajutrz.

Szczęściem, w podłodze była szeroka szpara. Jakim sposobem ta szpara stała się dla nich furtą ocalenia, tego autor nie opowiada, dość że powtórnie zdołali umknąć. Ale jeśli noc zupełnie ciemna sprzyjała ucieczce, za to nie pozwalała zoryentować się i niefortunni kirysyerzy, natknąwszy się po raz trzeci na czaty, usłyszeli złowrogie „*wer da?*“ Nie tracą szczęściem przytomności i, jak Zagłoba, „zażywają“ fortelów.—Udają, że chcą dostać z kieszeni świadectwa, a Niemiec, nic domyślając się niczego, spokojnie czeka; w tém oni rzucili się nań, zdławili tak szybko, że nie wydał głosu i rzuciwszy trupa do Mozelli uszli żywi i cali.

Rzecz godna zastanowienia, że choć oddali depeszę komendantowi w Montmédy, który ją wnet odesłał przez swego adjutanta do Lille, gdzie tenże doręczył ją generałowi—nie znaleziono póżniéj śladu owéj depeszy, ani owego generała, który ją otrzymał.

Chciano obu kirysyerów wynagrodzić pieniędzmi, ale ich nie przyjęli, mówiąc, że nie dla zarobku, ale z miłości dla kraju się narażali.

Bazaine jednak posiadał swoich agentów, którzy wchodzili i wychodzili, — ale w jakim celu, nie wiadomo z pewnością, można tylko mieć domysły. Cały ten machiawelizm był na to, „aby oszukać oficerów i przyprowadzić do kapitulacyi.“ Widać, że fortele wielką mogą odegrywać rolę w rzeczywistości.

Komunikacya prywatna odbywała się — powietrzną drogą. Puszczano małe baloniki, z malutkiemi listami, na cieniuchnym papiérze, długości 10, a szerokości 5 centymetrów. Oprócz osobistych wiadomości, o wszystkiém innėm wzbroniono było mówić, aby nieprzyjacielowi żadnych wskazówek nie dawać o tém, co się w mieście dzieje. Te baloniki puszczano na los szczęścia, z prośbą, aby ten, kto je znajdzie, zechciał listy odnieść na pocztę. Prośba ta bywała zawsze spełniona, jeśli balonu wiatr nie zagnał w ręce niemieckie.

Bezczynność naczelnego wodza, jego obojętność dla żołnierzy, dla których skąpi pochwał i nagród, a chorych ani razu nie odwiedził w szpitalu, przeróżne a najsprzeczniejsze wieści — wszystko to razem wzięte wytwarza nieznośną atmosferę moralną. Ludność, po miesięcznéj blokadzie, podejrzywając zdradę, wystosowała do swego mera pełne umiarkowania i szlachetnych uczuć pismo, w którém, oświadczając gotowość do wszelkich ofiar, prosi, żeby działać co rychléj, „bo miasto nie chce być okupem pokoju.“

Wtedy Bazaine zrzuca maskę, powiada otwarcie, że się nie ruszy, że mu kazano zostać pod Metz dla ocalenia monarchii!

Kłamstwem tém chciał pokryć swą bezczynność, któréj cele dobrze już znane.

W tym czasie, to jest 25 września, narobiło wiele hałasu i niepokoju zniknięcie Bourbaki'ego.

Był to jeden z najpopularniejszych wodzów w wojsku i w kraju. Odważny, prawy, szlachetny, przedstawiał typ żołnierza francuskiego, który swój honor i honor swego sztandaru przenosi nad wszystko. Generał ten odzywał się niejednokrotnie, że gdyby naczelny wódz chciał kapitulować, on sobie orężem utoruje drogę, a jeśli się nie uda, to woli wznowić przykład dany przez gwardyą pod Waterloo. (Bourbaki był dowódcą gwardyi). Wiedziano, że wielu oficerów podzielało to zapatrywanie i że byli gotowi ze swemi pułkami pójść w jego ślady. Skoro Bourbaki znikł nagle i niespodzianie, rozmaite pogłoski zaczęły krążyć. Jedni opowiadali, że się udał do Wilhelmshöhe, skąd po-

wróci z cesarzem; drudzy, że się udał do króla pruskiego, aby z nim traktować o pokój; inni, że osobiście chciał dać znać rządowi narodowemu o tém, co się dzieje pod Metzem.

Daléj znowu opowiadano, że Bourbaki proponował naczelnemu wodzowi przebić się przez blokadę, a gdy ten odrzucił propozycyę, Bourbaki złamał swą szpadę, za co został uwięziony, ale się wydostał w przebraniu. Imaginacya żołnierzy skomponowała bajkę, którą powtarzano sobie z zupełną wiarą. Dowódca gwardyi miał jakoby udać się do swego naczelnika, mówiąc:

— Tak dłużéj być nie może.

A Bazaine na to:

— Właśnie tak być musi.

Bourbaki zaargumentował policzkiem, po którym nastąpił pojedynek, i zabity, został pogrzebany w ogrodzie, otaczającym willę Ban-St.-Martin, która, jak wiadomo, służyła za kwaterę zdrajcy.

Druga wersya twierdziła, że Bourbaki został potajemnie zamordowany i pochowany w miejscowości, którą nawet wskazywano. Trzecia, nakoniec, że porwany w nocy, jęczy w okowach. Nie wiedziano tylko w którém więzieniu. Pogłoski te nabrały takiéj doniosłości, że jedna deputacya udała się do willi Ban-St.-Martin, gdzie jakoby strzeżony był pod okiem samego wodza, — druga do szkoły wojennéj, przy któréj stary bastyon złowrogą jakąś miał minę.

Tymczasem tak się rzeczy miały:

Dnia 23 września parlamentarz niemiecki zażądał widzieć się z naczelnym wodzem. Parlamentarzowi towarzyszył nieznany nikomu człowiek, nazwiskiem Régnier, który też chciał się widzieć z Bazainem, pod pozorem ważnéj misyi. Dawał do zrozumienia, że ks. Fryderyk Karol czeka niecierpliwie na rezultat jego poselstwa, że idzie o restauracyę regentki [1]), że się widział z królem pruskim w Wersalu. Zaprowadzono go do głównego sztabu.

— Kogo mam oznajmić?— pyta dyżurny.

— Posłańca z Hastings—odpowiada.

Wówczas nikt nie wiedział — wyjąwszy może naczelnego wodza—że cesarzowa tam się schroniła. Przyjęty Régnier twierdził, że przybywa od cesarzowéj, przy któréj dworze zajmuje posadę wyższego urzędnika, a na poparcie swych słów pokazał fotografowany widoczek Hastings'u, z własnoręcznym podpisem cesarzewicza. Bazaine spytał wprawdzie, czy innego dowodu nie posiada, ale gdy Régniér

---

[1]) Wiadomo, że Prusacy dali się słyszéć, iż nie chcą traktować z rządem narodowym.

odparł, że, nie chcąc narażać na niepewność wojny ważnych dokumentów, nie wziął żadnego, tylko ustne zlecenie — poprzestał na tém.

Nastąpiła długa rozmowa, w któréj Bazaine wyznał, że tylko do 18-go października starczy żywności! Otrzymawszy to zwierzenie, Régnier pośpieszył do obozu pruskiego (gdzie je z pewnością zakomunikował), obiecując powrócić nazajutrz. Jakoż powrócił. Po ponownéj rozmowie, Bazaine zażądał widzieć Canrobert'a i Bourbaki'ego. Canrobert stawił się pierwszy.

— „Przybył posłaniec od cesarzowéj,—objaśnia zdrajca—któréj nieprzyjaciel ofiarowuje pokój. Cesarzowa żąda, byś się udał do niéj. Czy się zgadzasz?“

Canrobert odmówił stanowczo.

Następnie przywołano Bourbakiego.

Znowu taż sama propozycya, ale przedstawiona w sposób tak przekonywający, jako niezbędna dla zawarcia pokoju dla otrzymania korzystnych warunków, że Bourbaki przyjął misyę, postawiwszy tylko następujące warunki: 1) zapewnienie, że będzie mógł powrócić do Metzu, 2) że zatrzyma zawsze swój stopień, 3) że wojsko zostanie uwiadomione w rozkazie dziennym o jego wyjeździe.

Bazaine przystał na wszystko, rad, że się pozbywa zawadzającego mu generała, choć nic dotrzymać nie zamierzał, a z obawy, żeby Bourbaki się nie rozmyślił. Przyśpieszył jego wyjazd, tak że mu nie pozwolił powrócić na kwaterę po pieniądze i cywilną odzież (w przebraniu bowiem miał opuścić twierdzę), ale pożyczył jednego i drugiego.

Ta rzekoma tajemniczość i ostrożność były komedyą, gdyż ks. Fryderyk Karol był o wszystkiém zawiadomiony, o czém Bourbaki niebawem mógł sam się przekonać, gdy przebranego pułkownik sztabu księcia powitał z wyraźnym szacunkiem, odróżniając go z pośród towarzyszy (kilku lekarzy luksemburskich powracało jednocześnie do swoich), a generał Stiehle spytać się kazał, czy może mu złożyć swój szacunek i czy wódz francuski zechce otrzymać audyencyą u ks. Fryderyka Karola.

Bourbaki odmówił widzenia się z obudwoma.

Tym sposobem Bazaine pozbył się człowieka, który mu przeszkadzał, a Régnier, odegrawszy swą rolę, znikł i nikt go już nie widział. Wyjazd ten przez dni kilka był wbrew przyrzeczeniu, utrzymywany w tajemnicy, aby nieprzyjaciel o niczém nie wiedział.

Tymczasem Bourbaki przybył do Hastings, a cesarzowa zdziwiona jego widokiem zawołała z trwogą:

— Generale, co tu porabiasz? Czy przychodzisz mi oznajmić nową klęskę? Kapitulacyę Metzu? Zniesienie wojska?

— Nie—odpowiada.—Wasza cesarska mość mię wezwała, więc się stawiam na rozkazy.

— Nie wzywałam pana wcale.

Generał opowiada, co zaszło. Cesarzowa upewnia, że nie zna Régnier'a, że żadnego kroku względem Prus nie przedsięweźmie, a témbardziéj praw dynastycznych bronić i domową wojną kraj niszczyć.

Bourbaki przekonawszy się, że został oszukany, chciał powrócić do Metzu, ale ks. Fryderyk Karol odmówił pozwolenia na przejście; generał się odniósł z tém do króla pruskiego, który dał żądane zezwolenie... gdy było za późno; na parę dni przed 18 października [1]).

Przez pewien czas osobistość Régnier'a była dla wielu zagadką, nie wiadomo dlaczego. W Metzu, po opisaném zdarzeniu, uważano go za szpiega pruskiego, co potwierdziły pośmiertne pamiętniki d-ra Stieber, prefekta policyi berlińskiéj. W nich powiedziano wyraźnie, że Régnier zajmował ważne stanowisko w policyi pruskiéj.

Zaledwo niebezpieczny dla planów zdrajcy Bourbaki został usunięty, a nieprzyjaciel uwiadomiony o ilości wiktuałów, przybył d. 26 września emisaryusz Risse z depeszą, donoszącą, że rząd narodowy przysyła 96 wagonów prowizyi, mianowicie 13,000 porcyi sucharów, a pięć razy więcéj mąki, i że takowe się znajdują w Thionville [2]). Bazaine, przeczytawszy depeszę z niechętném wzruszeniem ramion, dał posłańcowi 10 fr. nagrody, mówiąc, jeśli rzeczy wezmą dobry obrót, to dostanie medal, ale jednego kroku nie uczynił dla sprowadzenia owych zapasów do Metzu.

Podczas procesu podniesiono tę okoliczność, zdrajca udał się do kłamstwa, twierdząc, że żadnéj depeszy, żadnego emisaryusza z tak pożądaną wiadomością nie widział, Risse wezwany zadał fałsz naczelnemu wodzowi, a jego słowa poparli inni świadkowie i piśmienne dowody.

A przecież należało działać energicznie i ktoś inny, nie Bazaine, wolałby zginąć w jakimś rozpaczliwym kroku, „niźli żyć, gnijąc powolnie.“ Choroby się pojawiły w mieście i w obozie, dziatwa wymierała, żołnierzy setkami przybywało do szpitala, ale szpitali brakowało, więc się mieścili po stodołach i stajniach, na barłogach, bo i słomy

---

[1]) Bourbaki udał się do Tours, by uwiadomić rząd narodowy o tém, co się działo pod Metzem, następnie działał na północy.

[2]) Thionville, forteca o 28 kilometrów od Metzu.

niestawało, bez pościeli i okrycia — jak nędzarze. Gdy jednak 26-go września (tego dnia właśnie, gdy Risse uwiadomił o przysłanych prowizyach), ograniczono racyę chleba do półfunta dziennie, żołnierz to przyjął bez szemrania, tak dzielne to wojsko znosiło bohatérsko głód i trudy dla miłości ojczyzny.

Czyby wyprawa do Thionville po żywność powiodła się, zaręczyć nie można, ale próbować należało koniecznie. Kto wié, azali wojsko zelektryzowane nadzieją ratunku z zewnątrz, nie potrafiłoby dokonać niespodziewanych rzeczy. Dość przypomniéć sobie wyprawę na Peltre, wprawdzie bliższą znacznie, bo tylko o 3 kilometry odległą, ale za to mniejszemi siłami wykonaną. Inicyatywa wyszła od dzielnego generała Lepasset, wówczas 53-letniego, który liczył więcéj kampanii, niż lat, bo odbył ich 60.

Celem owéj wycieczki były znaczne zapasy różnéj natury i stada bydła rzeźniczego. Wypadek ten jest arcydziełem w swoim rodzaju; siły nie wielkie, ale wszyscy gotowi na wszystko. Wnioskodawca komenderuje, pomagają im wyborowi oficerowie, lokomotywą z jednym wagonem i dwudziestu pięciu ochotnikami, aby za pomocą haków zaczepić i uprowadzić nieprzyjacielskie pociągi zapasowe, kieruje energicznie i „rzadkiéj inteligencyi“ inżynier Dietz. Plan, zręczne onego przeprowadzenie, karność żołnierza w krytycznéj chwili, atak z zapałem nie do opisania, wyparcie nieprzyjaciela, odwrót z jeńcami, wszystko wykonane tak mistrzowsko, iż — jeśli wolno użyć porównania—ta wycieczka podobna jest do świetnéj aryi, zagranéj z brawurą przez pierwszorzędnego wirtuoza. Szkoda tylko, że rezultatu nie osiągnięto w całości, bo Prusacy uprzedzeni przez zdrajcę wiwandiera, Jakóba, izraelitę, cofnęli woły i popsuli relsy; szczęściem, inżynier spostrzegł w porę niebezpieczeństwo i cofnął lokomotywę. Moralne jednak znaczenie wyprawy było niemałe, bo przekonało żołnierza francuskiego o jego wyższości nad niemieckim i dodało mu ducha. Niemcy zawdzięczali swe powodzenie artyleryi.

Powrót z Peltre téj dzielnéj garstki wyglądał jak tryumf; ludność wydawała głośne okrzyki, a trochę wołów, które zabrano, oglądano z taką ciekawością, jak gdyby to były okazy zwierząt, których rodzaj wyginął.

Świadek naoczny, Spoll, w humorystyczny sposób opisuje ten powrót, bo humoru nie tracą, przynajmniéj na długo, i za pierwszém dowcipném słówkiem, lub nawet pseudo-dowcipném, odzyskują wesołość z tą dziwną, niepojętą lekkością, czy lekkomyślnością swego usposobienia.

„Za generałem Lepasset, który powraca rozpromieniony w to-

warzystwie dwóch adjutantów i kapitana, dźwiga czterech strzelców na zaimprowizowanych noszach nie dzika, ale zwyczajnego tuczonego wieprza, uwieńczonego liśćmi, przezywając go przez wzgardę Wilhelmem. Pieszak ciągnie za nogę drugi takiż okaz, mówiąc, że prowadzi Bismarcka. Inni pędzą krowy, owce, kozy; niektórzy, jak „dobry pasterz“, niosą na ramionach nie zbłąkane owieczki, ale jagnięta, które za matkami zdążyć sił nie miały. Ktoś z dumą prowadzi jałowicę, gdy tymczasem przytroczone u lewego boku kuraki krzyczą w niebogłosy, a u prawego kołysze się indyk. Ten zbyt dumny, aby wołać o ratunek, zachowuje milczenie.“

Ale smutno się dzień ów zakończył. Prusacy, mszcząc się porażki, spalili nieszczęśliwą wioskę, a biédni mieszkańcy, zaskoczeni têm barbarzyństwem niespodzianie, ledwo z życiem ujść mogli. Całe ich mienie, wszystka odzież i bielizna poszły z dymem. A przecież król Wilhelm oświadczył uroczyście, że nie wydaje wojny spokojnym mieszkańcom. „Wiemy teraz, co znaczy słowo tego ukoronowanego żołdaka (*soudard*), pisze Spoll, tego królewskiego hypokryty, którego mistyczne jeremiady źle pokrywają barbarzyństwo niemieckie. Ale będziemy o niém pamiętać i strzeżcie się odwetu.“ Z pożogi ocalał kościół i parę budynków, więc bohatérowie germańscy powrócili we dwa dni i podpalili nanowo. Ta bezecna zemsta powtarzała się za każdą wycieczką Francuzów. Niemcy uprzedzili, iż za każdym razem, gdy ich spokojność zostanie zakłóconą, mieszkańcy za to odpowiadać będą!... I dotrzymali słowa. Nie poprzestając na paleniu wiosek, ogłosili nadto proklamacyę, że każdy, kto nie należy do regularnego wojska, lub do „gwardyi ruchoméj“, schwytany z bronią w ręku, zostanie powieszony lub rozstrzelany, jako zdrajca. Autor oburzony woła, czyż nie ma prawa obywatel kraju chwycić za oręż, by odeprzéć najezdcę? Czyż wolny strzelec nie jest żołnierzem? Zabijać ich, gdy są ujęci, to nastawać na prawo narodowe.

Chełpili się Niemcy, że prowadzą wojnę ucywilizowaną (!), nie dopuszczając się żadnych nadużyć. Liczne fakta zaprzeczają pięknym słowom i szumnym proklamacyom.

Jeden ze świadków, porównywając oba narody, francuski i niemiecki, powiada: ciekawą jest rzeczą przypatrywać się ranionemu Francuzowi i Niemcowi. U tego nienawiść nie gaśnie, gdy przeciwnie tamten radby przynieść ulgę cierpiącemu wrogowi. Dziki Pomorczyk z pogardą i ponuro patrzy na lekarza, który go opatruje „nienawiść zasiana od dzieciństwa w germańskich sercach wydała obficie to, czego oczekiwano; utworzyła źródło energii w braku heroizmu

w tym nieprzejednanym wrogu, który przez naukę stał się strasznym."

A w mieście coraz smutniéj i gorzéj. Pustki w śpichrzach, ospa, szkorbut, tyfus gospodarują, jak u siebie w domu. Mieszkańcy piszą petycyą, aby Bazaine się oddalił. Bazaine udaje, że odchodzi. Wydaje rozkazy, odgrywa znaną komedyę, która, jak wszystkie poprzedzające, kończy się na niczém. Powtarzają się tylko wycieczki po żywność po okolicy, w których sprawnością swą i męstwem wojsko dowiodło, „że nie bitwy je pokonały, ale długie obozowanie, bez wystrzału, w błocie." Od października głód zaczyna tak dokuczać, że żołnierze porzucają obóz i udając się do miasta, błagają o chléb za jakąbądź cenę. Cywilni okazali się wytrwalszymi. Doszło do tego, że kartofle uważano za specyał. Widziano ludzi czychających na osłabłe konie, a gdy się który potknął i upadł, rzucali się nań z nożami, krając żywego, wydzierając sobie kawały mięsiwa, jak dzicy. Pewnego dnia zgłodniali maruderzy zbliżyli się do nieprzyjacielskich szańców; Poznańczycy biédacy z landweru, wiedząc, że brakuje soli w mieście, podają im takową w kornecikach papiérowych, ale Prusacy strzałami rozdzielają jednych i drugich. Śród zabitych znaleziono list, w którym żona powiada, że trzy główki jasnowłose dopytują się, kiedy tata powróci; podpisano Leszczyńska. Wzięci pod Ladruchamps Poznańczycy—gdzie Francuzi byli górą — opowiadają, że w nocy ich pobrano i poprowadzono, jak bydło na rzeź: „Prusacy zawsze nas wysuwają na pierwszy ogień, stawią w pierwszych szeregach. Wy strzelacie do nas z jednéj strony, a gdybyśmy nie odpowiedzieli, Prusacy strzelaliby do nas z drugiéj—w plecy."

Przyciśnięci głodem, udają się Francuzi na pola dla wykopania niezebranych jarzyn i podsuwają się nieraz pod placówki nieprzyjacielskie: następowała wtedy walka o wór kartofli, marchwi lub rzepy. Pewnego jednak razu widzą Francuzi, że „patrol pruski" nie okazuje złéj woli, a przeciwnie, gestami, zdaleka, oznajmia przyjazne usposobienie i zaprasza na wypicie kieliszka wina. Żołnierze francuscy się zbliżają, zaczynają rozmawiać, straż ich częstuje, następnie wskazuje im, gdzie najwięcéj mogą wykopać kartofli, w końcu pomaga im wziąć wory pełne na plecy, dodając, śpieszcie się, bo po nas przyjdą Pomorczycy, którzy was będą niepokoić — my jesteśmy Polakami. Jeden z Poznańczyków pisał do żony: „Francuzi budzą w nas litość; giną z głodu i szukają na polu kartofli. My im nie wzbraniamy tego, ale ks. Fryderyk dowiedziawszy się o tém, zakazał i musimy strzelać do nieszczęśliwych."

Pozycya ich rzeczywiście straszna, i moralnie i materyalnie.

Odcięci od świata, nie wiedząc, co się dzieje z krajem i z rodzinami, nie pewni przyszłości, znoszą moralną torturę; a choroby, niepogoda i głód dopełniają miary. D. 10 października ceny żywności są następujące: sól kilo 16 fr., wołowina 12 fr., wieprzowina 16 fr., konina 4 fr. 50 c., kiełbasa 18 fr., kiełbasa z koniny 7 fr., polędwica końska 5 fr., słonina 17 fr., szynka 20 fr., cukier 20 fr., masło topione 20 fr., tłuszcz (sadło) 16 fr., kartofle 2 fr. 40 c., fasola 8 fr., cébula 10 fr., sér 16 fr., wino zwyczajne 2 fr., mléko 2 fr. 40 c., koniak 10 fr., oliwa 8 fr., oléj do lampy 3 fr., kurczę 20 fr., króliki 15 fr., zając 45 fr., karp 7 fr., gołąb 3 fr., jaja (tuzin) 9 fr., słomy 5 kilogramów 3 fr., siana 5 kilogramów 3 fr., owsa hektolitr 110 fr., drzewa metr sześcienny 35 fr., węgiel kamienny 1,000 kilogr. 160 fr., węgiel drzewny kilogram 80 fr., świéca stearynowa 11 fr., łojowa 3 fr.

W drugiéj połowie października ten stan rzeczy jeszcze się pogorszył; w pewnéj brygadzie trzech ludzi umarło z głodu, a jednak, twierdzi autor, „forty i koszary są napchane zapasami, w magazynach pełno słoniny, kawy, cukru, wódki, owsa, pak z sucharami“... „Po kapitulacyi Prusacy sprzedali niesłychaną ilość słoniny, znalezioną w tych magazynach, po 60 centymów kilogram.“ „Forty nie były jedynym składem, których istnienie zachowywano w tajemnicy.“ Przez niedyskrecyą jednego z dozorców dowiedziano się, że w piwnicach pewnych koszar znajduje się wielka ilość sucharów, mięsa solonego i innych wiktuałów. Mieszkańcy udali się do mera, prosząc, aby uwiadomił o tém administracyę wojenną. Uwiadomienie to zostało źle przyjęte i niebawem się dowiedziano, że w nocy d. 15 paźdz. żywność została przeniesiona do fortu Mozelli, gdzie ją nietkniętą Prusacy zastali.

Ten fakt nie potrzebuje komentarza.

Od 18 paźdz. już zabrakło chleba; jest jeszcze kawa, ale bez cukru, chuda konina, bez soli, któréj dawno zaprzestano wydzielać. Gdy jednak w początkach oblężenia ktoś zaproponował sól wywarzać ze źródła solnego, odrzucono dobre chęci. Ludność jeszcze dostaje na całą porcyę 300 gr. chleba, na pół porcyi 200 gr., a na ćwierć 100 gr.

Bazaine tymczasem politykuje. Prowadzi korespondencyę z ks. Fryderykiem Karolem, która została spalona, jakoby bez wiedzy jego. To daje do myślenia, albowiem ogień okazuje się zwykle tak uprzejmym w porę, gdy papiéry są kompromitujące. Wysyła swego powiernika, gen. Boyer, do Wersalu, do króla Wilhelma dla układów. Bismarckowi nie trudno wywieść obu w pole. Układy się ciągną, zwlekają i doprowadzają obleżonych do przepaści. Wreszcie przerażający

opis położenia Francyi, dla którego Boyer barw nie szczędzi, działa na najmocniejsze głowy i charaktery. Oto, co opowiada: „Położenie Francyi opłakane. Ani wojsko, ani miasto nie mogą liczyć na żadną pomoc. Kraj popadł w anarchię; znaczniejsze miasta normandzkie muszą się bronić nie od nieprzyjaciół, ale od klas ubogich, i wzywają na obronę pruskie załogi. W Lyonie ogłoszono republikę czerwoną, w Marsylii komuna, w Paryżu walka o władzę, słowem—chaos wszędzie.“ Tymczasem w owéj porze, to jest w połowie października, położenie nie było jeszcze tak rozpaczliwe. Wszędzie się przygotowywano do walki, „nikt się nie opiérał rządowi, skoro szło o obronę kraju“, „armia Loary organizowała się szybko, po porażce, i wzrastała“, nikt zaś nigdzie nie myślał nawet używać załogi pruskiéj na ratunek. Nikt nie wiedział, że wiadomości swoje Boyer czerpał w źródle nieprzyjacielskiém, gdyż pilnie strzeżony przez eskortujących go Niemców, nie mógł wcale rozmówić się z rodakami. Nie poprzestając na tém, Bazaine, aby bardziéj osłabić na duchu i ludność i wojsko, podał wiadomość przesadzoną o siłach nieprzyjacielskich i o ich robotach oblężniczych. Twierdził, jakoby 300,000 wojska opasało miasto poczwórném kołem, ufortyfikowaném każde z osobna. Na tę wieść żołnierze uniesieni rozpaczą i żalem wołają, by ich prowadzić na nieprzyjaciela: „Najprzód wyjdźmy z Metzu, a potém zobaczymy“, ludność zaś tak oburzona, iż zdrajca się lęka pokazać w mieście. „Wszyscy odpychają ze wzgardą myśl o poddaniu się.“

W tych ciężkich dniach próby kobiety się odznaczyły niezmierném poświęceniem się. Niestrudzone pielęgnują chorych, opatrują wstrętne rany, narażają się bez trwogi na epidemie, i niejedna padła ofiarą swego miłosierdzia.

Ale wszystkie wysiłki na nic! Bazaine ze zręcznością i wytrwałością godną lepszéj sprawy, dąży do oddania wrogowi miasta i wojska. Natożeśmy—pyta autor — wydali cztery straszliwe bitwy, nie licząc wycieczek, stracili przeszło 40,000 ludzi, zrujnowali kawaleryę i artyleryę, znosili głód, pozwolili umiérać rannym i chorym bez pomocy, ażeby się zdać haniebnie na łaskę Prusaków?!

Niestety, na to tylko. „Nie opuszczono w téj nieszczęsnéj kampanii ani jednéj omyłki“, któraby wysiłki wojska zniweczyć mogła.

Bujna wyobraźnia powieściopisarza nie zdoła odmalować straszniejszego obrazu i podlejszego charakteru. Gdy tysiące ludzi pada ofiarą, Bazaine myśli o swych interesach, i pod pozorem wydatków dla wojska zaciąga pożyczkę na to głównie, by swą pensyę odebrać.

Dnia 26 października, podczas układów o kapitulacyę, którą

wedle jego słów, głód spowodował, nadbiegł główny intendent, donosząc, że odkryto żywności na cztery dni, a przeszukawszy inne magazyny, może się znaleźć drugie tyle. Bazaine odparł:

— „A cóż mi potém, panie intendencie? Gdybyś nawet miał żywności na dwa tygodnie, toby nie zmieniło położenia. Układy się rozpoczęły; trzeba je skończyć zaraz i odejść.“

Zdeptawszy już tyle przepisów, nic dziwnego, że lekceważył i ten, który nakazuje komendantowi fortecy trzymać się do ostatniéj chwili, gdyż od poddania twierdzy o dzień jeden wcześniéj lub późniéj, może zależyć ocalenie kraju. Jakoż ten pośpiech spowodował dwie nowe klęski. Wojsko z nad Loary, które zaczęło działać, idąc ku Paryżowi, zostało wstrzymane przez ks. Fryderyka Karola, uwolnionego z pod Metzu, a układy Thiers'a z rządem obrony narodowéj zostały zerwane rozruchami, które się wszczęły w Paryżu na wieść o kapitulacyi Metzu.

Nie można się dziwić, że z takim wodzem warunki poddania się były najgorsze. Nawet tego, aby armia wychodząc otrzymała honory wojskowe, — warunku, o który się tak energicznie dopominali jego pełnomocnicy, że w końcu, po długich targach, postawili na swojém — Bazaine nie przyjął. Tłómaczył się późniéj, że się obawiał jakiegoś rozpaczliwego kroku. Być może, iż obawy jego nie były płonne.

Oto kilka głównych artykułów z protokółu:

1) Armia zostająca pod wodzą marszałka Bazaine'a jest jeńcem wojennym.

2) Twierdza i miasto Metz, ze wszystkiemi fortami, materyałem wojennym, zapasami wszelkiego rodzaju, ze wszystkiém, co jest własnością państwa, zostaną oddane wojsku pruskiemu w takim stanie, w jakim się znajdują w chwili podpisania umowy.

3) Broń, sztandary, orły, działa, kartaczownice, konie, wozy, amunicya, i t. d., zostaną złożone w fortach, następnie oddane komisarzom pruskim. Wojsko, bez broni, zostanie zaprowadzone w porządku na miejsce wskazane, z którego w dalszą puści się drogę.

Mieszkańcom zaręczono bezpieczeństwo osób i mienia, czego dotrzymano.

Wskutek téj umowy nieprzyjaciel otrzymał: 1,665 dział, z których 1,136 żłobkowanych, 8,922 lawet pod działa, 3,239,225 kul, 419,285 kil. prochu, 13,288,096 ładunków do chassepotów, 9,696,763 ładunków rozmaitych, 124,137 strzelb chassepot, 154,152 strzelb rozmaitych, 53 sztandary.

Wieść o kapitulacyi, acz przewidywana, wywołała niezmierne

wzburzenie. Rozruchy się wszczęły w mieście; wojsko, z sił opadając, chciało się rzucić na nieprzyjaciela i zginąć raczéj, niż się poddać, ale były to bezsilne porywy. W całéj armii liczono zaledwo 10,000 zdolnych w téj chwili do boju. Nie słuchając wodza, zniszczyło 23 sztandary, chociaż Bazaine upewniał, że złożone w fortach powrócą do Francyi.

Zdrajca tylko Prusakom dotrzymał słowa, bo obiecawszy oddać materyał wojenny w dobrym stanie, kazał naprawić mechanikowi-inżynierowi, imieniem Clavet, wielkiego kalibru działo, które kula nieprzyjacielska uszkodziła. Żołnierze zaś upewnieni, że broń ich rządowi narodowemu zostanie z fortów wydaną, za punkt honoru mieli sobie złożyć ją wyczyszczoną, iż wyglądała jak nowa. Część tylko, gwałtowniejszych czy sprytniejszych, zniszczyła swoją, łamiąc lub rzucając do Mozelli.

Dnia 29-go Bazaine pierwszy opuścił miasto, a nie troszcząc się i teraz, jak zawsze, o żołnierza, nie uregulował wymiany jeńców. Zasłużoną, ale słabą, otrzymał naukę od ks. Fryderyka Karola, który mu odmówił przyjęcia przed naznaczoną godziną. W drodze ludność rzucała nań kamieniami i błotem; straże pruskie musiały go osłaniać swą opieką.

Zdrada Bazaine'a wydała w niewolę pruską: armię Metzu 137,671 ludzi, garnizonu 15,151 ludzi, w szpitalach chorych i rannych 15,462 ludzi, ogółem 168,284 ludzi. Dodawszy do tego chorych, pielęgnowanych w domach prywatnych, wolnych strzelców, gwardyę ruchomą i strażników, liczba wzrosła do 173,000. Cyfrę tę podaje król Wilhelm w swéj depeszy do królowéj i ks. Fryderyk Karol, w rozkazie dziennym do wojska. Znane jest obchodzenie się nieludzkie z jeńcami, których zostawiono bez jadła na chłodzie przez całą dobę (a jesień wówczas była dżdżysta bardzo, jak gdyby się wszystko spiknęło przeciw nieszczęśliwemu narodowi). Po pierwszéj takiéj nocy znaleziono 110 trupów; jedénaście tysięcy umarło z niewygód. Nie tyle zginęło w krwawych utarczkach pod Metzem. Bazaine podał cyfrę 3,704, licząc w to poległych na polu bitwy i zmarłych z ran. „Uderzający dowód, że w wojnie postanowienia energiczne nietylko przynoszą największe rezultaty, ale i najwięcéj krwi oszczędzają“ [1]).

---

[1]) On connait l'histoire navrante des persécutions qu'eut à endurer autour de Metz, notre armée prisonnière, depuis la capitulation. Nos infortunés soldats errèrent pendant plus d'une semaine de Ste-Barbe à Ladonchamps, de Ladonchamps à Boulay, à travers les terrains submergés et infectés des campements prussiens, presque sans nourriture, couverts à peine de quelques mauvais haillons, courbés, le jour, sous la pluie et la peine, parqués la nuit dans une boue glacée,

Względem ludności nie dopuszczono się nadużyć—widocznie zjednać ją chciano sobie. Wprowadzono niezwłocznie przygotowane zapasy, a chociaż żydzi niemieccy chcieli je zakupić ryczałtowo, by zarobić na sprzedaży detalicznéj, odmówiono i mieszkańcy mogli się zaopatrzéć w żywność po umiarkowanéj cenie. Dwudziestu czterech godzin nie upłynęło, a już wszystkie gałęzie administracyjne funkcyonowały z automatyczną dokładnością. W dystrybucyach sprzedawano marki pruskie; na ulicach, w sklepach, na placach słychać było tylko język niemiecki: „Możnaby mniemać, że się jest w Berlinie“. W fortach znaleziono znaczne zapasy: w forcie Bellecroix 2,000 worów zboża i 600 pak sucharów — w forcie Mozelli tak wielką ilość solonéj wieprzowiny, że ją rozdawano bezpłatnie; w piwnicach „lombardu“ 400 worów soli. Zrzucając most łyżwowy, zbudowany na prędce na Mozelli ujrzano z podziwieniem, że słupom, za podstawę służyły paki z sucharami!...

Ale najstraszniejszy epilog tego dramatu.

Po kapitulacyi przekonano się, że stan Francyi nie był tak zatrważający, jak go zdrajca przedstawiał. Paryż się gotował do dzielnéj obrony, a na głos Gambetty cały kraj powstawał do boju. Nadto zaś jeszcze, twierdzi autor, przekonano się, że P r u s a c y n i e m i e l i z a m i a r u n a s e r y o o b l e g a ć M e t z u. Korespondent *Times'a* pisał z obozu pruskiego 14 wrześnla: „w téj chwili nie ma dział oblężniczych pod Metzem, gdyż są użyte przy Strasburgu; największe, jakie się tu znajdują, są dwunastofuntowe. Prusacy nie mają zamiaru przypuszczać szturmu, bo ich straty byłyby straszne i pociągnęłyby może odwrót za sobą. Zamierzają, jak na teraz, nękać nieustannym ogniem i ogłodzić“.

To tłómaczy, dla czego Bazaine odrzucał propozycye wszystkich, którzy mu się dobrowolnie ofiarowywali przynieść wiadomości z zewnątrz. One zadając fałsz pogłoskom rozsiewanym przez niego, mogły nadać sprawie inny obrót, nie ten którego on pragnął.

Dobrze go też osądzili sami Niemcy; ktoś rzekł: „Bazaine jest łotrem; nie było umowy, żeby miał spowodować śmierć takiéj gromady ludzi“.

Słowa te rzucają nowe światło na charakter naczelnego wodza. Nie chęć wywyższenia się pobudką do zdrady, nie ambicya lub duma, ale miłość grosza, brudna sprzedajność.

---

et en plein air, comme des bêtes malfaisantes. Il en mourut de fatigue, et le froid plus que n'en eut couté le passage de vive force, des lignes d'investissement“. Bédarrides.

Skończył, jak na to zasłużył: w nędzy, pogardzie i opuszczeniu. Autor spotkał go w 1886 r. w Madrycie i następującą od jakiegoś Hiszpana otrzymał o zdrajcy relacyę:

„Żona i córka opuściły go i powróciły do Meksyku. Jest literalnie bez grosza, i ma przy sobie tylko jakąś starą sługę Niemkę, która go dogląda. W przeszłym roku złamał nogę, a nie ma dziesięciu centymów na tramwaj. Syn jego Paco jest nicponiem. Niedawno wykradł płaszcz ojcowski i zastawił za trzy fr. tak, że ten nie miał w czém wyjść. Często jada u pewnego zaszarganego Francuza, który, dla uniknięcia hańbiącéj kary, musiał się wydalić z Paryża, a i to jeszcze siada na szarym końcu“.

Autor się przyznaje, że w pierwszéj chwili uczuł litość, ale na wspomnienie o tém, co kraj przez niego ucierpiał, uczucie to znikło. Z przekleństwem stawi go pod pęgierzem dziejowym, na ohydę dla dla wszystkich następnych pokoleń.

Drugi tom wspomnień o *Tuileries*, pani Carette, ustępuje pierwszemu. W pierwszym opisując życie domowe cesarskiéj pary, znajdowała się w swoim żywiole, więc zajęła czytelników opowiadaniem o szczegółach mało lub niedokładnie znanych. Tu i anekdotka zabawna i słówko dowcipne były na swojém miejscu; ale zakreśliwszy sobie szersze ramy, bo sprostowanie legend jakie się o obojgu małżonkach utworzyły podczas wojny z 1870 r., a więc rozjaśnienie pewnych historycznych wypadków, utknęła. Czuć wielką dysharmonię między zamiarem a siłami. Oprócz kilku rysów drugorzędnego znaczenia, nic ważnego autorka nie przyniosła do historycznéj skarbnicy, a i z tych jedne wyglądają na ploteczki dworskie, mniéj więcéj uzasadnione, drugie zaś są powszechnie znane. Któż bowiem nie słyszał o machiawelskich kombinacyach Bismarka, albo o lekkomyślności francuskiéj podczas ostatniéj wojny? Wiadomo każdemu, że Prusy od dawna się do niéj przygotowywały a Francya po donkiszocku się porwała na nieprzyjaciela, nie znając nietylko jego, ale swoich własnych sił. Pani Carette dodaje, że król Wilhelm pragnął uwieńczyć koroną piękne czoło ks. Leonowéj Hohenzollern Sigmaringen, przedziwnéj piękności blondynki o rysach greckiéj bogini. Nie wiedzieliśmy, że starowina miał tak wielkie upodobanie w klasycznych obliczach, ale nie ma się czemu dziwić; typ grecki od dawna wyrobił sobie uznanie. Można jednak zaręczyć, że nawet dla saméj Wenery król Wilhelm wojnyby nie podjął.

Wojowniczo zaborczych zamiarów swoich Prusacy nie ukrywali

wcale. W rozmowach i w czasopismach można się było z niemi spotkać nieraz, dziwić się tylko należy, iż te symptomata uszły wzroku praktycznéj Francyi; biły przecież w oczy. P. Carette opowiada, że hrabina Pourtales, odwiedzając swych krewnych w Berlinie w 1868 r. została uderzona powszechną nieprzyjaźnią dla Francyi, któréj znaczenie podniosła jeszcze następująca rozmowa z hr. Schleinitz. Wymawiał jéj, że woli mieszkać nad Sekwaną, niż nad Spreą, a ona na to:

— Jestem alzatką; z tego pan wnieść może, jak kocham Francyę.

— Więc musimy odebrać piękną Alzacyę — odpowiedział hr. Schleinitz. Nim minie 18 miesięcy, zostanie ona prowincyą pruską.

Powróciwszy do Paryża hr. Pourtales, powtórzyła tę rozmowę cesarzowi, nie ukrywając przytém ani swych spostrzeżeń ani swych obaw; na co Napoleon:

— Przez jakie chmury te piękne błękitne oczy widziały przyszłość? Do wojny potrzeba dwóch, a my jéj nie chcemy.

Gdyby kto wówczas pilnie śledził barometr polityczny, znalazłby w gazecie augsburskiéj, pod datą 3 lipca 1850 r. te znaczące słowa:

„Niemcy skoro zechcą, mogą stać się pierwszorzędną potęgą morską, większą od Francyi i Rosyi. Skoro potrzeba, mogą zerwać pokój ze swym sąsiadem od wschodu, to jest Rosyą, i sąsiadem zachodnim, to jest Francyą; wyrzucić Francuzów po za Wogezy, Rosyan po za Wisłę, oswobodzić Lotaryngię, Alzacyę i Bałtyk od tego połączenia się przeciwnego naturze (*de l'union contre nature dont elles font aujourd'heni partie*), wreszcie dyktować pokój zarówno w Paryżu jak w Petersburgu".

Wprawdzie Napoleon III zamyślał o powiększeniu i reformie armii, wezwał nawet do dzieła kompetentnych w téj sprawie ludzi, jak: Niel, Canrobert, Mac-Mahon, Trochu, ale opozycya tak protestowała, iż musiano ustąpić.

Jak nieznano wówczas spraw europejskich we Francyi, dowodzą słowa Thiers'a, w „Monitorze" d. 1 stycznia 1868. „Jakto!... Włochy by miały 900,000 żołnierzy a Prusy 1,300,000, czyli razem 2,200,000. Cóż znowu! To są bajki".

W 1866 r., Francya posiadała 650,000 ludzi; komisya chciała podnieść wojsko liniowe do 800,000, a rezerwę do 400,000. Marszałek Niel żądał 1,800,000 szaspotów; dzięki opozycyi, dano tylko 1,200,000. Żądał 110 milionów na wzmocnienie fortyfikacyi, otrzymał 36 milion. Żądał 36 milion. na artyleryę, dostał 2½. Cesarz chciał ufortyfikować granice Alzacyi, ale trzeba było ogromnych pożyczek i projekt poszedł w odwłokę. Słowem twierdzi p. Carette

wszystkie zamiary kosztowne, głosy poważne, ostrzegające, były niechętnie widziane i słuchane. Wina zatém spaść powinna nie na cesarza, ale na opinię, na stronnictwa przeciwne rządowi.

Kiedy nakoniec wypowiedziano wojnę, któréj się cały naród domagał, cesarzowa, mianowana regentką, okazała niezwykłą moc i podniosłość ducha. Autorka przytacza na dowód słowa ludzi należących do innego stronnictwa: gen. Chabaud-Latour, orleanista, powiedział: „W nocy, z d. 7 na 8 sierpnia, dowiedziano się o bitwach pod Forbach i Reichshoffen. Wezwany zostałem, wraz z ministrami, do cesarzowej. Wszystko, co mówiła, tchnęło największą szlachetnością i godnością: „nie idzie o zachowanie cesarstwa — rzekła — ale o ocalenie Francyi“. Trochu w podobny odzywa się sposób: „Cesarzowa zachowała spokój, dowiodła charakteru i uczuć bardziéj francuskich, niż cesarskich. Chcę jéj tu oddać sprawiedliwość“.

Wypadków spółczesnych nie umié autorka odmalować, trochę oklepanych i ogólnikowych zdań — oto wszystko. Przybycie Bourbakiego do cesarzowéj — którego pobudki odsłonił p. de Lonlay — jest dla niéj „nieprzeniknioną tajemnicą“. Dowiadujemy się tylko, jakim sposobem fotografia z podpisem własnoręcznym cesarzewicza, dostała się w ręce pruskiego szpiega; co rzeczywiście zwraca uwagę, ale się rzecz odbyła w bardzo prosty sposób, któréj przypadek, traf dopomógł. Cesarzowa nie chciała przyjąć Régniera, który prosił o posłuchanie, ten, jako zręczny szpieg, nie dał za wygranę, i spotkawszy cesarzewicza na przechadzce, spytał się czy nie ma czego do przekazania ojcu, albowiem on się udaje do Wilhelmshöhe. Nie podejrzliwy młodzieniaszek napisał parę wierszy na krajobrazie i położył swe imię. Dalszy ciąg sprawy wiadomy.

Thiers i Trochu niezbyt pochlebnie odmalowani: o pierwszym powiada, że tylko własne wyniesienie się miał na celu; robił kilka razy otwarte propozycye cesarzowi przez ks. Mouchy, i miał jakoby się odezwać: „powiedźcie cesarzowi, że wojna z Prusami była marzeniem całego mego życia“. Świadek zaś naoczny (Hérisson) opisuje, że nie świetnie wyglądał, występując jako działacz w ziszczoném swojém marzeniu, a autorka oskarża go nadto, że ukradkiem podżegał nieufność, opozycyę i t. p. W sądzie o Thiersie przebija się gorycz i wzgarda, ale opowiadanie o Trochu, gubernatorze Paryża podczas oblężenia, zabawne i dowcipne, choć do komedyi. Jest to pycha w płaszczu pokory, ambicya udająca purytanizm, śmieszne pozowanie. Ofiarowano mu zrazu, gdy był młodym oficerem miejsce w ministeryum wojny; posadę znaczną na jego lata. Odmówił. Ofiarowano następnie miejsce szefa generalnego sztabu. Odmówił. Miejsce zarządzającego personelem piechoty (*la direction du personnel de*

l'infanterie). Odmówił. Posady komendanta w jakiejś wyprawie. Odmówił. Nawet gdy pani Carette zaproponowała mu na pokojach cesarskich, aby ją poprowadził do stołu — odmówił. A wszystko ze słodką pokorą: „nie mogę przyjąć — mówił — pani miejsce jest między pierwszymi, ja muszę zostać w tłumie. Dopiéro gdy go mianowano rządcą stolicy, przyjął z pośpiechem i krzątaniną dziecinną. „Przybywszy do Paryża, wnet się udał do ministra spraw wewnętrznych, i pomimo spóźnionéj pory (było wpół do drugiéj po północy) zażądał, by go ten natychmiast zaprowadził do cesarzowéj". Pojechali. Cesarzowa, która niestrudzoną się okazała w tych ciężkich czasach, przyjęła obu niezwłocznie. Nominacya Trochu potrzebowała zostać jeszcze podpisaną przez ministra wojny Palikao dla uzyskania zupełnéj prawomocności, więc nowy komendant się domaga, aby tę formalność co rychléj spełniono. Cesarzowa prosi p. Chevreau, aby się tém zajął. P. Chevreau natychmiast idzie spełnić życzenie monarchini, a Trochu zostaje i bawi ją rozmową!

Nieszczególny to był wybór. Changarnier powiedział o nim: „*C'est Tartuffe coiffé du casque de Mangin*" — a Mac-Mahon: „Miałem go za uczciwego człowieka".

Nieszczęśliwa cesarzowa wytrwała na stanowisku odważnie i z godnością, aż do chwili, w której miotaną nawę inne ręce, pochwyciwszy gwałtownie, miały uratować.

Szczupłą wiązankę przyniosła pani Carette; a wydaje się ona bardzo nikłą przy owéj wyż wspomnianéj zapowiedzi czegoś nowego, a czego właśnie książce jéj nie dostaje.

Katarzyna z Zygmuntowiczów Opacka.





Z DZIEJÓW FILOZOFII.

Historya filozofii greckiéj od Talesa do śmierci Arystotelesa przez X. Dr. Stefana Pawlickiego C. K. profesora uniwersytetu Jagielońskiego. Tom pierwszy (Kraków. 1890. str. XI. 431 w 8-ce więk.).

W ćwierć wieku po swéj doktoryzacyjnéj rozprawie o Schopenhauerze, ogłosił p. Pawlicki pierwszy tom swojéj „Historyi filozofii greckiéj“. Nie dorywczy to bynajmniéj wynik studyów nad tym przedmiotem, lecz owoc długiéj, usilnéj i wytrwałéj pracy. Zaraz bowiem po otrzymaniu stopnia doktora, zwrócił się do specyalnego badania filozofii greckiéj i ogłosił r. 1866 w „Bibliotece Warszawskiéj“ rzecz o filozofii Eleatów, co mu utorowało drogę do objęcia katedry dziejów nauki nauk w Szkole Głównéj. Jako student słuchałem w niewielkiéj sali wraz z kilkunastu kolegami wykładów 30-letniego docenta. Elegancki w ruchach i ubraniu, mówił z wielkiém ożywieniem, głosem, mającym odcień właściwy Polakom, którzy wiele lat młodocianych wśród Niemców przeżyli. Starał się o jaknajzrozumialsze nietylko objaśnienie, ale i zobrazowanie, gdzie było można, przedmiotu, który sam przez się wielce pociągającym dla umysłów niewyćwiczonych nie był. Jako docent zmodyfikował on już poprzednie swoje jaskrawo postępowe poglądy, które wypowiadał w „Dzienniku lwowskim“ (1866), szerząc zdobycze nauki, dokonane przez Darwina, Milla, Buckle'a, Drapera; w każdym jednak razie dalekim był od konserwatyzmu. Na niedzielnych zebraniach w redakcyi „Biblioteki Warszawskiéj“, gdzie pomieszczał sprawozdania z przedstawień teatralnych i literatury obcéj, przeważnie francuskiéj, miałem sposobność poznać sceptyczny nawet trochę pogląd jego na udogmatyzowanie nauki chrześciańskiéj. Zdaje się wszakże, iż w ostatnim roku wykładów w Szkole Głównéj 1868/9 dokonywała się już w duszy profe-

sora jakaś zmiana w kierunku religijnym, a niebawem, bo już z początkiem r. 1870 ujawniła się w namiętnéj polemice z punktu religijno-moralnego przeciw nowemu zwrotowi naukowemu, który on, nie wchodząc w subtelniejsze rozróżnienie, materyalistycznym nazwał, Darwina i Buckle'a w jednym szeregu z Büchnerem stawiając (Zob. „Materyalizm wobec nauki“ w 2 pierwszych tomach „Przeglądu Polskiego“ z r. 1870).

Odtąd przez lat kilka występował on wrogo i zawzięcie przeciw temu materyalistycznemu zwrotowi, przedstawiając go jako zagubę moralności i bezpieczeństwa ogólnego. Zostawszy księdzem, powoli ochłonął z pierwotnego ferworu i spokojniéj, rozważniéj rozpatrywać zaczął objawy filozofii pozytywnéj. A wstąpiwszy ponownie na katedrę uniwersytecką, tym razem w Krakowie, zwrócił się do najdawniéj umiłowanego przedmiotu studyów, do filozofii greckiéj. A umiłowanie to nie było czczym frazesem; udowodnioném jest ono dobitnemi faktami.

Nie poprzestał bowiem prof. Pawlicki w obrazie dziejów filozofii greckiéj na swoich dawniejszych poszukiwaniach, lecz raz jeszcze nanowo rozejrzał się w samych jéj źródłach, krytycznie je rozpatrzył, zbadał sposób ich pojmowania i wykładu przez innych i dopiéro na tak szerokiéj podstawie i na tak wielostronnie przeprowadzoném badaniu, przystępował do wypowiedzenia swego poglądu na teorye danego filozofa i na rozwój całych okresów dziejowych. Zachowywał się wobec rozbieranych przez siebie nauk jako krytyk, dla którego sprawdzianem wartości systematu jest nietylko osobiste zapatrywanie się, ale także jego znaczenie w dalszym rozwoju filozofii, nie zaś jako polemista, któryby pragnął zetrzéć na proch wszystko, co się jego widzeniu rzeczy sprzeciwia. Mamy na to dowód bardzo wymowny, o wiele jaśniéj mogący przedstawić obecne stanowisko prof. Pawlickiego, aniżeli długie rozumowania.

W r. 1870, kiedy występował jako polemista przeciwko materyalizmowi, nie wahał się o Demokrycie mówić z lekceważeniem i drwinami. Nazwawszy jego teorye atomistyczną „śmieszną hipotezą greckiego fizyka z Abdery“, dodał: „Wiadomo, że Abderyci, których Wieland uwiecznił w jednéj z najlepszych swoich powieści, nie brali żadnych rzeczy na seryo; dlaczegóż jeden Demokryt pośród nich byłby wyjątkiem?...“ (Przeg. pol. I, 58). I obecnie oczywiście autor nie jest zwolennikiem teoryi Demokryta, sam ją przecież bierze na seryo i traktuje myśliciela greckiego z uznaniem, a jakby chcąc wynagrodzić krzywdę pamięci jego zrobioną przez siebie w polemice, pisze o Abderze: „Smutna reputacya mieszkańców, uwieczniona w romansie

Wielanda, zaczyna się daleko później i zdaje się, że dopiéro przez Cycerona została ustaloną na dobre. Ale w V-ym wieku przed Chrystusem, tamtejsi obywatele nie byli ani głupi, ani narwani, a miasto nietylko dziełami sztuki cieszyło się, lecz i zastępem ludzi, świadczącym o wielkim ruchu naukowym i literackim. Abdera, choć otoczona barbarzyńcami, nie ustępowała żadnemu z miast greckich co do kultury umysłowéj. Ponad wszystkie zaś znakomitości, w które obfitowała, jaśnieje imię Demokryta" („Hist. filoz. grec.", str. 316, 317).

Takie milczące cofnięcie własnego zdania jest oczywiście świadectwem rozmiłowania się w przedmiocie badań, pogłębionych długą rozwagą i sumiennem rozejrzeniem się w źródłach. Gdzieindziéj (str. 227) autor, przystępując do przedstawienia i rozbioru filozofii Eleatów, dawniejszą swą rozprawę za „przestarzałą" podaje. A gdybyśmy chcieli posłyszéć zdanie najogólniejsze o znaczeniu filozofii greckiéj w dziejach ludzkości, to je znajdziemy na str. 393 ujęte w słowa, które się prof. Pawlickiemu wymknęły mimowoli, nie jako badaczowi krytycznemu, i nie jako księdzu, ale jako zakochanemu w piękności i wzniosłości Hellenów. „Wszystkie myśli zasadnicze, na których polega cywilizacya nowożytna, zostały wypowiedziane przez Sokratesa!"—woła entuzyastycznie autor, zapomniawszy na chwilę o teologicznych zastrzeżeniach, jak nie mniéj o tém, że poprzednio (str. 5) nietylko jednemu myślicielowi—Sokratesowi — ale całéj wogóle filozofii greckiéj szczuplejsze zakreślił wpływy historyczne, twierdząc zgodnie z wielu historykami, że „wszystkie późniejsze filozofie są tylko powtarzaniem lub przerabianiem dawnych ateńskich dogmatów", chociaż i to mniemanie wydało mu się za śmiałém, gdy mu przyszło wspomniéć o encyklice papieża Leona XIII-go, zalecającéj w szkołach powrót do filozofii ś. Tomasza z Akwinu. Wówczas zmuszony był wyznać, że ś. Tomasz nietylko tłómaczył, powtarzał i przerabiał system Arystotelesa, lecz go także uzupełniał i naprawiał „według pewników religii objawionéj", a tezę swoję o znaczeniu myślicieli greckich starał się podeprzéć rozporządzeniem Leona XIII-go, iżby „w nowém wydaniu dzieł ś. Tomasza, wychodzącém w Rzymie, w komentarzach do Arystotelesa, obok łacińskiego przekładu położyć tekst grecki w formie najpoprawniejszéj" (str. 8 i 9).

Tak to miłość jest przemyślna i nawet w więzach teologii umié jeszcze dla ukochanego ideału wznieść piękny przybytek. Ale go umié także ozdobić. Prof. Pawlicki nietylko troszczył się o to, ażeby ten przybytek z dobrego zbudowany był materyału, lecz również, ażeby przedstawiał się pięknie i powabnie.

Opowiadając dzieje filozofii greckiéj, nie chciał zrażać chłodem

i suchością podręczników niemieckich, w których najlichsza nawet broszura bywa sumiennie notowana w literaturze przedmiotu, a wykład abstrakcyjny nuży umysł na pierwszych zaraz kartach; ale korzystając z przykładu dziejopisów francuskich i angielskich, mianowicie Lewesa, starał się roztoczyć historyą szczegółowéj gałęzi wiedzy na tle ogólno-cywilizacyjném, ażeby przypomnieniem rzeczy znanych z przeszłości Grecyi nawiązać sympatyczną nić z czytelnikiem. Stąd poszły u niego te ładne zarysy miast i państewek helleńskich, w których się pojawiali filozofowie, stąd obrazki stosunków politycznych i obyczajowych, na które ciż myśliciele oddziaływali, lub ich wpływom ulegali. Zazwyczaj zarysy te i obrazki znajdują się na czele rozdziałów, mających za przedmiot czy to jednę wybitną osobistość, czy téż pewną ich grupę, i stanowią jakby piękne portyki, w których swobodnie na wszystkie strony rozejrzéć się można, rozerwać oko widokiem pięknych krajobrazów, niezmiernéj wód powierzchni, lub nagromadzonych zabytków sztuki, zanim się wejdzie do świątyni, w któréj ze skupieniem ducha trzeba będzie przysłuchiwać się naukom mędrca. Każdy taki przedsionek daje czytelnikowi pożądaną chwilę wypoczynku, rozluźnia na chwilę natężenie jego uwagi, ażeby następnie odświéżona mogła nanowo czas jakiś w dziedzinie abstrakcyi przebywać. Ale i wtedy jeszcze baczny autor nie oddaje jéj na łup myśli oderwanéj. Przez porównania i zestawienia systematów starogreckich z nowszemi, bardziéj znanemi, lub téż z pojęciami religijnemi, stara się jéj dopomódz do zrozumienia i objęcia w posiadanie owych systematów, skojarzywszy je z grupami myślowemi, już istniejącemi w umyśle czytelnika. Bardzo téż często posługuje się autor przykładami z życia czerpanemi, czy to używanemi już przez dawnych filozofów, czy téż wydobytemi z zasobów własnych, ażeby abstrakcye łatwiéj weszły do duszy w postaci plastycznéj. Niemniéj zainteresować umié psychologią rozpatrywanych osobistości, rzucanemi domysłami o drodze, po któréj doszły one do swych poglądów, interesującemi szczegółami życia, dramatycznością w przedstawieniu rozpraw filozoficznych (np. świetny wstęp w rozdziale o Sofistach), albo obrazkiem charakterystycznym, wdrażającym się w pamięć silnie, a zawsze opartym na jakiémś napomknieniu w źródłach wiarogodnych.

Możnaby na wszystkie wymienione tu środki ożywienia wykładu przywieść bardzo piękne świadectwa, ale nie chcąc zapełniać tego sprawozdania zbyt licznemi przytoczeniami, poprzestanę na jedném, które mi szczególniéj się podobało i które, jak sądzę, da czytelnikom wyobrażenie o talencie autora, a może zachęci ich do przeczytania książki.

Skreśliwszy życie i wyłożywszy naukę Ksenofanesa, założyciela szkoły eleackiéj, który pierwszy wymownie zaprotestował przeciwko antropomorfizmowi mitologii („gdyby woły lub konie miały ręce i umiały malować, jak ludzie, toby konie malowały sobie bogów podobnych do koni, a woły do wołów, i takie dawałyby im ciała, jakie same mają“), który zarówno filozoficzne swe poglądy, jak wypadki życia w szatę poetycką przybierał, tak w końcu przedstawia tego wędrownego rapsoda, rodem z Kolofonu, na starość przybyłego do Elei we Włoszech południowych, założonéj przez wychodźców z Focei: „Wyobrażam go sobie w gościnnéj Elei, gdzie przy kominie zasiadłszy po długoletniéj tułaczce, rozpowiada o podróżach swoich i niezliczonych przygodach. Przy ogniu, zimową porą, gdy się odpoczywa na miękkiém posłaniu, po dobrym obiedzie, pijąc słodkie wino, a chrupiąc cieciorkę przypiekaną, należy takie rzeczy mówić: coś ty za jeden, mój drogi? jaki wiek twój? ile lat miałeś, kiedy Med najechał? Starzy zaléwali się łzami, pamiętając dobrze owę noc okropną, gdy przed zastępami Harpagusa opuścili na zawsze Foceę ukochaną, a dopiéro po trudach bez miary i bitwach bez liczby zdobyli sobie nowe siedziby. Młode zaś pokolenie, które już wzrosło na obczyźnie, wpatrywało się z czcią i miłością w szlachetne, rozumne oblicze wieszcza, który pomimo lat 90 jeszcze nie był zgrzybiałym, pamiętał dobrze rządy Krezusa, a potém uszedłszy przed potęgą Cyrusa, zwiedził prawie wszystkie miasta greckie. Słuchali z podziwem, jak na Paros, w Melecie lub w okolicach Syrakuzy, zbiérał po górach muszle i resztki skamieniałych ryb, a na tém budował geologiczne hypotezy o dawnych potopach i zatraconém niegdyś życiu na ziemi“ (str. 239, 240).

Niewątpliwie każdy przyzna, że potrzeba się wmyśléć w przedmiot i ukochać, ażeby go miéć tak żywo przytomnym w wyobraźni, ażeby go sobie w różnych położeniach wyobrażać.

Dość jednak pochwał. Zalety wykładu są tak w dziele prof. Pawlickiego wydatne, że byłoby obrazą zasady słuszności, gdyby się od ich uwydatnienia nie rozpoczęło; przemagają one stanowczo nad stronami mniéj lub więcéj ujemnemi i sprawiają, że całość jest piękna i rozumna, a więc ze wszechmiar warta czytania. Nie ciągnę daléj ich wyliczania i wskazywania; ale zajmując się nawet tém, co mi się w dziele mniéj udatném wydaje, będę miał jeszcze sposobność do ich zaznaczenia.

Oto zaraz pierwsza ujemna strona, na którą chcę zwrócić uwagę, jest tylko przesadą dobréj. Całą książkę owiewa podniosły duch moralności. Niewątpliwie pożądaną jest rzeczą, ażeby nauka, taka zwłaszcza, która najważniejszych dla myślącego człowieka dotyka

zagadnień, nie była suchym tylko, zimnym wykładem hypotez i systematów umiejętnych. Człowiek żywy jest całością, w któréj potęg duchowych niepodobna rozdzielić; działając na jego rozum, działamy też pośrednio na uczucie, wyobraźnię, popędy — i naodwrót. Filozofia czy literatura może i powinna wpływać na tę żywą całość człowieczą. Więc i w wykładzie historyi tych umiejętności pewne ciepło atmosfery moralnéj jest niezbędne. Nawet zagorzali przeciwnicy takiego twierdzenia nie mogą w praktyce uniknąć przelewania swego nastroju moralnego w słuchaczów lub czytelników. W każdym z nas tkwi coś kaznodziejskiego. Uznając atoli ten fakt, trzeba się zastrzedz przed nadużyciem wyciąganych z niego wyników. Byłoby całkowitém pomieszaniem dziedzin wiedzy, gdybyśmy na lekcyi matematyki uczyli historyi, lub wprost przeciwnie. Dowodzić tego chyba nie potrzeba. Prof. Pawlicki niewątpliwie słuszności takiemu wymaganiu nie odmówi. Ale on już w samém określeniu pojęcia filozofii utorował sobie drogę do zbyt obszernego rozpanoszenia się etyki w wykładzie dziejów téj umiejętności. Rozwijając bowiem myśli moralistów starożytnych, twierdzi on, iż „tém różni się filozofia od innych nauk, że jest także sztuką życia; jak bowiem słusznie żądamy od gramatyka, aby pisał stylem poprawnym; od muzyka, aby dobrze grał na instrumencie, na którym innych chce uczyć, tak zasłużona spotyka nagana tych, co inaczéj żyją, a uczą inaczéj; a jeżeli już starożytni domagali się od filozofów, aby swoje nauki stwierdzali życiem cnotliwém, to w daleko wyższym stopniu od chrześciańskich filozofów żądać należy, aby wartość ich życia dostrojoną była do wyników ich nauki“ (str. 55). W słowach tych tkwi najwidoczniejsze pomieszanie pojęć, które sam autor uwydatnił zarówno w określeniu, jak przykładach, mając raz na widoku naukę, a drugi raz sztukę, t. j. umiejętność i zdolność zastosowania w praktyce wymagań teoretycznych. Nietylko od filozofa, ale od każdego człowieka mamy prawo wymagać, by czyny jego zgadzały się z etycznemi zasadami, czy to wyrobionemi samodzielnie, czy przekazanemi przez tradycyę, a odpowiedzialność jego moralna o tyle jest większa, o ile stopień świadomości jego na wyższéj znajduje się skali. Lecz to są wymagania, stawiane względem woli i postępków człowieka; filozofa, którego życie było sprawdzeniem jego etyki, cenić będziemy jako człowieka moralnego, lecz przez to jeszcze nie przyznamy jakichś szczególnych zalet jego filozofii teoretycznéj i nie będziemy mogli stawiać jéj wyżéj od systematu filozofa, który w życiu realném doskonałością nie był, ale którego umysł sięgnął głębiéj, niż umysł cnotliwego filozofa. Zresztą, filozofii przecież nie wypełnia sama etyka; jest w niéj metafizyka, czy teorya poznania, logika i t. d.; jakżeż wy-

magać od filozofa, ażeby on swe metafizyczne czy logiczne przekonania stwierdzał życiem w znaczeniu etycznem? Możemy chyba tylko żądać, aby w rozumowaniach swoich był konsekwentnym, a to przecież już dziedzina czysto rozumowa, nie etyczna. Gdybyśmy mniemanie prof. Pawlickiego wzięli w całej ścisłości i zastosowali np. do teologii, toby wypadło, że istotnie wielkim teologiem mógłby być tylko wielki święty; a i to porównanie nie byłoby jeszcze równoważnem z utożsamieniem filozofa-myśliciela i filozofa-człowieka, gdyż teologia znajduje się w daleko ściślejszym związku z etyką, aniżeli filozofia.

Otóż autor, mając na myśli takie utożsamienie, robi nieraz nieuzasadnione zarzuty filozofom, albo wyprowadzając z ich zdań teoretycznych wnioski do życia praktycznego odnoszące się, a których owi filozofowie nie wypowiedzieli, albo też potępiając najpiękniejsze zasady moralne myślicieli, których metafizyczne poglądy nie pozyskały jego uznania, albo nawet z twierdzeń logicznych snując niepochlebne wywody o życiu ich autorów, chociaż faktycznych danych na poparcie swego mniemania przytoczyćby nie mógł. Tak np. przeciwko etycznym maksymom Demokryta nie ma prof. Pawlicki nic do nadmienienia w szczególności, owszem, nazywa je „wzniosłemi zasadami“, którym należy się „wielka i słuszna cześć“ (str. 332), ale ponieważ w systemacie atomistycznym nie było miejsca dla Boga, potępia je, bo to „etyka bez Boga, zatém nie ma celu“ (str. 333), a po dowolném zupełnie dorobieniu pewnych twierdzeń, dodaje: „Etyka Demokryta, przeprowadzona konsekwentnie, podkopuje wszelki obowiązek, wszystkie stosunki społeczne.“ I tak naraz „zdania etyczne mędrca Abderyty“, które dopiéro co były „nietylko wzniosłe i czyste, lecz sympatyczne i ludzkie“, według dość dziwnie przeprowadzonej konsekwencyi, podkopują „wszelki obowiązek, wszystkie stosunki społeczne“... Weźmy inny przykład. Prof. Pawlicki jest wielkim wielbicielem Heraklita nie ze względu na jego metafizyczne poglądy, ale na etykę, którą mieni główną jego w filozofii zasługą; wybacza mu jego panteizm, dlatego że popełnił wielką, ale szlachetną niekonsekwencyą, przyjmując życie duszy po śmierci ciała; wychwala jego naukę o znikomości wszystkich rzeczy ziemskich, a krytyczne jego uwagi o bałwochwalstwie wystawia jako świadectwo niezwykłej dojrzałości umysłu i wielkiego ponad spółczesnych wzniesienia się. I jemu wprawdzie za złe ma, że wygłosił zdanie: „największą cnotą roztropność“, zamiast jak ś. Paweł: „gdybym miał wszelką wiedzę i wszelką wiarę, a miłościbym nie miał, niczém nie jestem“ (str. 141); wogóle jednak z powodu przekonania o nieśmiertelności duszy wielce w oce-

nie jego osobistości jest oględnym, a nieraz przemawia o nim w tonie uwielbienia. Za to u sofistów nic mu się nie podoba. Zaledwie nawiasem napomyka o ich zasługach w logice, w długim natomiast wywodzie stara się obalić argumenty przez Grote'a i Lewes'a ku ich obronie przytoczone, rzuca cień na życie moralne starszych sofistów (Protagorasa, Gorgiasza, Prodyka), chociaż żadnego faktu ku ich pohańbieniu nie przytacza, prócz chyba tego, że Prodyk za jedne lekcye brał po drachmie, a za inne po sto, przeinaczając to w ten sposób, iż „o tym samym przedmiocie rozprawiał inaczéj“ za jednę, a inaczéj za drugą cenę, chociaż tekst w Kratylu Platona, skąd ta wiadomość wzięta, nie upoważnia bynajmniéj do takiego tłómaczenia; jakoż znany historyk filozofii, Fr. Ueberweg, ustęp ten tak rozumié, iż owe lekcye drachmowe były to wykłady synonimiki (*Grundriss der Gesch. der Philos.*, t. I, 5-te wyd., str. 94). Nawet to, co prof. Pawlicki chwalił u Heraklita, przedstawia mu się złém u sofistów. Przytoczywszy zdanie Prodyka, że bogowie są to najczęściéj symbole, w których ludzie wyrażali rzeczy najprzydatniejsze w życiu (Cerera=chléb, Bachus=wino i t. p.), dodaje, że takie „tłómaczenie mitologii musiało do gruntu ją zburzyć, a że religijność i moralność opiérają się zawsze na jakiéjś wierze pozytywnéj, nic dziwnego, że z upadkiem mitologii u Greków, także moralność upadała“ (str. 347). Od tego twierdzenia jeden jeszcze mały skok, a dowiemy się, że „Grecya przy schyłku V-go stulecia była taką, jaką wychowali ją sofiści — pozbawioną wiary w dawne ideały“ (str. 357). Któż, bezstronnie sądzący zjawiska historyczne, nie dojrzy moralizatorskiéj przesady w ocenie usposobienia, nauki i stanowiska dziejowego ludzi, którzy u spółczesnych sobie cieszyli się poważaniem zarówno z powodu charakteru, jak i mądrości, a jeżeli pod piórem Platona przemienili się ich spadkobiercy duchowi na chciwców i wykrętnych dyalektyków, to nie należy przenosić cech późniejszego pokolenia na pierwsze i z podobieństwa samołówek logicznych wnosić o podobieństwie obyczajów.

Poprzestając na tych przykładach zbyt silnego wpływu dążności moralizatorskiéj na przedmiotową ocenę osób i nauk, przechodzę do kwestyi systematyczności w układzie dziejów filozofii greckiéj.

Z różnych podziałów na okresy, wybrał prof. Pawlicki kombinacyą środkującą między podziałem Zellera a Ueberwega. Obaj oni dzielą całość dziejów filozofii greckiéj na trzy tylko okresy, ale prócz pomniejszych różnic zachodzi tu ta główna, że granice 3-go inaczéj oba przedstawiają. Zeller w trzecim okresie obejmuje całą poarystotelesowską filozofią wraz z żydowsko-aleksandryjską i nowoplatońską, gdy Ueberweg, przeciwnie, oddziela czasy pod wpływem teozoficznych

nauk wschodnich rozwijające się, i tworzy z nich okres trzeci, a do okresu drugiego zalicza stoików, epikurejczyków, sceptyków i eklektyków przed epoką oddziaływania teozofii wschodu. Prof. Pawlicki utworzył cztery okresy, robiąc oddzielny z tych przedstawicieli filozofii, których Ueberweg w drugim jeszcze mieści. Usprawiedliwienie wprowadzenia tego okresu jest bardzo słabe. Jeżeli perypatetycy, akademicy, stoicy, epikurejczycy i t. d. nie wnieśli, jak powiada autor, żadnych myśli naprawdę oryginalnych, a tylko popularyzowali i czasami „przekręcali“ dawne teorye, to nie ma słusznego powodu do utworzenia z nich nowego okresu, jeżeli się przyjmuje za zasadę wniesienie jakiéjś nowéj, przedtém nieznanéj myśli; należy im tylko, jak to zrobił Ueberweg, poświęcić osobny rozdział w okresie drugim.

Ważniejszém może od podziału na te wielkie okresy jest uszeregowanie myślicieli w ten sposób, ażeby to, co poprzedza, służyło do objaśnienia tego, co ma nastąpić, żeby genetyczny związek pomiędzy różnemi systematami, jeżeli rzeczywiście istnieje, mógł jasno i wyraźnie się uwydatnić. Tu są bardzo wielkie do zwalczenia trudności, i żaden podobno jeszcze historyk filozofii, o ile nie trzymał się wyłącznie chronologicznego następstwa, nie uniknął téj niedogodności, żeby w przedstawieniu niektórych teoryi nie potrzebował wspomnieć, ba, nawet powoływać się na teorye inne, o których mówić miał dopiéro później. I u prof. Pawlickiego znajduje się, nawet dość często, takie przedwczesne zabieganie naprzód, przytaczanie nazwik i teoryi, zanim je szczegółowéj poddał analizie. Wstęp o siedmiu mędrcach, oraz rzecz o pierwszych trzech przedstawicielach szkoły jońskiéj (Tales, Anaksymander, Anaksymenes), przedstawia się pod tym względem dosyć prawidłowo, chociaż i tu z powodu Anaksymandra rozprawia już autor o Anaksagorasie, lubo teorye tegoż będą wyłożone dopiéro o 195 stron daléj. Gorzéj jeszcze z Heraklitem, co miał już poprzedników w Pitagorasie i Ksenofanesie, których krytykował, a o których czytelnik szczegółowe wiadomości poweźmie dopiéro za jakie 40 lub 90 stronic. Wprawdzie zarzuty te nie dotykają wyłącznie naszego autora, gdyż w uszeregowaniu filozofów 1-go okresu idzie on zupełnie za Ueberwegiem z tym tylko wyjątkiem, że Dyogenesa z Apolonii kładzie po Heraklicie, a Sofistów, którzy u Ueberwega rozpoczynają okres drugi, przyłącza do pierwszego. Historyk atoli niemiecki, traktując rzecz swoję zwięźle, w sposób czysto informacyjny, i na niewielkiéj stosunkowo przestrzeni, daje studyującym możność rychłego zoryentowania się, a prof. Pawlicki w sposób monograficzny każdego z filozofów obrabiając, możność tę znacznie samą już rozległością opraco-

wań utrudnia. Zyskuje na tém niewątpliwie pełność przedstawienia filozofów z osobna wziętych, ale czytanie książki prof. Pawlickiego wymaga już pewnéj choćby pobieżnéj tylko znajomości całego niemal rozwoju dziejowego filozofii; a pochwycenie związku genetycznego w ewolucyi myśli filozoficznéj staje się bardzo mozolném, zwłaszcza, że autor bardzo mało pod tym względem zrobił dla ulżenia czytelnikowi. Jego bowiem charakterystyki okresów są bardzo ogólnikowe, i zazwyczaj nie treść wewnętrzną systematów, ale ich nazwy uwzględniają. Tak np. okres I-y: „Od Talesa do wystąpienia Sokratesa. Epoka wielkich szkół kosmologicznych: Jończycy, Pitagorejczycy, Eleaci i Materyaliści walczą o lepsze, nareszcie pod koniec rządów Peryklesa, przechodzą w powszechną sofistykę“ (str. 67). Prócz wskazówki o badaniach kosmologicznych, określenie to daje całkiem zewnętrzny, wyrazowy przegląd szkół po sobie następujących, nie przedstawiając ich genetycznego ze sobą związku.

I ta wszakże charakterystyka nie znajduje u prof. Pawlickiego całkowitego potwierdzenia w jego szczegółowém przedstawieniu. Bo oto naprzód w rozprawie o jednym z największych przedstawicieli tego okresu, o Heraklicie, autor dość lekko traktuje kosmologiczny jego pogląd, a podnosi natomiast zasadę etyczną przez niego jakoby po raz pierwszy wygłoszoną. Jeżeli autor stanowczo doszedł do takiego przekonania, to winien był dla konsekwencyi wydzielić Heraklita z gromady filozofów, którzy kosmologią starogrecką wytworzyli, i umieścić go czy całkiem odrębnie, czy też w otoczeniu dla niego stosowniejszém. Powtóre, sofiści kończą u niego (jak u Zellera) okres pierwszy, chociaż kosmologami zgoła nie byli, tylko dyalektykami zwracającymi swą uwagę głównie na myśli i popędy ludzkie; właściwie zatém nie kończyć okres kosmologiczny, ale zaczynać antropologiczny powinni. Z powodu wrogiego względem nich usposobienia, prof. P. zadał sobie pytanie, czy dzieje filozofii mają się niemi wogóle zajmować (str. 348), ale zaprzątnąwszy się polemiką z ich obrońcami, zapomniał wytłómaczyć, dlaczego im poświęcił tak obszerny ustęp, więc oczywiście nie określił ich znaczenia w rozwoju filozofii i nie usprawiedliwił pomieszczenia w okresie kosmologicznym.

Takie są zalety i wady wykładu, oraz metody prof. Pawlickiego. Pozostaje najtrudniejsze pytanie, co nowego wniosło jego dzieło do skarbnicy badań nad rozwojem myśli ludzkiéj. Historya filozofii greckiéj należy do tych dziedzin wiedzy, które najbardziéj i najwielostronniéj były przetrząsane przez uczonych każdego wyżéj ucywilizowanego kraju, a zwłaszzza przez Niemców. Trzebaby odkrycia całkiem nieznanych jakich, a ważnych zabytków, ażeby naprawdę

coś zupełnie nowego o tym przedmiocie powiedzieć. Ale pojęcie nowości, jak i wszystkie inne, może mieć znaczenie względne. W literaturze polskiéj dzieło prof. Pawlickiego jest całkowitą nowością, bośmy prócz poszczególnych rozpraw i to w niewielkiéj liczbie nie mieli dotąd nietylko wyczerpującego, ale poprostu żadnego zarysu filozofii greckiéj, opracowanego samoistnie, na podstawie studyów źródłowych. Atoli obok tego wielkiego znaczenia dla naszego piśmiennictwa, ma ono jeszcze i ogólniejsze, o ile autor niektóre systemata filozofów greckich oryginalnie zrozumiał i przedstawił. Odnosi się to do trzech głównie osobistości: Heraklita, Parmenidesa i Sokratesa. Wiemy już z poprzedniego, że prof. P. najważniejszy w nauce Heraklita nacisk kładzie na stronę jego etyczną, akcentując, że albo nikt dotychczas nie zwrócił na to uwagi, albo też niedostatecznie (str. 143, 144). Czy wywód autora jest w téj mierze przekonywający? Mnie się zdaje, że nie. Prof. P. miał przed sobą te tylko teksty, co i inni historycy literatury; nie mógł się zatém powoływać na żaden wyraźny dokument stwierdzający jego pogląd; lecz to co inni odnosili do kosmologii, on specyalnie zastosował do etyki; nadawszy słynnemu zdaniu Heraklita: „wszystko płynie“ formę: „wszystko jest znikomém na ziemi“, widzi w tém postawione zagadnienie: „czém świat jest dla nas, jakie ma dla szczęścia naszego znaczenie?“ i z tego punktu widzenia nadaje Heraklitowi odrębne wśród jońskich filozofów stanowisko, jako mędrcowi, który „wprowadził pogląd moralny na świat“. W szczegółowym rozbiorze etyki Heraklitowéj, który musiał być oparty na tekstach, nie znalazł autor dostatecznego potwierdzenia poglądu swego, więc go wysnuwa niezależnie od tekstów przez dowolne podstawienie znaczenia wyłącznie etycznego słowom, które cały ustrój świata miały na widoku. Jeżeliby zaś istotnie szło o zdanie „wszystko jest znikomém na ziemi“, to znajdziemy je już w prześlicznym ustępie „Iliady“, gdzie jeden z wojowników zapytany o swój ród, odpowiada:

Właśnie jak liści w dąbrowie, tak samo i ludzi jest plemię:
Jedne z nich wiater otrząsa na ziemię, a w miejsce ich inne
Las znów wydaje kwitnący, gdy pora wiosenna nadchodzi:
Tak pokolenie też ludzi to rośnie, a tamto umiéra.

(VI, 146 — 9, przedł. A. Szmurły).

Chyba więc nie byłoby to wielką nowością, gdyby Heraklit takie tylko zdanie wypowiedział; i podobno jak dawniéj, trzeba będzie mędrcowi z Efezu zostawić tę raczéj zasługę, iż pierwszy się zastana-

wiał nad sposobem, w jaki świat mógł powstać i utrzymywać się [1]).

Co do Parmenidesa przeprowadził prof. P. bardzo szczegółowe rozumowanie, ażeby okazać, wraz z Fouillé, na którego się powołuje, że „byt“ eleackiego filozofa równoznaczny był w jego pojęciu z Bogiem. Ponieważ w dochowanych urywkach poematu Parmenidesa nigdzie „byt“ nie nazwany został Bogiem; lecz natomiast określony jako „kula“; gdy poprzednik jego i mistrz Ksenofanes wyraźnie swoję zasadę twórczą Bogiem zowie; prawdopodobniejszą i zgodniejszą z naturalnym rozwojem myśli, oswabadzającéj się od form antropomorfizmu, rzeczą jest, iż Parmenides nie chciał właśnie, jak jego nauczyciel, nadawać najbardziéj oderwanemu pojęciu wiecznego i niezniszczalnego bytu cech antropomorficznych osobowości.

Wielbiąc Sokratesa, jako twórcę etyki, prof. P. chciałby w nim widziéć wszechstronnego myśliciela, który zajmując się zarówno przyrodą jak człowiekiem i Bogiem, miał w sobie jak w ziarnie skupiony cały dalszy rozwój filozofii greckiéj reprezentowany przez Platona i Arystotelesa; dlatego stara się osłabić powszechne wśród historyków filozofii przekonanie, iż mędrzec ów, uznawszy marność zaciekań kosmologicznych, zwrócił się całkowicie do człowieka i z moralnie celowego punktu widzenia rozpatrywał jego stosunki, a więc i jego wiedzę. W młodszych latach zajmował się istotnie Sokrates kwestyami ustroju świata, lecz późniéj całkowicie je zarzucił, a tych, którzy nad niemi spekulowali, nazywał poprostu głupcami, szalonymi (μωραίνοντας według wyrażenia Ksenofonta we „Wspomnieniach o Sokratesie“ I, 1, 11). Wobec takich i tym podobnych świadectw trudno

[1]) Omawiając psychologię Heraklita, prof. P. raz jeden porusza kwestyę krytyki przekazanego tekstu. Brzmi on: κακοὶ μάρτυρες ἀνθρώποισιν ὀφθαλμοὶ καὶ ὦτα βαρβάρους ψυχὰς ἐχόντων. Autorowi zdaje się, że tekst jest „oczywiście zepsuty“, bo „ani barbarzyńskie dusze nie daje jasnego sensu, ani ἐχόντων nie da się połączyć z ἀνθρώποισιν“. Dlatego poszedł za „genialném“ przypuszczeniem Bernaysa, który zakwestyonowane słowa odtworzył w ten sposób: βορβόρου ψυχὰς ἔχοντος („gdy dusze ugrzęzły w błocie“). Gdyby istotnie niepodobna było utrzymać przekazanego tekstu, poprawka Bernaysa mogłaby się nazwać genialną: lecz przedewszystkiém jest niepotrzebną, bo ἐχόντων jestto *genetivus absolutus* z domyślnym łatwo zaimkiem, a wyraz βάρβαρος ma pierwotne znaczenie: „niezrozumiale mówiący, nie rozumiejący cudzego języka“; zdanie więc Heraklita wybornie się tłómaczy: „oczy i uszy są złemi świadkami dla ludzi, jeśli mają dusze nie rozumiejące języka owych zmysłów“. Jest to niewątpliwie wyrażenie godne wielkiego mędrca i o wiele jest subtelniejszém od proponowanego przez Bernaysa: „oczy i uszy są złemi świadkami dla ludzi, których dusze ugrzęzły w błocie“ — a ma tę wyższość, że nie jest wynikiem przypuszczenia, ale istniejącego tekstu

się zgodzić na zdanie prof. Pawlickiego, iż niechęć Sokratesa do kosmologii była „rzekomą“ tylko (str. 373).

Oprócz tych trzech głównych różnic w zapatrywaniach na filozofów greckich, możnaby oczywiście wynaleść w dziele prof. P. wiele innych drobniejszych, dowodzących, że autor nie powtarzał zdań za poprzednikami swemi, lecz je starał się wytworzyć sobie samodzielnie. Ale częstokroć niepodobieństwem jest odróżnić, co istotnie sami wymyśliliśmy, a co zawdzięczamy innym. Maleńki przykład niech posłuży za objaśnienie. August Cieszkowski pisząc w 1841 r. o filozofii jońskiéj, za najlepszą parafrazę Anaksymandrowego ἄπειρον („nieokreśloność“) uznał wiersz Genezy: „A ziemia była n i e k s z t a ł t o w n ą i p r ó ż n ą, a ciemność była nad przepaścią, a duch boży unosił się nad wodami“ („Bibl. Warsz.“, 1841, t. I, 558). Prof. Pawlicki, który znał tę pracę Cieszkowskiego, bo ją przystępując do obrazu szkoły jońskiéj przytoczył, robi to samo zestawienie, używając hebrajskiego wyrażenia z Biblii: *tohu wabohu* (str. 105), zapewne nie pamiętając już, że je Cieszkowskiemu zawdzięcza, gdyż się w tém miejscu nań nie powołuje.

Prof. Pawlicki spełnia obowiązek pisarza polskiego i wymienia prace w języku polskim istniejące o przedmiotach przez siebie traktowanych; pożądanąby jedynie była większa w téj mierze dokładność, zwłaszcza, że prac owych tak mało. Warto było np. przypomnieć, że pewne zainteresowanie się filozofią grecką najdawniejszą widać już w początkach XVI wieku, kiedy Marcin Bielski tłómaczył Burleya „Żywoty filozofów“, kiedy Marcin Kromer przekładał „Złote wiersze“ Pitagorasa (Krak. 1534), kiedy wydawano „Obraz“ Cebesa (1522, 1524) i tłómaczono go na polski (Krak. 1581), zanim go w naszém stuleciu ks. Hołowiński przełożył. Nie od rzeczy też było wspomnieć, że owe „Złote wiersze“ przetłómaczył Bruno Kiciński na polski i wydał w 5-ym tomie swoich Poezyi (Warsz. 1841), że rozprawę o Parmenidesie drukował w „Bibl. Warsz.“ 1868 (t. I). p. L. Szczerbowicz-Wieczór, że tenże w témże piśmie ogłosił przekład „Apologii“ Sokratesa, napisanéj przez Ksenofonta, że „Wspomnienia Ksenofonta o Sokratesie“, przetłómaczył Antoni Bronikowski, że posiadamy życiorys Sokratesa, skreślony przez M. Gliszczyńskiego, że p. Tadeusz Korzon w 1873 scharakteryzował mędrców najstarszych w „Poranku filozofii greckiéj“. A jeżeli p. P. uznał za potrzebne podać wiadomość o tłómaczeniu „Historyi filozofii“ Schweglera (z dość „niesmacznym“ — że użyję ulubionego wyrażenia prof. P. — sądem o pracy tłómacza, dołączonéj do tego dzieła), to wypadało wspomnieć, że i pierwszy tom „Histo-

ryi filozofii“ Lewesa, obejmujący właśnie dzieje filozofii greckiéj, posiadamy w przekładzie p. Adolfa Dygasińskiego (Warsz. 1885).

Co do stylu i języka dbał prof. P. o jego jasność, a nieraz piękność, oraz o poprawność i czystość, nie potrafił jednak uniknąć rażących błędów w użyciu dopełniacza cząstkowego lub biernika i wyrazów bezokolicznych po przeczeniu; stąd nieraz spotykamy w jego tak cenném dziele takie nieprawidłowości jak: „szczytniej*sze* nabrał przekona*nie*“ (393), „ojciec pozwala sobie uwagę (383), „nie bardzo nawet sobie cenił filozofii“ (377), „a choć nie wszyscy podpiszą słów Schopenhauera“ (374), „nie potrzebuję przytoczyć jego nazwiska“ (367). Zaznaczone tu niepoprawne, z duchem języka sprzeczne wyrażenia, wzięte są tylko z ustępu o Sokratesie liczącego stron 37. Mogą one stanowić pewną miarę do ocenienia omyłek w całości dzieła; niektóre, najbardziéj rażące, sprostował sam autor na ostatniéj karcie. W każdym jednak razie, nawet pod względem językowym, należy dzieło prof. Pawlickiego do utworów starannie, sumiennie i nieraz powabnie opracowanych. Z upragnieniem oczekiwać będziemy dalszego jego ciągu.

P. Chmielowski.





O TARYFACH KOLEJOWYCH.

Luźne uwagi skreślone przez nie-fachowca.

I.

Ponieważ nie kusimy się o napisanie traktatu o kolejnictwie, przeto unikać będziemy naukowych określeń i terminologii takich uczonych kolejników, jak Ulrich lub Wagner; zamiarem naszym nie jest uczyć, lecz tylko informować o faktach, mających doniosłe znaczenie dla gospodarstwa narodowego.

Koleje żelazne służą do przewozu osób, oraz przedmiotów wszelkiego rodzaju, pospolicie towarami zwanych.

Ustosunkowane koszta przewozu względnie do odległości celu podróży tak osób, jak towarów, zawarte są w przepisach, które noszą nazwę taryf kolejowych, pasażerskich i towarowych.

Obecnie pragniemy rozpatrzeć się tylko w taryfach towarowych, w czynnikach wpływających na ich kształtowanie i w znaczeniu tak zwanéj polityki kolejowéj dla przemysłu i handlu w okolicach, obsługiwanych przez koleje żelazne.

Gdy ruch towarowy odbywa się między dwiema stacyami jednéj tylko linii kolejowéj, np. między Warszawą a Skierniewicami, — lub między dwiema stacyami różnych linii kolejowych — lecz pod jedną, wspólną administracyą finansową zostającemi, — taryfy, ustanawiające koszt przewozu dla takiego ruchu towarowego, nazywają się taryfami dla ruchu miejscowego (lokalnego).

Gdy przewóz towarów następuje między dwiema stacyami, podlegającemi różnym zarządom, np. między Łodzią a Kijowem, to szukamy wskazówek o opłatach za przewóz w taryfach bezpośredniéj komunikacyi.

Wreszcie przewóz odbywać się może między stacyami w różnych krajach, np. między Paryżem i Moskwą,—a opłaty za taki przewóz znajdują się w taryfach związków zagranicznych, do których należą i tak zwane taryfy zamorskie, regulujące stosunki przewozowe, np. z Londynu do Kijowa, z Bombaju do Łodzi.

Przewóz towarów odbywać się może nietylko w zwykłych pociągach towarowych, lecz i w pociągach osobowych, przeto rozróżniają jeszcze w taryfach: koszt przewozu małą i wielką szybkością (*petite, grande vitesse*).

Ponieważ jednak nieliczne tylko rodzaje kosztownych towarów, jak: świeże owoce, żywe kwiaty, ryby, kawior, — opłaca się posyłać pociągami osobowemi, zajmiemy się więc poniżéj tylko opłatami za przewóz małéj szybkości, to jest w zwykłych pociągach towarowych.

Dla kronikarskiéj ścisłości wspomnimy tu, że na niektórych drogach w Cesarstwie, jak np. na drogach od Carycyna do Moskwy i Petersburga, zaprowadzono ściśle terminową (w ciągu tylu a tylu godzin) dostawę towarów, w krótszym czasie, niż przewiduje prawo kolejowe. Jeśli reforma, zapoczątkowana przez drogi Griazie-Carycyńską, Moskiewsko-Riazańską i Riazańsko-Kozłowską, zdoła się rozpowszechnić na pozostałéj sieci dróg żelaznych Rosyi,—co byłoby pożądaném— wtedy będziemy rozróżniać dostawę towarów za pomocą pasażerskich, terminowych i zwyczajnych towarowych pociągów.

Historycznie, prawo pierworodztwa przysługuje taryfom dla ruchu miejscowego i dopiéro w miarę budowy dróg w sąsiedztwie, powstawały stosunki naprzód między stacyami dróg sąsiednich, a potém między stacyami całéj grupy dróg, niezależnie jedna od drugiéj administrowanych. Dopiéro w najnowszych czasach nastąpiło nietylko porozumienie, co do przewozu między stacyami wszystkich dróg w państwie, jedną nieprzerwaną sieć stanowiących, lecz postarano się nawet zaprowadzić nieprzerwany związek transportowy między stacyami drogi Uralskiéj i Zakaspijskiéj z jednéj, a stacyami Rosyi europejskiéj z drugiéj strony, pomimo że drogi te nie posiadają łączności relsowéj z główną siecią.

Pierwsi budowniczowie dróg żelaznych w Rosyi nie zdawali sobie należytéj sprawy z doniosłości ruchu towarowego, czego naprzykład dowodzi wypowiedziana przy budowie drogi Warsz.-Wiedeńskiéj wątpliwość—azali znajdzie się dosyć towarów na skompletowanie jednego pociągu towarowego raz na tydzień z Warszawy do granicy i odwrotnie. A dziś, po upływie przeszło lat 40-tu od daty pobudowania pierwszych kolei w państwie, większość dróg żelaznych

nie jest w możności lub nie umié podołać należycie w pewnych peryodach roku wymaganiom śpiesznego przyjmowania i przewożenia dostarczanych im transportów, dokładnego obliczania przypadających za przewóz opłat, oraz unormowania tych opłat do wysokości takiéj, która dalsze spotęgowanie dowozu do stacyi wywołać może.

Akty nadawcze koncesyi na budowę dróg żelaznych w Rosyi zawarły wprawdzie wskazówki maksymalnych opłat za przewóz towarów, głównie podług zasady przyjętéj w akcie nadawczym drogi Mikołajewskiéj, łączącéj Petersburg z Moskwą, podobno w r. 1851. Lecz w miarę rozwoju sieci kolejowéj, w miarę budzenia się konkurencyi między drogami, pierwotne zasady tak dla przewozu towarów w ruchu lokalnym, jak dla przewozu w ruchu bezpośrednim wielokrotnie przekroczone zostały *in minus*. I nic w tém nie było dziwnego, ponieważ ustawa drogi Mikołajewskiéj znała tylko trzy klasy towarów, podług skali opłat: $^1/_{12}$ kopiejki za pud i wiorstę w klasie 1-éj, $^1/_{18}$ kopiejki w klasie drugiéj, $^1/_{24}$ w klasie trzeciéj. W razie przebiegu więcéj, jak 200 wiorst, redukowano sumę przypadającéj opłaty o 10%, w razie przebiegu więcéj jak 500 wiorst o 15% i za przebieg dalszy ponad 1,000 wiorst 20%.

Właściwa konkurencya między kolejami żelaznemi, licytowanie się między niemi *in minus* w kosztach przewozu, nastąpiła dopiéro około r. 1874-go, kiedy prawie wszystkie znaczniejsze porty, jak Rewel, Ryga, Libawa, Odessa, Mikołajów, Rostów i t. d. połączone zostały liniami kolei żelaznych z Moskwą i Wolgą, tą naturalną, najtańszą arteryą ruchu towarowego całego państwa.

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że konkurencya między drogami w Rosyi dochodziła kiedykolwiek do granic konkurencyi, znanéj w Ameryce. Sam p. Witte [1]) przyznaje, że gdy normy opłat przewozowych wahały się w Ameryce między 1 a 17, w Rosyi wahania nie przekroczyły granic od 1 do 4. Przyznaje daléj p. Witte, iż walka konkurencyjna wyszła na dobre, ożywiła zastój w taryfach, zmusiła zarządy kolejowe do studyowania ruchu towarowego, do zaznajamiania się z ekonomicznemi warunkami produkcyi w okręgach, pośrednio i bezpośrednio przez dane linie obsługiwanych.

Peryod wielkiéj konkurencyi na kolejach w Ameryce przyniósł tamtemu społeczeństwu taki rozwój przemysłu, taką pełnię dobrobytu, o jakich tu marzyć tylko wolno. Przecie w ciągu 10-ciolecia, od 1880 do 1890 r., długość kolei żelaznych z 148,000 kilometrów doprowadzono do 267,000 kilometrów, to jest przyrost 80%, a jednocześnie

---

[1]) „Zasady taryf na drogach żelaznych“ (po rusku).

rozwój banków wykazuje 50%, rolnictwa 30%, handlu 30% (obliczając wartość dowozu i wywozu razem).

Z książki p. von der Leyen [1]) wyjmujemy parę cyfr, wykazujących wahanie taryf towarowych. Znajdujemy tam (str. 308) następujące zestawienia wahań opłat przewozowych za transport 100 funt. ang. z Nowego-Yorku do Chicago w datach:

	kl. 1	kl. 2	kl. 3	kl. 4	
1 stycznia 1862 r.	160	128	107	66	centów
7 kwietnia 1862 r.	149	117	85	50	"
25 lipca 1864 r.	200	166	111	85	"
20 września 1864 r.	215	180	120	96	"
15 maja 1867 r.	188	160	127	82	"
18 lutego 1869 r.	45	45	45	45	"
15 marca 1869 r.	160	160	122	82	"
7 sierpnia 1869 r.	25	25	25	25	"
29 listopada 1869 r.	150	130	100	80	"
26 grudnia 1870 r.	180	150	120	80	"
2 września 1871 r.	30	30	30	30	"
22 października 1877 r.	100	90	75	45	"
1 lipca 1882 r.	60	50	40	30	"
22 czerwca 1883 r.	75	60	45	35	"

U nas dopiéro w r. 1885 wydano pierwsze prawo kolejowe, t. j. zbiór przepisów obowiązujących służbę i administracyę kolejową w stosunku do publiczności i odwrotnie. Zbiór ten corocznie dopełniany jest szeregiem objaśnień i dodatkowych przepisów, stanowiących już spory tomik; wywarł on wpływ doniosły na dalsze kształtowanie się stosunków kolejowych. Do chwili jednak ustanowienia osobnego departamentu dla spraw kolejowych w jesieni 1888 r. i faktycznego objęcia przez departament zarządu nad taryfami wszystkich kolei żelaznych w państwie, życie indywidualne towarzystw kolejowych rozwijało się dosyć samodzielnie,—odtąd zaś, od wiosny 1889 r. nastąpił radykalny przewrót w stosunkach taryfowych.

Wszystkie do owego czasu istniejące umowy o przewóz towarów między kolejami w cesarstwie, jak i w związkach z kolejami zagranicznemi, zostały wypowiedziane, a umowy, których terminy upływały, albo wcale nie zostały zastąpione nowemi, albo przeprowadzano nowe porozumienia na wcale odmiennych zasadach. Zaledwie minęło niespełna dwa lata od epoki ustanowienia departamentu, a nie został się, jak to mówią, kamień na kamieniu, z dawnéj, mozolnie w ciągu lat kilkudziesięciu wznoszonéj budowy. Jeśli jesteśmy dobrze poinformo-

---

[1]) Die nordamerikanischen Eisenbahnen. Leipzig, 1885.

wani, to położenie obecnie jest takie, że zarządy wszystkich dróg żelaznych, czy to korzystające z dopłat wskutek gwarancyi skarbowéj, czy też z nich nie korzystające, nie mówiąc już o drogach upaństwowionych, lub bezpośrednio kosztem skarbu pobudowanych, znalazły się pod ścisłym nadzorem ministeryum komunikacyi co do strony technicznéj, a pod kontrolą ministeryum skarbu co do strony taryfowéj.

Ta ostatnia kontrola sięga tak daleko, że wszelkie propozycye co do najlżejszych nawet zmian w istniejących umowach o przewóz towarów i osób, jak i wszelkie propozycye nowych umów bez zgody ministeryum w czyn wprowadzane być nie mogą, a nawet bez téj zgody nie mogą być wnoszone na porządek obrad zjazdów przedstawicieli towarzystw kolejowych.

Dawniéj wystarczalo dla zaprowadzenia nowéj taryfy bezpośredniéj komunikacyi, tylko zgody zarządów dróg bezpośrednio w zastosowaniu danéj taryfy interesowanych. Stąd też funkcyonowanie kolejowego organizmu podążać mogło z należytą szybkością za wymogami żywego również organizmu ekonomicznego państwa.

Inicyatywa prywatnego przedsiębiorcy, fabrykanta, kupca lub spedytora, skierowana ku pozyskaniu udogodnień transportowych, jeśli nie stawała w poprzek dotychczasowych interesów pewnéj grupy dróg żelaznych, mogła spodziewać się gorliwego poparcia w zarządach kolejowych, tak, iż znane były wypadki, gdy w ciągu kilku tygodni wyjednywano dla pewnych przedmiotów przewozu specyalne, obniżone taryfy.

Obecnie, gdy o potrzebie zaprowadzenia udogodnienia, w danym poszczególnym wypadku, kołatać wypada nietylko do zarządów zainteresowanych dróg, lecz przekonać departament kolejowy, a daléj na zjeździe przedstawicieli towarzystw kolejowych, agenta ministeryum skarbu, komunikacyi i dóbr państwa, inicyatywa nietylko prywatna, lecz i inicyatywa samych zarządów kolei napotyka na przeszkody, na zwłokę czasu, liczyć się musi z mnóstwem dawniéj nie istniejących przepisów i mnóstwem względów, jedném słowem z siłą tarcia, wywołanego ruchem olbrzymiéj, skomplikowanéj maszyneryi.

Poniżéj przytoczymy parę szczegółów z rozpraw na zjazdach kolejowych i będziemy starali się zaznajomić czytelników ze sposobem argumentowania opozycyi, gdy proponuje się zniżenie opłat przewozowych, lub ich podwyższenie.

Na całą sieć kolejową zapatrują się w Petersburgu, jak na jednolity organizm przewozowy, mający podług jednych zasad w równéj mierze nietylko obsługiwać interesy wszystkich dzielnic obszernego państwa, funkcyonujący podług jednéj komendy, raportujący o swych

czynnościach podług jednakowych schematów, lecz w dodatku, jako na organizm, którego funkcye mogą potęgować działanie rozporządzeń, wydanych dla regulowania stosunków ekonomicznych w innych dziedzinach gospodarstwa narodowego.

Aby odpowiedzieć na pytanie, czy taki pogląd jest uzasadniony, wystarczy uprzytomnić sobie, że sieć kolei w państwie powstawała nie dowolnie, skutkiem inicyatywy i na odpowiedzialność osób prywatnych, lecz zawsze za pozwoleniem władz, że dalej sam kierunek budowanej drogi był wskazywany przez też władze i niejednokrotnie, wbrew życzeniom koncesyonaryusza, odpowiedzialność nietylko materyalną, lecz i moralną za oprocentowanie się kapitałów, włożonych w tak budowane drogi, ponosić winno państwo, w którego widokach zmieniono kierunki, lub nie doprowadzono do naturalnych połączeń się z innemi arteryami komunikacyi.

Od odpowiedzialności materyalnej skarb nie uchylał się nigdy, przeciwnie, dopłaty do poręczonego przez skarb dochodu tak z akcyi, jak z obligacyi, uiszczane są akuratnie.

Nie znamy dokumentów oficyalnych, gdzieby zaprzeczano istnienia odpowiedzialności moralnej. Pozwalamy sobie tej wycieczki jedynie dla odparcia zarzutów, stawianych nieurzędownie gospodarce niektórych zarządów kolejowych, a pośrednio całemu kolejnictwu, jakoby z jego tylko winy miały miejsce dopłaty skarbowe.

Wreszcie ostatniemi już czasy pobudowano całą sieć dróg strategicznych; użyte dla budowy tych dróg fundusze figurować muszą w aktywach budżetu, odnośne obligi potrzebują być oprocentowane. Ciężar procentów od kapitałów, włożonych w linie kolejowe, spada dziś równomiernie na wszystkie cząstki kolejowego organizmu.

Już lat temu ośm pan Witte utrzymywał, że jedynie za pomocą wyższych opłat przewozowych można uniknąć ponoszenia ciężarów przez państwo. Niech koleje zarabiają na oprocentowanie obligów. Niech każdy towar zapłaci tyle, ile tylko płacić może, a podatek, nałożony na ruch pasażerski i przewóz towarów pośpiesznych, znajdzie się w opłatach za przewóz towarów w pociągach (str. 211 i dalsze, wyd. 1885 r.). Otóż z tym poglądem niepodobna się godzić, lecz ponieważ przedmiot to bardzo ważny i wymagający uprzedniego zaznajomienia się z wieloma szczegółami życia kolejowego u nas i u sąsiadów, przeto kiedyś pozwolimy sobie obszerniej o nim pomówić.

Aby zdać sobie sprawę, czém jest ów organizm kolejowy, o którym mówimy, musimy przytoczyć pewien szereg cyfr, zaczerpniętych z ostatniego rocznego sprawozdania ministeryum komunikacyi, wydanego na schyłku zeszłego roku.

Z końcem r. 1889 długość sieci dróg prywatnych wynosiła 18897 wiorst, skarbowych 7,640, w Wielkiém Księstwie Finlanckiém 1,711 wiorst, droga zakaspijska 1,343 wiorst, razem w całém państwie 29,591 wiorst. Dalsze cyfry stosować się będą do dróg żelaznych w państwie z wyjątkiem drogi zakaspijskiéj i dróg finlanckich. Tabor ruchomy składał się z 6,659 lokomotyw, 7,516 wagonów osobowych, 135,910 wagonów towarowych (łącznie z wagonami dla przewozu bagaży) i z 257 wagonów pocztowych. Na wiorstę drogi przypadało 0,25 lokomotywy, 0,30 wagonu osobowego, 5,20 wagonów towarowych. W wagonach osobowych jest miejsca na 277,452 pasażerów, a w wagonach towarowych na 83,224,624 pudów ładunku, przyczém średnio na wagon osobowy przypada 36,91 miejsc dla pasażerów, a na wagon towarowy 612 pudów ładunku. Do cyfr tych powrócimy, gdy z kolei rzeczy wypadnie zrobić porównanie zużytkowania wagonów i lokomotyw w państwie i w obcych krajach.

Koszt budowy kolei żelaznych wynosił z końcem 1889 roku, rubli metalicznych 1,545,965,000, papiérowych rs. 464,441,000. W sumach tych skarb, z tytułu przyjętych obligacyi i przyjętego poręczenia za oprocentowanie tak akcyi, jak obligacyi, zainteresowany jest na 1,456 milionów rubli metalicznych i 350 milionów rubli papierowych. Nie poręczonych jest tylko 156 milionów rubli metalicznych. Prócz tego, towarzystwa kolejowe, za dopłaty skarbu z tytułu kuponów od akcyi i obligacyi, łącznie z procentami i karami za poniesione wypłaty przez skarb, dłużne są skarbowi 349 milionów rubli metalicznych i 568 mil. rubli papierowych.

Rezultat finansowy wyzyskiwania sieci dróg w państwie przedstawia się w sposób następujący:

Rok	długość sieci wiorst	Dochód z towarów	Dochód z pasażerów	Zapłacił pasażer przeciętnie	Zapłacił jeden pud towaru małéj szybkości
		tysiące rs.			
1878	20.473	164.104	51.111	—	6.41
1879	21,101	161.313	45.111	—	6,54
1880	21.226	142,027	43.017	—	6.21
1881	21,262	151.306	42.984	123.64	6.07
1882	21.593	164,635	45.240	120.56	6.09
1883	22,215	180,298	45.846	120.80	6.07
1884	23,039	178.619	45.202	118.49	6.10
1885	24,041	190.034	44.341	116.77	6,10
1886	24.508	175.900	43.895	114.72	5.84
1887	25,367	203.322	44.096	114.41	5.93
1888	26.133	226,271	47.289	108.85	5,77

Z powyżéj przytoczonych danych, dowiadujemy się, że skarb pośrednio i bezpośrednio zainteresowany jest w organizmie kolejowym na sumę 1,805 mil. rubli metalicznych i 936 milionów kredytowych. Organizm ten daje dochodu *brutto* w 1888 r.— 273,560,000 rubli a *netto* 123,325,000 rubli.

Otóż z czysto fiskalnego punktu widzenia organizm kolejowy, to dłużnik skarbu, który najmniejszym kosztem winien być utrzymany przy życiu. Zamiast wchodzić w rozbiór pytania, jakie okoliczności złożyły się na dzisiejsze położenie kolejnictwa w stosunku do skarbu, dlaczego jedne jego organa rozwijają się prawidłowo, drugie stale nie domagają, zamiast stosować środki ożywcze w postaci np. obniżenia opłat za przewóz towarów i pasażerów w ruchu lokalnym i bezpośrednim, i drogą doświadczalną dojść do ulżenia skarbowi w dopłatach, obrano inne metody postępowania. Starają się usunąć konkurencyę między drogami, przejąć od dróg bogatszych pewną ilość transportów na drogi uboższe, ujednostajnić koszta przewozu,—zredukować opłaty przy transportach pewnych towarów na wielkich odległościach, podnieść opłaty od innych towarów, mianowicie od takich, które jakoby mogą podrożenie opłat wytrzymać i t. d. Zapewne, prowadzona dzisiaj bardzo ściśle i śpiesznie statystyka ruchu towarowego pozwoli szybko poprawić omyłki, jeśli popełnione zostaną.

W związku z takiemi staraniami widzimy kombinacye na budowę nowych dróg wewnątrz państwa ze staremi, dobrze pracującemi towarzystwami, jak np. z drogą Moskiewsko-Riazańską i Riazańsko-Kozłowską, budowę drogi przez Ałatyr do Kazania i z drogą Kursko-Kijowską o drogę do Woroneża, niezależnie od olbrzymiego dzieła budowy drogi syberyjskiéj; — zatém departament zdaje sobie sprawę z doniosłego znaczenia sieci kolejowéj dla gospodarstwa narodowego, wiedzą tam dobrze, iż różnicę w dochodach skarbu państwa, między sumą około 400 milionów rubli w 1866 r. i około 900 milionów rubli w 1890 roku przedewszystkiém rozwojowi ekonomicznemu przypisać należy, który przez ułatwienie komunikacyi nastąpił. Lecz nie sam fakt istnienia komunikacyi starczył na wprowadzenie życia ekonomicznego na nowe tory, nie samo przyśpieszenie wymiany bogactw stanowi o przyroście tychże,— ważną bardzo okolicznością jest koszt wymiany. Czynnikiem zniżki kosztów wymiany była konkurencya między drogami, dziś pod władzą departamentu zupełnie wykluczona. Dziś departament o potrzebie obniżenia opłaty kolejowéj, zanim na nią się zgodzi, pragnie być przekonanym, że istnieje np. tańsza komunikacya wodna, że dany towar może być końmi przewieziony na pewnéj przestrzeni taniéj, niż koleją i że faktycznie transporty końmi

odbywają się, że wytworzenie danego artykułu tyle a tyle kosztuje w danéj miejscowości, że więc przy opłacie istniejącéj towar ów nie może dosięgnąć miejsca spożycia i t. d. Ponieważ zbiéranie danych statystycznych wogóle jest rzeczą dosyć nową, przeto dla uzasadnienia żądania obniżki opłat, ciężko, lub niepodobna argumentować cyframi. Prywatne biura statystyczne nie istnieją, do urzędowych biur ludzie prywatni nie mają dostępu: w jakiż więc sposób przekonywać departament, że np. taryfa przewozowa na węgiel kamienny od Sosnowca do Łodzi, lub do Warszawy, jest zbyt wysoka? Może porównanie starczy za argument. Wszak ze stacyi Jasienki drogi moskiewsko-kurskiéj do Moskwy, o 206 wiorst, kosztuje przewóz węgla kamiennego rs. 17,06 od wagonu. Ta sama przestrzeń u nas kosztuje na dr. warsz.-wiedeńskiéj 4,44 od puda, rs. 27,84 od wagonu, bez dodatkowych opłat.

Przy innéj sposobności rozpatrzymy się szczegółowo w tym przedmiocie najwyższéj doniosłości dla krajowego przemysłu i rolnictwa.

Czynności departamentu, jak już powiedzieliśmy, rozpoczęły się od przebudowania całego gmachu taryfowego, a na pierwszym planie znalazły się taryfy na zboże i produkta zbożowe, jak mąka, otręby, kuchy. Ustanowiono więc dla tego działu taryfy eksportowe i taryfy komunikacyi wewnętrznéj na podstawie tak zwanéj formuły.

Formuła brzmi: po $^1/_{21}$ z puda i wiorsty za odległości od 1 do 360 wiorst z rabatem 10% ponad 200 wiorst; za odległość od 361 do 1,500 wiorst tyle, co za 360 wiorst, a po nad 360 wiorst po $^1/_{80}$. Za odległość od 1,501 do 3,000 wiorst tyle, co za 1,500 wiorst, a odległości dalsze po $^1/_{200}$ z puda i wiorsty. Dalsze odległości ponad 3,000 wiorst darmo.

Przytoczona metoda, jakkolwiek zmudna dla obliczania, szczególniéj przy uwzględnianiu zasady podziału opłaty za przewóz między drogami, biorącemi udział w przewozie, bo transport winien iść po linii najkrótszéj, a kierunki konkurencyjne pobiérają pewne wynagrodzenia,—daje możność łączenia bezpośrednią komunikacyą wszystkich stacyi sieci dróg państwa ze wszystkiemi stacyami téj sieci, — i to stanowi jéj stronę dodatnią. Natomiast bardzo ujemnie wpływa na stosunki wytwórcze i handlowe wszystkich okolic bliżéj portów i zachodniéj granicy państwa położonych. Formuła bowiem udziela pewną premię okolicom wschodnim, np. nad Wołgą i za Wołgą leżącym, kosztem rolnictwa kresów zachodnich. Zrozumiemy to, jeżeli uprzytomnimy sobie, że transport zboża z Ufy do Warszawy rs. 207,27, do Łodzi, do Częstochowy, Radomia i Aleksandrowa kosztuje jednakowo

rs. 208,49 za 2,679 wiorst do Warszawy i dalej 213 wiorst do Aleksandrowa, gdy rolnik z pod Ostrowca płaci za przewóz takiego samego wagonu do Radomia (82 w.) rs. 20,84, do Lublina (202 w.) rs. 50,83, do Włocławka (304 w.) rs. 69,54, do Sosnowca rs. 54,44.

Naturalną korektywą formuły musiałoby być zniżenie opłat w ruchu miejscowym za przewóz zboża na kresach zachodnich, a przedewszystkiem wykreślenie z produktów zbożowych, korzystających z taniego przewozu podług formuły i z przewozu podług taryf wywozowych, mąki sprowadzanej na potrzeby miejscowe.

Niechby się pozostała mąka w taryfach dla eksportu, lecz dlaczego ma być faworyzowane młynarstwo nad Wołgą, kosztem młynarstwa na kresach, tego pojąć nie możemy [1]). Wyczerpujące studya nad młynarstwem i produktami młynarstwa dostarczyły mnóstwo danych bardzo ciekawych. Pokazało się bowiem, że nietylko młyny na kresach, lecz i młyny w środkowych guberniach w Jelcu, Liwnach i t. d., cierpią dotkliwie skutkiem ujednostajnienia opłat za przewóz mąki i pszenicy, lecz mamy już dziś dowody, że pomimo obniżenia opłat od przewozu mąki z gubernii nadwołżańskich, wywóz zagranicę tego fabrykatu nie podnosi się wcale, a jeśli się jeszcze w statystyce wywozowej napotyka, to jedynie dzięki portowym młynom.

Po ustanowieniu taryf zbożowych wydano formuły dla przewozu koni wyścigowych i stadnych tak w pociągach towarowych, jak pasażerskich, dalej wydano formułę na przewóz bydła rogatego na rzeź przeznaczonego między stacyami dróg, wzdłuż których zamknięte zostały trakty bydlęce. Nowe taryfy na przewóz soli, lnu, konopi, żelaza, nafty, śledzi, drzewa i t. d. zaprowadzono już, lub są one w trakcie zaprowadzenia, a świeżo wydano taryfę na towary tkackie, na przędzę wszelkiego rodzaju.

Br. Werner.



---

[1]) Dlaczego mąka nie powinna korzystać z tej samej skali opłat przewozowych, jak zboże, odsyłamy ciekawych do broszury p. H. Braesicka, „Die Reform der Eisenbahngütertarife.“ Berlin, 1890, str. 147.



KWESTYA MURZYŃSKA

W STANACH ZJEDNOCZONYCH.

Są przed ludzkością zagadnienia odwieczne, dręczące ją jak zmora do odegnania niepodobna. Próżno chcielibyśmy uważać je za raz na zawsze załatwione i usunięte z porządku dziennego: wystarczy rozejrzeć się bliżéj nieco w istniejących stosunkach, aby nabrać przeświadczenia, że się zmieniły może pod wielu drugorzędnemi względami, ale że ich rdzeń istotny pozostał, pomimo wysiłków potężnych a wytrwałych—nietkniętym.

Do rzędu takich zagadnień należy murzyńskie w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnéj. Ćwierć wieku już upłynęło od czasu, jak wielka rzeczpospolita zamorska, po czteroletniéj wojnie domowéj, wojnie olbrzymów, wyzwoliła murzynów, nadała im swobodę osobistą i prawa obywatelskie. Cały świat cywilizowany przyklasnął wówczas téj emancypacyi, temu równouprawnieniu i wysławiano wśród retorycznych fajerwerków, ów ostateczny tryumf światła nad ciemnością, postępu nad barbarzyństwem. Humanitaryzm szeroki, filozoficzny, zarówno jak i powierzchowny, płytki sentymentalizm zwróciły się następnie w innym kierunku i przestały się troszczyć o czarnoskórych obywateli amerykańskich. Zdawało się, że już nie potrzebują odsieczy, a jeżeli dochodziły nas z za morza wieści, że różnice istniejące pomiędzy białą a czarną rasą nie zatarły się bynajmniéj, że antagonizm trwa, że położenie murzynów jest zawsze trudne, a często nie do zniesienia, że porządkowi publicznemu grożą niebezpieczeństwa coraz bliższe, to z optymistyczną wiarą odwracaliśmy się od dni dzisiejszych do jutrzejszych, oczekiwaliśmy od nich, że będą w stanie zniweczyć ostatnie pozostałości dawnych uprzedzeń i przesądów

i utrzymywaliśmy naiwnie, że idealne braterstwo utrwalić się na drugiéj półkuli nieomieszka.

Ale w naszych czasach, gdzie iluzye, i najszlachetniejsze, rozbijają się o opokę pozytywizmu, w wieku szybkich, dokładnych i wszechstronnych informacyi nie było możliwém, ażeby się badającemu światu nie otworzyły oczy na istotny stan rzeczy w kwestyi rasowéj po drugiéj stronie Atlantyku. W chwili gdy na afrykańskim półwyspie, na klasycznym czarnym kontynencie, rozpoczyna się krucyata za zniesieniem niewolnictwa, naturalnym zwrotem spojrzano do Ameryki i postawiono sobie pytanie, jak też tam stoi kwestya murzyńska po dostatecznym peryodzie nowych doświadczeń i jakie rezultaty dała emancypacya. I w odpowiedzi, Europa dotąd lekceważąco spoglądająca na tamtejsze stosunki, nie przywiązująca wielkiéj wagi do polemik, toczących się bez najmniejszéj przerwy pomiędzy zapaśnikami dwóch nieprzyjacielskich obozów, usłyszała głosy rozmaite, nawał faktów i danych statystycznych, lecz wszystkie były zgodne na jednym punkcie, wszystkie udowodniały, że ferment społeczny jest posunięty daleko, że zastęp chmur gromadzi się i że nie długo— a znowu kwestya murzyńska stanie przed światem domagając się rozwiązania.

W skutek tego przeświadczenia najprzedniejsze organa prasy peryodycznéj zachodu zaczęły podawać w ostatnich kilku miesiącach interesujące sprawozdania. Niektóre organa pierwszorzędne, jak np. londyński *Times*, wysłały do Stanów Zjednoczonych specyalnych korespondentów, niby rekonesans na przyszły plac bojowy. Nie brak już tedy świeżych materyałów do streszczenia stanu téj sprawy i sądzimy, że chociaż oddalona, nie będzie ona całkiem obojętną dla czytelników naszych.

Obliczenie ludności w Stanach Zjednaczonych odbywa się regularnie co lat dziesięć. Właśnie odbyło się ono w roku przeszłym i chociaż ogólna cyfra mieszkańców jest już znana — 62,480,540 — to brakuje jeszcze wszystkich szczegółów, a między innemi stosunkowych cyfr ludności białéj i czarnéj. Ale jakiekolwiek będą te dane, nie można wątpić ani na chwilę, że potwierdzą one objaw normalny, już po razy dziesięć się powtarzający, mianowicie, że rasa murzyńska wzrasta daleko szybciéj od białéj. Biorąc jako punkt wyjścia cztery stany: Wirginią, Karolinę północną, południową i Georgią, których ludność była po raz pierwszy obliczona przed stu laty, w 1790 r. znajdujemy, że ludność biała wzrosła z 923,385 do 2,956,111, a ludność murzyńska z 549,597 do 2,492,358, czyli, że pierwszych przybyło o 220, a drugich o 353%, mimo tego, że emigracya murzynów nie wzrasta, a wzrasta bez przerwy u białych. Porównywając ośm mu-

rzyńskich stanów od czasu pierwszych obliczeń ludności z ostatniém, szczegółowém, przedsięwziętém w 1880 r., widzimy, że ludność murzyńska, stanowiąca 38% całéj liczby mieszkańców, stanowi jéj teraz 48%. W 1860 r. w ośmiu stanach murzyńskich liczba białych była jeszcze o pół miliona większą; w 1880 r. stoją już dwie rasy na równi, a prawdopodobnie obecne obliczenie wykaże liczebną przewagę czarnych. Całkowita ich liczba wynosiła w Stanach Zjednoczonych przed dziesięciu laty 6,580,793. Ponieważ jednak dwie trzecie téj rasy, t. j. 4,353,097, zamieszkują ośm Stanów południowych, i tam w ciągu kilku dziesiątków lat niewątpliwie stanowić będą większość liczebną, zatém jest oczywiste, że w téj części rzeczypospolitéj kwestya rasowa nabrała i nabiéra z każdym rokiem większego znaczenia. Ponieważ ustawa Stanów Zjednoczonych stanowi, bez żadnego uwzględnienia różnicy rasowéj, iż rząd należéć winien do większości, zatém obecnie już w niektórych, a może z czasem i we wszystkich Stanach, rząd należéćby powinien do murzynów. Ojczyzna Washingtona, najpierwszy, najbardziéj postępowy z państwowych organizmów świata nowoczesnego, nieunikniona losów koleją musiałby stać się murzyńskiem! Ci nawet, którzy swego czasu przyklaskiwali utworzeniu rzeczypospolitéj murzyńskiéj w Liberyi, wzdrygają się nad tą hypotezą nowéj, polepszonéj jéj edycyi i zdają sobie sprawę z cywilizacyjnego, z ogólnie ludzkiego znaczenia, z następstw téj ewolucyi rasowéj.

Ażeby rozebrać tę ważną sprawę z całą przynależną jéj bezstronnością, lepiéj jest zostawić tę ostateczną, wysoce dramatyczną, ale widocznie oddaloną jeszcze ewentualność przejścia Stanów Zjednoczonych do rasy murzyńskiéj, zupełnie na uboczu, a zająć się wyłącznie stosunkami w Stanach południowych, tam, gdzie rasa czarna posiada już faktyczną większość i tych, gdzie ją posiądzie niebawem. Klimatologicznie strefa ta sprzyja im téż bardziéj i zajmują się tam oni prawie wyłącznie rolnictwem i plantacyami, biorąc w posiadanie doliny i płaszczyzny, kiedy tymczasem rasa biała szczepu anglosaksońskiego oddaje się po miastach handlowi i przemysłowi, a w okręgach górskich, kopalnictwu. Ale i po miastach szybki wzrost murzynów popycha ich do rzemiosł coraz więcéj i wyciska z wszystkich drobniejszych osad żywioł biały, któremu nie zostają inne alternatywy, jak udać się na północ, gdzie konkurencya życiowa staje się uciążliwą, albo zająć się kolonizacyą w bezmiernych puszczach Far-Westu. Skoro nie można przewidzieć żadnych nowych dotąd czynników rozwojowych, to trzeba przyjąć jako nieuniknione owe słynne przewidywanie statystyczne prof. Gillan; sprawdziły się one dotąd całkowicie, a więc sprawdzić się mogą i w przyszłości. W ośmiu da-

wnych stanach niewolniczych, będzie za ćwierć wieku, około 1920 roku, tylko 9,400,000 białych, a za to 17,400,000 czarnych mieszkańców!

Mając takie widoki przed sobą, rasa biała, uważając się za wyższą, za doskonalszą, za jedyną przedstawicielkę cywilizacyi i postępu, uznała za właściwe, za konieczne, bronić się przeciwko rasie czarnéj. Ażeby stanowisko to ocenić, my, Europejczycy, powinniśmy się wyrzec wszystkich teoretycznych ogólników, a postawić się w pełnym prądzie walki toczącéj się pomiędzy dwoma czynnikami, a walki bez możliwego zawieszenia broni. Jest to dla Amerykanów białych kwestya bytu, a wiadomo, że gdy o nią chodzi nie zwykli oni przebiérać w środkach i pisane prawo lekceważą bez najmniejszego skrupułu, Z góry można być przygotowanym, że się spotkamy z gwałtami, nadużyciami i tyranią. Nie podobna nam, zaprawdę, sympatyzować z nimi, ale im głębiéj wniknie się w naturę istniejących stosunków, tém jaśniéj staje przed badaczem tragiczna, ale nieunikniona ich konieczność, jako środków wojennych.

Nie idzie o byt rodzinny, przypominamy, bo żadna rodzina biała nie przypuszcza nawet możliwości łączenia się węzłami małżeńskiemi z murzynami i spogląda jak na waryatów na ideologów, którzy marzą o zlaniu się dwóch ras w jedną, mieszaną; nie idzie także o byt towarzyski, bo tak samo obecnie, jak i przed zniesieniem niewolnictwa, są odrębne dla każdéj rasy kościoły, szkoły, teatry, powozy przy pociągach na drogach żelaznych i t. d., a zatém żadnéj styczności jako uczestników jednego ustroju społecznego; ale idzie o rozstrzygnięcie zagadnienia, jak uorganizować współistnienie dwóch ras, bez gwałcenia prawa i sprawiedliwości.

Za punkt wyjścia służy aksyomat o różnicy rasowéj pomiędzy białymi a murzynami i o płynących stąd etycznych i intelektualnych następstwach.

Że różnice te istnieją i że są wybitne, nie ulega wątpliwości. Murzyni mają ręce o parę cali dłuższe, czaszkę grubszą, oko żółte, nos płaski, szczęki wydatne, włosy podobne do wełny, skórę aksamitną, grubszą i wydzielającą zapach specyalny, nogę płaską i trzymają się nie prosto jak biali, ale pochyło. Najwydatniejsze jednak są różnice, tyczące się budowy głowy. Camper jeszcze obliczył kąt twarzy na 100 u posągów greckich, na 80 u rasy białéj, na 75 u żółtéj, na 70 u czarnéj, a na 65 u małp. Murzyni stoją tedy bliżéj małp, niż rasy białéj. Dzisiejsze badania antropologiczne nie przywiązują wprawdzie do kąta twarzy pierwszorzędnego znaczenia, a mianowicie nie wnioskują z jego rozwartości o wysokości i rozmiarach inteligen-

cyi, ale i co do objętości i co do ciężkości mózgu zaznaczyły różnice, których lekceważyć nie podobna. Z doświadczeń p. Broca wykazało się, że kiedy mózg u rasy białéj waży przeciętnie 1403 gr., u murzynów waży on zaledwie 1316 gr. Spostrzeżenia i doświadczenia antropologów współczesnych nie są jeszcze ani dość rozstrzygające, ani jednobrzmiące, ażeby bez wahania można było przyjąć jedną z dwóch hypotez, które dzielą świat naukowy, hypotezę transformizmu i hypotezę ewolucyi. Potrzeba będzie jeszcze długich i ścisłych badań, aby dojść do zupełnéj pewności pod tym względem. Ale nie chodzi tu o rozstrzygnięcie sporu naukowego. Czy się będziemy przechylać do liberalniejszych i optymistycznych zapatrywań p. Quatrefage, czy do pesymistycznych sir Johna Lubbock, czy nakoniec staniemy na stanowisku pośredniém w gronie światłych przedstawicieli którego wystarczy wymienić prace dra Karola Amat, to nic nie da zniweczyć faktu, że fizycznie charakter etniczny rasy białéj i rasy czarnéj są odrębne, że pierwsza jest doskonalsza i bardziéj zbliżona do ideału, jaki sobie postępowa ludzkość utworzyła o plastycznéj piękności. Piszący przypomina sobie, iż miał sposobność spotkać w Londynie, w salonie jednego z arystokratów angielskich, hrabiego Essex'a i brata jego, sir Adolphusa Cappel, zagorzałego pastora amerykańskiego, który z niestrudzonym zapałem i przy wielkim zapasie cytat biblijnych starał się udowodnić, że murzyni są dyabłami, nie zaś ludźmi. Można jednak i tę teoryę o dyabelskiéj naturze, tak samo, jak daleko bardziéj rozpowszechnioną w broszurach i pamfletach amerykańskich teoryę o małpiéj ich naturze zostawić, jako anty-naukową, na stronie. Uznane przez antropologię różnice zasadnicze wystarczają do zrozumienia przedziału, jaki istnieje i istnieć będzie raz na zawsze pomiędzy rasą białą a murzyńską w Ameryce.

Jakie następstwa pod względem moralnym i intelektualnym pociąga za sobą ta różnica? oto kwestya pierwszorzędnéj a niezaprzeczonéj wagi. Nie mamy ani miejsca, ani powodu wchodzić w rozmaite szczegóły niezmierzonéj dyskusyi, ciągnącéj się od lat wielu. Przyjmując jako nieulegające wątpliwości świadectwa, podane nawet przez gorących zwolenników murzynów, dochodzimy nieuniknienie do wniosku, że rasa czarna jest wrażliwsza, bardziéj instynktami, aniżeli rozumem prowadzona, namiętniejsza i gwałtowniejsza od białéj, że nie rozwija się z postępem lat, ale przeciwnie, z najbardziéj obiecującego i pełnego bystrości i żywości dziecka wyradzają się po dojściu do pełnoletności natury tępe i jakby skamieniałe. Wrodzonemi ich skłonnościami, które najstaranniejsze wychowanie osłabia, ale nigdy nie niweczy zupełnie, są lenistwo, łakomstwo, kłamliwość, popęd do kra-

dzieży. Zmysłowość murzynów, wysoce rozwinięta, jest górującą stroną ich temperamentu. Najpobłażliwiéj wyrażając się o téj rasie, można powiedzieć, że są to natury bierne i że traktować ich i kierować nimi należy, jak dziećmi. Zbytecznem byłoby dodawać zapewne, że wyjątki pod względem intelektualnego rozwoju, tak jak i moralnego poziomu, mogą postawić jednostki na wyżynach, ale nie są w stanie wpłynąć na sąd o ogólném piętnie całéj rasy.

Ci, którzy przeciw wyrokowi temu protestują, utrzymywać zwykli, że nie zrobiono dotąd dostatecznych wysiłków dla rozwinięcia umysłowéj i moralnéj strony murzynów i że się nie ma jeszcze prawa wydawać o nich sądu stanowczego. W odpowiedzi na ten zarzut wskazać można nietylko liczne, doskonale uorganizowane, wzorowe szkoły techniczne, filologiczne, matematyczne, kolegia i nawet uniwersytety utworzone dla murzynów od lat dwudziestu, ale można przytoczyć jako przykład murzyńskie państwa San-Domingo i Liberyę. W pierwszém, mimo 90-letniego samorządu i cywilizacyjnego działania Francyi, ani oświata, ani moralność nie wzniosły się do wyższych szczebli: 70% dzieci nie umié czytać i stosunek pomiędzy dziećmi nieprawemi a prawemi jest większy, aniżeli w jakimkolwiek normalnym organizmie państwowym, a pomimo wpływu chrześciaństwa i jego kilkopokoleniowych tradycyi, najdziksze zabobony pogańskie tkwią w głębi tych dusz zasklepionych. Jeżeli tedy nawet przez kilkowiekową kulturę uda się odrodzić i przeistoczyć naturę moralną i umysłową murzynów, to argument ten w żaden sposób wchodzić nie może do współczesnych kombinacyi.

Amerykanie w odpowiedzi na filantropijne deklamacye orędowników całkowitéj równości pomiędzy rasą czarną a białą, mają cały szereg faktów historycznych, datujących się z epoki heroicznéj téj idei, to jest po przeprowadzonéj emancypacyi murzynów, kiedy się rozgorączkowanym umysłom zdawało możliwém równouprawnienie to urzeczywistnić. Gdy się czyta szczegóły wypadków, których teatrem były stany niewolnicze między r. 1867 a 1876-ym, a w szczególności południowa Karolina i Georgia, rozumié się z łatwością wstręt, jaki obywatele wolnéj Ameryki czują do téj epoki, noszącéj w domowych ich dziejach charakterystyczną nazwę „*prostrate State*“. Nadużycia potworne, jakie się działy w izbach prawodawczych, w parlamentach, w całéj hierarchii administracyjnéj, są istotnie nie do pojęcia. I tak w izbie reprezentantów Nowéj Karoliny, gdzie w pośród 124 członków było tylko 23 białych, przekupstwo, złodziejstwo, frymarczenie publicznym groszem doszło do fantastycznych granic. Deputowani tarzali się literalnie w zbytkach, wydawali sta tysięcy na piwnice i restaura-

cye izby, która ich żywiła i poiła, podatki z 400,000 dolarów podniesione zostały do 2,000,000, i nie było wybryku, tak jak nie było moralnéj hańby, podłości, przekupstwa, którejby nie popełnili. Cała administracya zapełniona była łotrami, a jaki był ich moralny dyapazon, to dostatecznie opowiada ten fakt, że p. Moses, generalny gubernator i pierwsza urzędowa osobistość Nowéj Karoliny w 1872 r., został następnie skazany na kilkomiesięczne więzienie za rozmaite fałszerstwa i oszustwa, a ostatecznie za kradzież paletotów w hotelu Nowego Yorku! Istotnie, niepodobna postępować sobie gorzéj, aniżeli postępowała sobie w czasie owego dziesięciolecia owa rasa, upojona naraz swą nieograniczoną swobodą i rzucająca się do materyalnego używania z zapędem, który o cynizm nawet nie ma się prawa oskarżać: działały tam tylko instynkta, nie zaś rozumowania. Nic dziwnego, że wśród tych, którzy padli ofiarą téj orgii, zrodziły się niepodobne do stłumienia zarody reakcyi.

Stany Zjednoczone Ameryki Północnéj popełniły po zniesieniu niewolnictwa, instytucyi hańbiącéj ród ludzki, ten sam błąd, który uczyniła demokratyczna Francya, zaprowadzając u siebie głosowanie powszechne od razu, bez należytego przygotowania, bez oświaty znacznie rozwiniętéj i powiększonego dobrobytu wśród mas. We Francyi jesteśmy od kilku dziesiątków lat świadkami konwulsyjnych podrygów téj masy, posiadającéj narzędzie, którém posługiwać się nie umié; w Stanach Zjednoczonych nadanie najrozleglejszych praw politycznych i obywatelskich rasie murzyńskiéj, która dotąd zostawała w niewolnictwie, jest, ze stanowiska empiryzmu politycznego, czynem prawie niepojętym.

Jak wiadomo, prawnie, murzyni znajdują się w zupełnie tém samém położeniu, co ich starsi bracia, biali. Artykuł XV-ty dodatkowy ustawy konstytucyjnéj amerykańskiéj brzmi: „Prawo obywateli Stanów Zjednoczonych wotowania nie może być zniesione, ani téż ograniczone w Stanach Zjednoczonych, ani żadnym pojedyńczym stanie ze względu na rasę, kolor, ani uprzednie warunki niewolnictwa.“ Tak brzmi prawo, ale ponieważ narzucone i wymuszone ono zostało przez zwycięzką północ na zwyciężoném południu, zatém przewidzieć można z góry, że nie jest ono przestrzegane, ale przeciwnie, gwałcone, o ile to tylko jest możliwe. Z początku ludność biała z rewolwerami w ręku wzbraniała murzynom dostępu do urn wyborczych. Utworzono w Texasie i Wirginii *rifle clubs*, których jawnie oznaczonym celem było strzelać, jak do zwierząt szkodliwych do murzynów, którymby się podobało ze służących im praw korzystać. Po gwałcie nastąpił podstęp i fałszerstwo. Pod tym względem republikańskie wła-

dze Stanów Zjednoczonych odniosły nawet palmę pierwszeństwa nad prefektami i merami Francyi za drugiego cesarstwa, i do zrozumienia to łatwe, biorąc na uwagę, że tu nie jednostki, ale tysiące jednozgodnie dopełniały tych fałszerstw. Niszczenie buletynów wyborczych, złożonych przez murzynów, wskazywanie im fałszywych urn, zamienianie takowych, wykreślanie wyborców z list, obliczanie buletynów w nieobecności interesowanych, bezczelne ogłaszanie cyfr wręcz przeciwnych prawdziwym, były zjawiskami codziennemi, zwykłemi, które nawet nie pokrywano milczeniem. Przekupywanie murzynów pieniędzmi, albo upajanie ich i prowadzenie bezprzytomnych do urn wyborczych trafiało się także, ale nie było powszechnie przyjęte, jako zbyt kosztowne i wymagające zachodów. Daleko snadniéj przychodziło zniweczyć głosy téj ewentualnéj opozycyi i otrzymać przy udziale murzynów ciała wyborcze takie, jakieby powstawały bez ich udziału.

Sceptycy polityczni uśmiéchną się może nad tym figlem, płatanym rasie niezaprzeczenie niższéj i upośledzonéj, ale każdy, kto ma najelementarniejsze pojęcia o moralności prywatnéj i społecznéj, nie jest w stanie powstrzymać swego oburzenia i energicznéj protestacyi przeciw takiemu systematowi obchodzenia prawa. Gdy się od praw czysto politycznych przechodzi do innych, do władzy sądowniczéj, mającéj strzedz bezpieczeństwa i własności obywateli, i wymierzać im sprawiedliwość, to spotykamy tu na każdym kroku lekceważenie życia, praw i własności murzynów, gdy stają w kolizyi z interesami rasy białéj. Ci, którzyby chcieli zebrać zapas najskandaliczniejszych, najpotworniejszych faktów pod względem nadużyć władz sądowych, znajdą je w świéżo ogłoszoném dziele wielkiego amerykańskiego pisarza, Jerzego W. Cable, *The silent South.* Nietylko tedy prawa polityczne, ale najpierwsze, najnieodzowniejsze, najświętsze prawa cywilne rasy czarnéj są ciągle i bez żadnego sromu gwałcone przez rasę białą. Chociaż tedy pod względem sanitarnym, albo na polu oświaty publicznéj zrobiono w ciągu ostatnich lat kilkunastu dla murzynów wiele, nie da się zaprzeczyć, że położenie ich jest straszne, okropne i że czuć się muszą tém bardziéj nieszczęśliwi, im się więcéj umysłowe i moralne strony ich natury wykształcają. Widzą przed sobą mur, którego nigdy nie będą w stanie przekroczyć i naturalnie rodzi się pytanie, czy nie będą woleli go zburzyć do szczętu! Właśnie dlatego, że posiadają osobistą swobodę, że posiadają prawo własności i że wielu z nich potrafiło dojść nietylko do zadawalniającego położenia majątkowego, ale nawet do bogactw, czuć muszą dotkliwiéj wyrządzane im na każdym kroku niesprawiedliwości i oburzać się na prześladowania, na

które są wystawiani. Nigdy *fatum* starożytne nie ciężyło boleśniéj, dotkliwiéj nad wyklętemi plemionami, jak cięży ono nad tą siedmiomilionową rasą, znajdującą się w pośród swobodnego i wysoce rozwiniętego społeczeństwa na tych samych, co ono, prawach, a nie będące w stanie wyciągnąć z nich korzyści, w czyn je wprowadzić.

Tak jak problemat murzyński stoi obecnie w Stanach Zjednoczonych, zdaje się on być bez wyjścia. Istotnie, z jednéj strony rasa biała nie dozwala czarnéj używać praw jéj saméj służących, z drugiéj nawet największe postępy oświaty i moralności nie będą w stanie skruszyć wstrętu nieprzezwyciężonego, jaki do czarnych uczuwają biali. A dodając do tego endemicznego stanu coraz większy wzrost rasy murzyńskiéj, niepodobieństwo wytworzenia rasy mieszanéj pomiędzy obu antagonistami, nie można przekroczyć zaklętego koła, w którém jest miejsce tylko na starcia i katastrofy, a u szranek którego konają i sprawiedliwość i uczucia humanitarne. Byli pisarze, którzy w przystępie szału upajali się myślą o rzezi, którąby jednym zamachem całą tę rasę wyklętą zgładziła. Nie należy do tego rodzaju chorobliwych wybryków wyobraźni rozbisurmanionéj przywiązywać innego znaczenia, jak symptomatyczne. Lecz po zbadaniu wszystkich okoliczności i warunków społecznego bytu w Stanach Zjednoczonych, musimy dojść do następującego wyniku: skoro wspólne pożycie na téj saméj przestrzeni, w tym samym organizmie towarzyskim, społecznym i państwowym nie jest możliwe, skoro niebezpieczeństwo się wzmaga z każdym rokiem, to należy przystąpić do rozwodu, do rozłączenia stanowczego pomiędzy białą a czarną rasą.

Łatwo nam zrozumiéć, że ci wszyscy, dla których kwestya ta jest nową, zaczną od wykrzyku litości, albo od ironicznego naśmiewania się nad takiém rozwiązaniem trudności, i łatwo nam przewidziéć zarzuty, z jakiemi wystąpią. Cisną się one rzeczywiście zwartym szeregiem. Najprzód jest widoczném, iż rozłączenie pomiędzy anglosakońskimi 52-ma a 7-ma milionami murzynów nie może się odbyć w taki sposób, ażeby pierwsi ustąpili drugim w wyłączne posiadanie te ośm stanów, w których ci ostatni posiadają większość liczebną, ani także nie może być mowy o oddaniu im jakiegokolwiek terytoryum w Far-weście, nawet gdyby się takowy dał znaleść. Sprzeciwiałyby się téj kombinacyi nietylko różnorodne interesa ekonomiczne, polityczne, finansowe, sprzeciwiałaby się jéj jeszcze konstytucya federalna, która uznała unię jako niepodzielną. Lecz walczyłaby przeciw niéj większa jeszcze potęga i siła moralna — sumienie społeczeństwa, głos niezagłuszonéj cywilizacyi, która dobrowolnie nie ma prawa zrzygno-

wać przed dziczyzną i oddać jéj jednę piędź ziemi, dla sprawy postępu przez najczystszą rasę już raz zdobytą.

Gdy się mówi o rozłączeniu, rozgraniczeniu stanowczém, ostatecznem, niepowrotném pomiędzy białymi a czarnymi, to nie może być mowy o czém innem, jak o przesiedleniu tych ostatnich do innych krajów i stref, o emigracyi narodu całego za dalekie morza, o egzodzie takim, jakiego nowożytne nie znały dzieje i którego pierwowzoru szukać trzeba w biblijnych tradycyach i w starszych jeszcze legendach azyatyckich. Zadanie to olbrzymie, zdumiewające, nie przeczymy, ale po bliższém rozpatrzeniu bynajmniéj nie należące do niemożliwych.

Przedewszystkiém postawić należy pytanie, czy rasa murzyńska zgodzi się opuścić obecną swą ojczyznę, czy są środki materyalne do zastąpienia jéj braku i do wprowadzenia w czyn egzodu, a nakoniec, gdzie tę emigracyą dobrowolną lub przymusową kierowaćby należało.

Pytanie, czy rasa murzyńska zgodzi się na emigracyą, nie może naturalnie znaleść odpowiedzi ścisłéj, gdyż urzędownie propozycya tego rodzaju uczynioną jéj nie zostanie. Anglo-saksońscy obywatele w południowych Stanach ograniczają się do takiego utrudnienia bytu murzynom, tak im dokuczają i poniewierają nimi, że życie im zbrzydnąć musi i że w danéj chwili żadnéj ostateczności się nie ulękną i opuszczając kraj ten macoszy, strząsną proch ze swych sandałów. Jeżeli jednak nie ma jeszcze żadnego faktycznego dowodu, że tego rodzaju przedsięwzięcie znajdzie u masy murzyńskiéj przyjęcie przychylne, to są już różne głosy pojedyńcze ludzi wpływowych, które ich do emigracyi namawiają. Pastor murzyński, T. S. Lee, przedstawia w kazaniach swym pobratymcom rasowym nieuknioną konieczność osiedlenia się w innych krajach; biskup Tanner z Atlanta, w Georgii stał się agitatorem téj saméj idei i z wielu stron przychodzi mu pomoc i zachęta. Ale cały plan ten kiełkuje dopiéro w umysłach mas i trzeba będzie czasu, ażeby wzrósł i dojrzał. Gdyby szło jedynie o przejście granicy, o osiedlenie się w sąsiednim Meksyku, albo w argentyńskiéj rzeczypospolitéj, jak to doradzał komitet emigracyjny, utworzony w 1889 r., to łatwiéjby było można przewidywać wzrost agitacyi w tym kierunku. Ale, jak wiadomo, oba te mocarstwa nie chcą bynajmniéj dać przytułku murzynom i podniosły energiczną protestacyą przeciwko ich przybywaniu i osiedlaniu się wśród swéj rasy miejscowéj. Ponieważ jedynie o emigracyi do Afryki może być mowa, zatém nie można się spodziéwać inicyatywy ze strony murzynów amerykań-

skich do przedsięwzięcia tak trudnego, tak skomplikowanego. Wolno przypuszczać, że nawet gdyby dobrowolnie nie rozpoczęli agitacyi w tym celu, to wesprą w danéj chwili komitety i ciała zmierzające do urzeczywistnienia tego planu.

Na zarzut uczyniony, że emigracya jednorazowa kilkomilionowego narodu wywołałaby bezprzykładne przesilenie ekonomiczne, zwolennicy egzodu odpowiadają piórem profesora Scomp, że trzeba wprawdzie na przesilenie tego rodzaju być przygotowanym, że będzie ono nieuniknionėm, ale że jest sposób ograniczenia szkodliwych jego następstw przedsiębiorąc już z góry środki przechodnie. Jako główne zaleca ten pisarz (patrz w *Forum* za grudź. 1889: *The Race Problem*) parcelacyę wielkich plantacyi bawełnianych pomiędzy drobnych właścicieli białéj rasy i zastępowanie wszędzie pracy ręcznéj murzyna przez maszyny których udoskonalenia ostatnie pozwalają uważać to zagadnienie za rozwiązane. Wprawdzie jest to tylko jedna i drobna część téj kwestyi. Samo z siebie wynika, że ubytek kilkomilionowéj ludności zdezorganizowałby przez czas jakiś ogólną wytwórczość Stanów Zjednoczonych, ale straty stąd przewidywane nie odstraszają tych, którzy spostrzegają w jedności rasowéj jedyne zbawienie narodu.

Przechodząc z kolei do sposobu, w jaki ta emigracya rasy murzyńskiéj mogłaby być dokonana, ma się już pewną ilość nietylko opinii wyrażonych w prasie, ale i propozycyi i bilów przedłożonych senatowi Stanów Zjednoczonych. Senator Butler z południowéj Karoliny zażądał kapitału pięciu milionów dolarów, jako zasiłku dla komitetu emigracyjnego; senator Gibson z Luiziany zaproponował zakupienie terytoryum w Afryce, a senatorowie Morgan z Alabamy i Call z Florydy wnosili projekt zakupienia Kuby od Hiszpanii, dla utworzenia tam rzeczypospolitéj murzyńskiéj. Senator Wade Hampton, wysoce poważana osobistość i dawniéj gubernator Karoliny południowéj, przy rozbiorze bilu senatora Butlera, wyraził zdanie, że zasiłek rządu amerykańskiego jest nieuniknioną koniecznością. Nie ma istotnie opozycyi przeciw téj zasadzie, i północ Unii, chociaż mniéj zainteresowana w téj sprawie, aniżeli południe, nie będzie chciała zrzucić z siebie solidarności państwowéj, gdy cały naród wyraźnie takiéj operacyi finansowéj zażąda. Wiadomo, że rząd Stanów Zjednoczonych nie wié od lat kilku co robić i jak zużytkować nadmiar dochodów, jakie napływają do jego skarbu. Nadmiar taki jest istotném niebezpieczeństwem dla ekonomicznéj przyszłości kraju. Ażeby zużytkować te setki milionów, widzimy przedsiębrane najrozmaitsze kroki prawodawcze, nie wytrzymujące krytyki, jak np. rozdawa-

nie pensyi dożywotnich wszystkim biorącym udział w wojnie secesyjnéj i słyszymy o fantastycznym projekcie utworzenia floty państwowéj, którąby strzegła wód Unii amerykańskiéj. Nie można wątpić, że zamiast w taki sposób marnować ogromne kapitały nieprodukcyjnie, dalekoby słuszniéjszém było obrócić je na indemnizacyjną operacyę murzynów, opuszczających terytoryum stanów raz na zawsze. Rzeczpospolita amerykańska dokonała finansowo rzeczy nadzwyczajnych. Dość jest przypomniéć, że dług jéj po zakończeniu wojny domowéj wynosił 551 milionów funtów szt. i że w przeciągu 25 lat spłacono zeń nie mniéj, jak 364 milionów funtów szter., czyli po 14 milionów f. szt. rocznie. Gdyby część téj sumy, amortyzującéj dług narodowy, obrócona była na operacyę spłaty murzynów, to skarb państwowy nicby na tém nie stracił, a cała sprawa przeprowadzonaby być mogła bez żadnego nadzwyczajnego wysiłku.

W chwili, gdy społeczeństwo amerykańskie, przeświadczone o konieczności dokonania egzodu rasy murzyńskiéj, zawezwie rząd swój do finansowego podtrzymania téj sprawy, środków materyalnych do tego nie zabraknie. Nie potrzeba dłużéj tego wykazywać tak samo, jak zbyteczném byłoby wchodzić w szczegóły, w jakiéj formie i w jakiéj wysokości każda emigrująca rodzina murzyńska zapomogę otrzyma. Wszyscy, zajmujący się tą kwestyą, są jednozgodni co do tego, iż należy postępować szczodrobliwie względem murzynów i umożebnić im dobrobyt w kraju, który się ma stać ich ojczyzną.

A krajem tym nie może być żaden inny, jak Afryka, kolébka i gniazdo ich rasy. Jakiekolwiek będą postępy kolonizacyi europejskiéj na czarnym kontynencie, nie ulega wątpliwości, że wnętrze jego, cała część położona po obu stronach równika nie będzie nigdy sprzyjała pobytowi rasy białéj. Tam tedy na cały ten olbrzymi pas ziemi, ciągnący się pomiędzy Saharą a zwrotnikiem koziorożca, obejmujący niezależne państwo Kongo, Senegambią, Liberyę, Gwineę, Sierra Leone, Gabon, Angolę, Damaraland, Mozambik, Zanzibar, byłoby możliwém ściągnąć emigracyę rasy murzyńskiéj. Chociaż w stosunku do obywateli rasy anglosaksońskiéj w Stanach Zjednoczonych, murzyni przedstawiają żywioł zacofany i do wyższéj cywilizacyi niezdolny, to natomiast, przeciwstawieni autochtonom środkowéj Afryki, będą mogli reprezentować żywioł postępowy. Samo przez się rozumié się, że w tych nowo wytworzonych państwach murzyńskich będą oni mieli zabezpieczoną wszelką swobodę osobistą, prawa cywilne i polityczne, ale, że władza zwierzchnicza należéć będzie

do rasy białéj, wychodząc z zasady, że murzyni traktowani i uważani być powinni jako istoty niepełnoletnie, potrzebujące opieki.

Kwestye organizacyi emigracyi murzyńskiéj po jéj osiedleniu w Afryce, są jeszcze zbyt dalekie, aby było potrzeba obecnie już niemi się zajmować. Każde państwo, któreby ich na terytoryum swoje przyjęło, traktowałoby ich podług obowiązujących u siebie praw. Nie można wątpić, że prawie wszystkie chętnieby powitały napływ ludności murzyńskiéj. Stanley, który jest najwyższą powagą co do środkowo - afrykańskich stosunków w liście otwartym oświadczył, że w samém górném Kongo jest dość miejsca, ażeby się tam osiedliło dwa razy tyle murzynów, ile ich jest w Stanach Zjednoczonych. 350,000 mil kwadratowych z 224,000,000 akrów dziewiczych lasów pozwoliłoby dać 7,000,000 murzynów własności gruntowe nie mniejsze od jednéj ćwierci mili kwadratowéj. Roślinność bujna, rzeki, strumienie, urodzajne grunta, klimat zdrowy, jedném słowém wszystkie warunki tam istnieją do kolonizacyi łatwéj i korzystnéj. To co Stanley mówi o górném Kongo, dałoby się pod wielu względami powiedziéć o innych wyż wymienionych częściach Afryki środkowéj.

Ale zdanie Stanleya ma jeszcze powagę inną w skutek stosunków istniejących pomiędzy nim a królem Leopoldem II belgijskim, władzcą kraju niezależnego Kongo. Są już fakta świadczące, że monarcha dzieli zapatrywanie wielkiego podróżnika i że nietylko nie jest przeciwny osiedleniu murzynów w jego afrykańskich terytoryach, ale, że już przedsięwziął pierwsze kroki do wystudyowania tego zagadnienia. Pułkownik amerykański, Jerzy Williams, wysłany został przez króla Leopolda w 1886 do Stanów Zjednoczonych, ażeby, sprowadzał i zawierał kontrakty z murzynami zajmującymi się uprawą bawełny; w trzy lata późniéj, w 1889, tenże agent wysłany został do murzyńskiego uniwersytetu Shaw, ażeby sprowadził do Kongo 24 wykształconych murzynów. Przytaczamy te fakta, jako dowody, że myśl sprowadzenia murzynów do niezaludnionych dotąd krajów Afryki środkowéj, znajdzie ze strony państw europejskich, rozciągających nad niemi swój protektorat, żywe poparcie i że rząd amerykański, w chwili, gdy się do urzeczywistnienia tego przedsięwzięcia zabierze znajdzie z ich strony ułatwienia i pomoc.

Oto główny zarys sprawy niezaprzeczonéj doniosłości cywilizacyjnéj. Nie potrzebujemy dodawać, że jest ona dopiéro w swym zarodzie i że nawet na miejscu, w Stanach Zjednoczonych, opinia większości nie jest urobiona i ustalona. Tyle sprzecznych a pierwszorzędnéj wagi interesów w grę tu wchodzi, że nietylko spodziéwać się

nie można, ale nawet i życzyć nie należy zbytecznego pośpiechu w rozwiązaniu zagadnienia. Ale nie ulega wątpliwości, że coraz energiczniéj i coraz szczegółowiéj zajmować się niém będzie świat cywilizowany. Jak we wszelkich kwestyach tak i w téj nie można znaleść innéj dźwigni jak w zasadach sprawiedliwości i szerokiego humanitaryzmu. Posługując się niemi, owo nieuniknione starcie dwóch ras, groźne, bolesne i hańbiące, nabrałoby charakteru pokojowéj reformy, wiodącéj za sobą ekonomiczne zobopólne korzyści i błogosławieństwa dla pojednanéj ludzkości.





Cytara Tymona.



. . . .

Na rynku w Skias ciżba wre,
Zajadle lud się tłoczy,
Na twarze ogniem bucha gniew,
Jak żagwie płoną oczy.

Rąk wyciągniętych cały las
Drga urąganiem wściekłém,
A świst szyderczy, krzyk i śmiech,
Powietrzem lecą spiekłém.

Jak w górach wicher drzewa gnie,
Tak ludzkie gną się szyje,
Jak morze huczy ciżba głów,
Kiedy o brzegi bije.

Nie pomni Skias, odkąd niém
Wysoki Olimp władnie,
By w rynku jego taki tłum,
Tak tłoczył się bezładnie.

A słońce złoty światła zdrój
Z lazurów leje ciszy,
W ten ludzki wrzątek, w mrowie to,
Co oburzeniem dyszy.

I rzuca złotych pęki strzał
Na słup wkopany w piasku,
Co ramion dwoje, zbitych w krzyż,
Podnosi w cichym blasku.

Ten słup, to pręgierz wzgardy jest,
To na bluźnierców kara,
Lecz teraz na nim, lekko drżąc,
Kołysze się cytara.

Nie czterostrunna lira to,
Nie ten tetrachord stary,
Przy którym piano bogom pieśń
Doryckiéj zbożnéj miary.

Na dźwięcznéj desce dziesięć strun
Wysrebrza się pod słońce,
A lekki wiatr oblata ją
I budzi echa drżące.

Cytarę ową zrobił mistrz
Z najprzedniejszego drzewa
I dał jéj duszę, dał jéj głos,
Co jako ptaszę śpiewa.

Z Miletu Tymon przyniósł ją,
Ukrywszy pod opończą,
I szła, na sercu brzęcząc nią
Piosenkę swą skowrończą.

I szedł radośnie nawskroś pól
Przez cudny kraj otwarty,
Do Skias, gdzie miał dom i ród,
Do swéj ojczystéj Sparty.

Surowy dawnéj pieśni ton
Nieraz mu mroził duszę,
Gdy na doryckiéj cytrze grał,
Czy w smutku, czy w otusze.

Nieraz więziły w piersiach głos
Te ciasne struny cztery,
Gdy nagle serce drgnęło mu
Polotem w szersze sfery.

Więc cieszył się, że nową pieśń,
Jak nowy zdrój dobędzie,
Gdy baczny efor zabrał mu
Mistrzowskich rąk narzędzie.

Ten sam to był, co struny dwie
Na złotéj zerwał cytrze,
Gdy Frynis z Lesbos przyniósł ją,
Dodawszy dźwięków chytrze.

Od wieków Sparcie było dość
Na czterostrunnéj lirze,
Od wieków był tetrachord w czci
W Tesalii i w Epirze.

Na pierwszéj strunie pean brzmiał
Ku wiecznych bogów chwale;
Przy drugiéj piano smętny tren,
Umarłym ojcom żale.

A z trzeciéj szła wojenna pieśń,
Gdy Ares brał obiaty;
Przy czwartéj hymeneów dźwięk
Do ślubnéj wiódł komnaty.

I dosyć było czterech strun
Na wszystkie życia sprawy,
Na każde drgnienie ludzkich dusz,
Dla bogów i dla sławy.

Kto wié, do czego nowa pieśń,
Na nowych strunach służy?
Odmawia może ojcom czci,
Obyczaj dawny burzy!

Ludowi może wieszczyć chce,
Wywołać z cieniów mary...
Od razu lepiéj zniszczyć zło,
Uchronić zwyczaj stary.

Więc gniewny efor sroższą dziś
Wymyślił jeszcze karę,
I wielostrunną w rynku, w Skias,
Powiesił sam cytarę.

A obwoływacz, miejski zbir,
Od domu szedł do domu,
By przykład się ten głośny stał
I miasto strzegł od sromu.

Zakipiał wieścią w Skias lud,
I biegnie młody, stary,
By urąganiem zwiększyć swém
Wiszącéj kaźń cytary.

Jak Pelion, kiedy śniegi swe
W doliny rzeką puści,
Tak huczy ten wezbrany gniew
Z tysiąca ust czeluści.

I pada kamień, pada proch,
I ślina wzgardy leci,
Na tę bezbronną, cichą gęśl,
Co drży — i w słońcu świeci.

Lecz nagle Tymon rozdarł tłum
Cisnący się dokoła,
I śmiało podszedł pod sam słup,
I śmiało podniósł czoła.

Na smukłéj twarzy gniewu żar
Z bladością walkę toczy,
Wysoko bije młoda pierś,
Goreją wzgardą oczy.

Spartanie! — woła — odkąd to
Apollo zdał swe moce
W efora ręce, co go lży,
I lirę mu druzgoce?

Odkąd-to boski Zewsa ptak,
Chwytany ma być w sidła,
Kiedy w błękitów wolnych szlak
Podnosi wolne skrzydła?

Odkąd to pieśń, ten złoty zdrój,
Ma w biegu być cofnięta,
Przeto iż efor powie: stój!
I wolnéj — włoży pęta?

Odkąd to — pytam — w Skias tu
Z purpury jest odarta?
Czy już wolnego nie ma tchu
W swych piersiach nasza Sparta?

Widzę tu motłoch, lecz gdzie lud,
Przed którym mógłbym śmiele
Przyszłości pieśnią wieszczyć cud?
Gdzie są obywatele?...

Jak sępy mściwe, które rwą
Prometejowe łono,
Tak spada dzicz na lirę mą,
Słonecznie ostrunioną.

Wysoki Zeus przecież mi
Tę łaskę swoją dawa,
Że pieśń zduszona głośniéj brzmi,
Niż sług eforów wrzawa.

W wnętrznościach moich słyszę ją,
Tę pieśń ogromnéj miary,
Jak się wskroś lądów i wskroś mórz
Z téj nieméj rwie cytary.

Od jońskich brzegów, aż po toń
Egejskiéj, modréj fali,
Niesie ją złoty Feba koń,
Co się w jutrzenkach pali...

Z Ety mi gdzieś-tam biją w słuch,
Potężnéj pieśni tony,
Od Chios się podnosi duch,
Wskroś wieków uwielbiony!

Mówicie, czterech strun mam dość,
By piać ku bogów chwale?
A któżto pieśni wzbronił rość,
Jak rosną morza fale?

I kto jéj wzbronił rość, jak las,
Od ziemi, aż do nieba?
I kto zamierzył kres i czas,
Gdy zmilknąć jéj potrzeba?

Kto mi tajemnych duszy drgnień
Śmie liczbę trzymać w ręku?
Kto wiedzieć może, ile tchnień,
Ile mam w piersi jęku?

Kto liczył, ile boskich strzał
Rzuca mi słońce złote,
Gdy lirę chwytam, abym grał
Nadzieję, ból, tęsknotę?...

Kto porachował gwiazdy te,
Których harmonię słyszę,
Gdy noc swe wieczne blaski tchnie,
W szeroką ziemi ciszę?...

Wiecież, jaki jest pęd i ruch
W nienarodzonéj pieśni?
I gdzie poniesie skrzydła duch,
I jakie światy prześni?

Zaprawdę, chwila idzie już,
Kiedy ta ziemia cała,
Pod srebrem rzek, pod złotem zbóż,
Jak lira będzie stała.

I milion strun się ozwie z pól,
I pieśń popłynie wolna,
I wyda rozkosz swą i ból
Najlichsza trawka polna.

I każda łza i każda z ros,
Które po łąkach stoją,
Znajdzie swój krzyk i wyda głos,
I trąci strunę swoją.

A na téj lirze wieszczy duch
Swe jasne palce złoży,
I zadziwionym ludom w słuch
Pieśń wpadnie nowéj zorzy.

I wionie ziemią wielki mir,
I zestrój i pogoda,
A ta największa będzie z lir,
Co strun duchowi doda!

. . . .

Mówi — a słowo, jako wichr
O piersi tłumu trąca,
A w blaskach stoi kaźni słup,
I cytra brzęczy drżąca.

Marya Konopnicka.





KWESTYA GMINY ZBIOROWÉJ
W GALICYI.

Tyle się już mówiło i pisało o gminie galicyjskiéj, tyle już zwolennicy i przeciwnicy gminy zbiorowéj napsuli sobie krwi wzajemnie, że może dziwną wydawać się poniekąd rzeczą, znowu w téj kwestyi głos zabiérać. Pocieszamy się jednak myślą, że u nas, w Królestwie, pisano o téj sprawie najmniéj, a w każdym razie nie rozbierał jéj, o ile nam wiadomo, nikt z pisarzy tutejszych. To nam dodaje odwagi, potęgującéj się jeszcze wobec faktu, że postawiony przez rząd w sąsiednich Prusach wniosek o zjednoczeniu gminy, nadał temu przedmiotowi znaczenie żywotne.

Od chwili wprowadzenia ustawy gminnéj w Galicyi, t. j. od r. 1866 na porządku dziennym stała reforma gminy, a jak słusznie powiada ceniony znawca stosunków samorządu w Galicyi, dr. Witołd Lewicki [1]), i dziś po szeregu lat najsmutniejszych doświadczeń, stoi Galicya znowu przed reformą prawa gminnego. I niestety, fakt to smutny, lecz prawdziwy; 24 lat kołatają tam napróżno o reformę gminy; stawiają najrozmaitsze wnioski, wybierają ankiety i komisye, a pomimo to sprawa ani o jeden krok się nie posunęła.

Piszący o téj kwestyi, śladem większości tych, co się danym przedmiotem specyalnie zajmują, widzieli i widzą w poprawie stosunków gminnych niemal jedyne lekarstwo na wszystkie dolegliwości, trapiące Galicyę. Zastrzedz się z góry musimy, że do téj kategoryi się nie zaliczamy. Bynajmniéj, nie jesteśmy tego przekonania, iżby

[1]) „Samorząd gminny w Galicyi i dzieje jego reformy.“ Lwów, 1888 r., str. 4.

reforma gminy była tą różdżką czarodziejską, która wszystko odrazu na lepsze zmieni. Wiemy o tém dokładnie, że bez poprawy stanu ekonomicznego gmina sama przez się nic nie zrobi, lecz właśnie dlatego, iż Galicya robi niezaprzeczone postępy w dziedzinie materyalnéj, nadaje to całéj sprawie tém większe znaczenie. A ma ona i doniosłość ogólniejszą po za granice Galicyi przekraczającą.

Pomimo niezaprzeczonego wszechwładztwa państwa, a nawet obok tegoż, zauważyć się daje w Europie dążenie do coraz większéj autonomii gminy. Może proroctwo jest nie na miejscu, lecz chyba nie będzie dalekim od prawdy wniosek, że rozwój gminy odbywać się będzie nadal kosztem uszczuplenia samego parlamentaryzmu.

Może względnie niedalekim jest czas, kiedy różnorodne sprawy, zaprzątające dziś umysły izb prawodawczych, powierzone zostaną samorządowi gminnemu.

Ta przyszłość, a po części i teraźniejszość gminy, ta jéj wszechstronna działalność, jaką ustawy rozmaitych krajów już teraz jéj powierzają, staje się powodem, iż gmina musi jednoczyć w sobie wszystkie sfery i stany. Gmina w dzisiejszém pojęciu nie może reprezentować téj lub innéj klasy ludności, ona musi być wszechstanową.

Te są powody ogólne, które z kwestyi gminnéj robić muszą sprawę pierwszorzędnéj wagi. To są okoliczności, skłaniające do nadawania reformie prawa gminnego w Galicyi znaczenia, które się nie ogranicza do téj jednéj prowincyi. Lecz, jeśli ze stanowiska teoretycznego i ogólniejszego, za opisaną wyżéj budową gminy przemawiać należy, to ileż jeszcze składa się przyczyn specyalnych, które Galicyi takiego rozwiązania kwestyi życzyć nakazują. Warunki społeczne i polityczne, stosunek dwóch zamieszkujących kraj ludów,—wszystko to musi posłużyć za odpowiedź na tak postawione pytanie.

Nie można przeczyć, że w ciągu ubiegłych 24-ch lat potrzebę połączenia obszarów dworskich z gminami odczuwano i rozumiano, lecz do ostatnich czasów zawsze prawie chciano tę sprawę połowicznie i częściowo załatwiać. Większość wniosków dążyła do tego, aby dzisiejsze jednostki, t. j. obszary dworskie i gminy pozostawić nietkniętemi, i aby obok nich dla spełnienia pewnych, ściśle określonych czynności, tworzyć nowe okręgi administracyjne. Nie daje się zaprzeczyć, że na tok czynności reforma tego rodzaju wpłynęłaby lepiéj, lecz w gruncie rzeczy taka reorganizacya sankcyonowałaby niejako dzisiejszy rozdział stanowy. To nie byłoby rozwiązaniem pytania.

Reforma gminy galicyjskiéj jedno powinna mieć następstwo, a mianowicie ostateczne zniesienie obszarów dworskich przez ich wcie-

lenie do gmin. Słowem, gmina zbiorowa musi zapowiedzieć zagładę dotychczasowym jednostkom stanowym.

Pierwszém jednak pytaniem, jakie tu z konieczności nastręczać się musi, jest: jak można i należy przystosować dzisiejszy ustrój autonomii galicyjskiéj do gminy zbiorowéj, tak pojętéj.

Jak wiadomo, samorząd galicyjski, wzorujący się zresztą na zasadniczéj budowie organizmu austro-węgierskiego, wspiera się na dualizmie. Począwszy od najwyższych władz miejscowych aż do gminy, za wyłączeniem téj ostatniéj, spotykamy dwa szeregi organów, odpowiadające dwom zakresom działania w najobszerniejszém tego słowa znaczeniu, poruczonemu i własnemu. Pierwszy z nich streszcza w sobie interesy ogólno-państwowe; drugi ma na względzie potrzeby samorządu. Wyrazem pierwszego są namiestnik z namiestnictwem, starosta z polityczną władzą powiatową, wyrazem drugiego są marszałek z wydziałem krajowym, marszałek powiatowy z wydziałem powiatowym. Pozornie wygląda to bardzo pięknie; idealny rozdział samorządu i państwa znajduje rzekomo swe urzeczywistnienie. Lecz faktycznie jest inaczéj; władze samorządu nie mają prawie egzekutywy, stąd proste następstwo, że kolizya wzajemna władz, ciągła ingerencya jednych i drugich — oto konieczny rezultat takiego stanu rzeczy.

Powiedzieliśmy wyżéj, że z tego rozdziału gmina jest wyłączoną. I istotnie, w niéj obie te sfery się łączą. Ona ma być wyrazem obu rodzajów czynności i spełniać winna tak poruczony, jak i własny zakres działania. Odpowiednio zaś do tego, zostaje pod nadzorem i kontrolą obu kategoryi władz. Tak do organów samorządu, jak i ogólnopaństwowych należy zwierzchnictwo nad nią.

Ten podwójny zakres działania, jaki prawodawca gminie powierzył, sprawia, że nie jest ona w stanie rozległym, włożonym na nią ciężarom podołać. Wydane w r. 1888-ym z polecenia wydziału krajowego materyały do reformy gminnéj, najlepiéj to wykazują. Ogrom czynności wobec braku środków i ludzi staje na zawadzie pod względem zadosyćuczynienia zamiarom prawodawcy. Zapewne nie jest to objaw specyalnie galicyjski. We Francyi nawet powstają głosy, dowodzące, że mało wykształcony mer nie jest również w stanie wykonywać tych wszystkich czynności, jakie mu w udziale przypadły. Słusznie zwracają tam uwagę, że prawodawca żąda od tego najniższego przedstawiciela władzy, aby był biegłym znawcą szkolnictwa, dobroczynności, aby jednocześnie posiadał znajomość inżynieryi, budownictwa i t. p. Jeśli takie są utyskiwania w oświeconéj Francyi, to cóż dopiéro powiedzieć o Galicyi, gdzie tych samych wiadomości

prawodawca wymaga od niepiśmiennego wójta? I czyż można się wobec tego dziwić, że pisarz gminny jest tam częstokroć istotnym naczelnikiem gminy? Jeśli nie całkiem, to zapewne w znacznéj mierze gmina zbiorowa złemu zaradzić jest w stanie. Przez wcielenie obszaru dworskiego do gminy przybędzie téj ostatniéj pierwiastek inteligentny, który w sposób właściwy dla dobra gminy spożytkować będzie można. Jeśli brak ludzi i środków, jest pewnikiem niezbitym, to należy zespalać organizmy społeczne tak, aby jedno i drugie mniéj się odczuwać dało.

W odparciu tego przekonania, przeciwnicy nasi powoływać się będą na Królestwo, gdzie wcielenie większéj własności do gminy nie powołało prawie wcale przedstawicieli pierwszéj na stanowiska wójtów.

Porównanie to wszakże właściwém nie będzie. Wójt w Królestwie podlega osobistéj zależności od naczelnika powiatu, który mocen jest go na areszt skazać. Pominąwszy więc nawet, cały stosunek z władzą powiatową, nic dziwnego, iż to jedno odstrasza od przyjmowania na siebie obowiązków wójtowskich. Pomimo to, wszakże i u nas wskazać można przykłady, że się dzieje, a przynajmniéj działo inaczéj. Wątpić zaś nie należy, że w Galicyi stanowiska wójtów obsadzone-by były przedewszystkiém przez przedstawicieli inteligencyi. Obawa zaś, iż włościanie w téj mierze oświadczać się będą przeciwko takiemu rekrutowaniu kandydatów na posady wójtów, zdaje się, byłaby płonną, a w każdym razie możnaby ją całkowicie usunąć, stanowiąc większy cenzus wykształcenia pod względem wymagań od wójtów.

O ile bylibyśmy za względném utrudnieniem przystępu do stanowiska naczelników gminy, o tyle z drugiéj strony pragnęlibyśmy rozszerzyć czynny udział włościan w wewnętrznéj administracyi gminnéj. Zdaniem naszém, dałoby się to osiągnąć przez ustanowienie obok rad gminnych nowego organu, nieznanego w Galicyi, a mianowicie zgromadzeń gminnych.

Piszący te słowa, na 17-ym zjeździe prawników i ekonomistów, odbytym w r. 1887-ym w Krakowie, referował o potrzebie zebrań gminnych, jako samoistnéj władzy samorządu gminnego. Projekt ten spotkał się z ogólną niemal opozycyą, a jeszcze niedawno doczekał się surowéj krytyki ze strony p. Starzyńskiego [1]).

Żałować nam tylko przychodzi, że nie zdołaliśmy oponentów naszych przekonać. Tu dodamy tylko, że, o ile sądzimy, pojęcie gminy

---

[1]) Przegląd sądowy i administracyjny. Zeszyt wrześniowy z r. 1890.

zbiorowéj łączy się *a fortiori* z pojęciem zgromadzeń gminnych. W tych tylko instytucyach, jednoczących w sobie wszystkie wchodzące w skład gminy żywioły, nastąpić może ostateczne i całkowite ich zespolenie. Konieczną jest rzeczą, aby w téj pierwszéj szkole życia politycznego, jaką niezaprzeczenie jest gmina, wszyscy mieszkańcy przyjmowali czynny udział w zarządzie gminą, aby nauczyli się myśléć i pamiętać o tém, że ich dobrobyt indywidualny związany jest z dobrem całéj gminy.

I znowu w odparciu naszego twierdzenia, przeciwnicy nasi powoływać się będą na przykład Królestwa, a w usprawiedliwieniu swych zarzutów przytoczyć będą mogli zdanie p. Juliana Łapickiego („Stosunki gminne“, Ateneum, 1880, IV, 268 i 387), który nazwał zgromadzenia gminne u nas tłumnemi zbiegowiskami bez ładu i programu. Zapewne, iż charakterystyka ta w przeważnéj części jest słuszna.

Zgromadzenia gminne niewątpliwie nie są w stanie spełniać tych wszystkich czynności, jakie im prawo z r. 1864 powierza. Lecz, wszystkie te spostrzeżenia i uwagi przedstawią się inaczéj, jeśli zechcemy sobie uprzytomnić, iż w Królestwie nie ma rad gminnych; że te sprawy, które gdzieindziéj należą do atrybucyi organów kolegialnych u nas pozostają się w rękach tłumnych i niezorganizowanych wieców gminnych.

Otóż, przeciwko takiemu ustrojowi gminnemu stanowczo należałoby się oświadczyć. Jeśli zgromadzenia gminne, jako władza naczelna, istniéć mają, to ta ich egzystencya prawna musi być połączona z jednoczesném utworzeniem rad gminnych. Tylko przy istnieniu obu tych władz można mówić o prawidłowém funkcyonowaniu zebrań gminnych. Rady gminne winny spełniać te wszystkie atrybucye, które do jednoosobowéj władzy naczelnika gminy należéć nie mogą. W rękach zaś zebrań gminnych musi się pozostać naczelny nadzór i kontrola nad czynnościami wszystkich władz gminnych. Do nich należéć winny, *mutatis mutandis,* te ściśle określone atrybucye, które we wszystkich instytucyach do ogólnych zgromadzeń ich członków należą.

Jest to zapewne niezbitym pewnikiem, że, o ile dane organy powołać i rozwijać mogą się tam, gdzie na to siły i środki materyalne i umysłowe pozwolą, to z drugiéj strony istnienie pewnych znowu stowarzyszeń powołuje do życia uśpione dotąd czynniki społeczne. Przy odpowiednich warunkach, według naszego przekonania, zgromadzeniom gminnym ta rola przypaść może w udziale. Nie starczy do rozbudzenia tego życia powoływanie pojedyńczych mieszkańców gminy

do władz reprezentacyjnych w jéj obrębie, nie będzie dostateczném, że członkowie gminy posiadają czynne prawo wyborcze. Trzeba i należy bezpośrednio ich zainteresować, trzeba, aby każdy członek gminy poczuwał się do solidarności z nią, aby się uważał za integralną jéj część.

Sądzimy, że samorząd gminy zbiorowéj nie będzie, w ścisłém tego słowa znaczeniu, odpowiadał swemu celowi, jeśli zgromadzenie gminne na czele gminy postawioném nie będzie. Bezpośredni interes Galicyi tego wymaga niewątpliwie, a kto opiéra swój sąd o niéj, nie na uprzedzeniach z góry powziętych, ten dojdzie do przekonania, że pierwszorzędne potrzeby społeczne za takiém rozwiązaniem kwestyi przemawiać muszą.

Wspominaliśmy już wyżéj o nieodzownéj potrzebie rad gminnych. Ustawa gminna galicyjska (§ 13) wymienia w liczbie ich członków wybieralnych, oraz należących do rady z samego prawa. Do tych ostatnich należy każdy członek gminy, opłacający przynajmniéj szóstą część całéj sumy podatków bezpośrednich, na daną gminę przypadających, oraz każdy posiadacz wcielonéj do gminy własności ziemskiéj, stanowiącéj osobne ciało w tak zwanéj tabuli krajowéj (§ 16).

Tą ostatnią jest każda nieruchomość ziemska, mająca oddzielną hipotekę. Jeśli przy dzisiejszéj organizacyi, umożliwiającéj dobrowolne łączenie obszarów dworskich z gminami, tego rodzaju skład rad gminnych jest do pewnego stopnia usprawiedliwionym, to już żadną miarą nie można się nań zgodzić z chwilą powstania gmin zbiorowych. Znowu podobny przepis unicestwiłby w zarodku istotę samorządu. Władze reprezentacyjne, wogóle nie powinny się składać z członków, których stanowisko, jako takich, nie byłoby równém. Tém silniéj maksyma taka stosować się musi do najniższych jednostek samorządu. Tu już bezwarunkowa panować powinna równość między członkami. Nie może istniéć naturalna przewaga, spowodowana stałością jednych, a zmiennością innych członków. Niezależność zdania jest wtedy z konieczności wyłączoną i dziać się zawsze prawie będzie wszystko wedle postanowień téj części radnych, którzy do reprezentacyi bez wyboru weszli. A jest to tém możliwsze w Galicyi, że ustawa w myśl § 17 nie ogranicza liczby radnych bez wyboru. Prostém następstwem stosowania téj zasady przy utworzeniu gmin zbiorowych, byłaby w bardzo wielu wypadkach przewaga przedstawicieli większéj własności. Oto dlaczego powołanie gminy zbiorowéj pociągnąć za sobą powinno zmianę powołanych przepisów ustawy.

Zwolennicy dotychczasowéj ordynacyi wyborczéj rad gminnych, przytaczają zapewne w obronie takiego ich składu tę okoliczność, że

przedstawiciele większéj własności mają swój odrębny interes, któremu należy dać wyraz przy organizacyi rad gminnych. Z poglądem tym jednak zgodzić się trudno?

Jeśli o jedném może być mowa, to o przypuszczalnéj przewadze żywiołu mniéj inteligentnego, któryby w znacznéj części gmin nadawał, że tak rzekę, ton radom gminnym. Lecz zarzut to tylko pozornie słuszny.

Przedstawiciele inteligencyi miéć będą zawsze wpływ moralny i to przeważający w tych wszystkich wypadkach, gdy dodatnie jego strony nie będą ulegały zaprzeczeniu. Od zdolności zatém i charakteru inteligencyi zależy tu więcéj, niż od tego, iż niektórzy z jéj szeregów będą radnymi z urzędu. A zresztą włościanie w poczuciu dobrze zrozumianego interesu, będą wybierali takich przedstawicieli, bez względu na ich stan, którzy zapewnić są w stanie prawdziwy pożytek gminie. Zresztą, w każdym razie, i to przedewszystkiém, względy dobra publicznego wymagają, aby ustawy nie znały z góry narzuconych członków rady gminnéj.

Tyle co do rad gminnych. Odnośnie do naczelników gminy, powtórzyć tylko możemy to, cośmy już nadmienili, a mianowicie, iż należałoby w gminach zbiorowych postawić większe wymagania, pod względem wykształcenia, niźli dzisiaj. Rzecz prosta, iż gmina zbiorowa, stojąca pod względem swéj organizacyi, na wyższym szczeblu społecznym, powinna być rządzona przez jednostkę, odpowiadającą tym wszystkim zadaniom, jakie z konieczności naczelnik gminy spełniać musi. Co zaś do atrybucyi tegoż, to nie myślimy w téj mierze zapuszczać się w szczegółową krytykę tych wszystkich atrybucyi, jakie ustawa obecna mu powierza. Dodamy tylko, że, zdaniem naszém, należałoby czynności te rozdzielić i oddać kilku jego pomocnikom. Tak różnorodne sprawy, jakie, wedle dzisiejszéj organizacyi, w rękach jednego człowieka są zjednoczone, nie mogą bez szkody dla dobra gminy nadal w taki sposób się koncentrować. Rozczłonkowanie tych atrybucyi jest tu rzeczą pierwszorzędnéj wagi.

Obok pytania, dotyczącego przyszłéj budowy władz gminnych, wysuwa się na pierwszy plan kwestya niezależności gminy zbiorowéj.

Nauka o państwie, przynajmniéj wedle dotychczasowych pojęć, usankcyonowała, iż zupełna niezależność gminy od władz centralnych jest prawie niemożliwa. Choćbyśmy wyidealizować sobie chcieli państwo z jak najrozleglejszą decentralizacyą, to jeszcze zgodzić się na to trzeba, że ze strony władz naczelnych musi być sprawowanym pewien nadzór nad gminą. Gdyby tego oka czujnego ze strony państwa

nie było, to rozpadłoby się ono z konieczności na tyleż części składowych, ileby w niém gmin było.

Każda gmina przybierałaby cechy odrębne, nadawałaby sobie łatwo koloryt, nie zupełnie przystający do całości państwa. Idzie tylko o to, aby ten nadzór ze strony państwa zachował „*juste milieu*“, aby się nie przekształcił w nacisk, niweczący wszelkie nawet pozory samodzielności, słowem, niszczący ją w samym zarodku. Stąd téż, jest to może jedno z najtrudniejszych pytań z dziedziny prawa państwowego, a praktyczne jego rozwiązanie przez ustawę stanowioną, napotyka jeszcze większe przeszkody. Piętrzą się tu trudności, nie łatwo dające się usunąć.

Ustawa galicyjska, w odpowiedzi na to zawiłe zadanie, wynalazła wspomniany już wyżéj ciężki aparat dualistyczny, uosabiający w sobie dwa rodzaje działalności gminy, t. j. własny i poruczony. Odpowiednio zaś do tego podziału spotykamy tam tok dwóch szeregów instancyi, z których jedne nadzorują zakres własny, drugie zaś— poruczony.

Tak w sejmie, jak i w literaturze podnosiły się niejednokrotnie głosy przeciwko dualizmowi, a w liczbie tych ostatnich wyróżnić należy poważne studyum prof. Kasparka [1]).

Jeśli dziś przy istnieniu jednostek stanowych, ciężka ta maszyna z trudnością operuje, to cóżby dopiéro należało powiedziéć o nadzorze dualistycznym, który miałby się gminą zbiorową opiekować? Że utrwalenia obecnych chaotycznych stosunków, po utworzeniu gminy zbiorowéj, nikt sobie życzyć nie może, tego chyba dowodzić nie potrzeba. Lecz pytanie na tém właśnie polega, jak złemu zaradzić?

Rozważając istniejący w Galicyi dualizm, począwszy od gminy, a skończywszy na najwyższych władzach miejscowych, dochodzimy do wniosku, że t e o r e t y c z n i e miał prawodawca jak najlepsze intencye i zamiary. Szło mu o to, aby przy idealnym podziale wszystkich spraw na samorządne oraz państwowe, pozostawić tak pierwszym, jak i drugim możliwą niezależność. Chciano uniknąć wzajemnych ingerencyi współrzędnych władz, a wyrazem tych właśnie dążności było urządzenie dwóch szeregów instancyi. Życie praktyczne wszakże wykazało, że taka całkowita niezależność jest niedoścignioną, że zamiast zupełnego rozdziału i swobody działania nastąpi bądź wzajemna kolizya władz, bądź téż bezczynność jednego ich rodzaju. Galicya służy za przykład potrosze jednego i drugiego następstwa. Jak tedy znaleść lekarstwo, mogące temu zapobiedz?

---

[1]) Uwagi krytyczne o galicyjskiéj organizacyi gminnéj.

Wspomniany przez nas prof. Kasparek projektował utworzenie komisyi gminnych powiatowych i komisyi gminnéj krajowéj przy starostwach i namiestnictwie, pod przewodnictwem naczelników tych władz. Skład tych komisyi proponuje uzupełniać prof. Kasparek przez powołanie do nich reprezentantów rządu—z jednéj strony, oraz przedstawicieli wyższych organów samorządu — z drugiéj. W taki sposób, zdaniem prof. Kasparka, ustałby najszkodliwszy skutek dualizmu władz, nadzór nad gminami byłby jednolity i skuteczny; gminy nie miałyby nad sobą dwóch, sprzeczne częstokroć rozkazy wydających panów, rekursy byłby uproszczone i zapanowałby w téj dziedzinie ład. O ile nam wiadomo, prof. Kasparek może jest jedynym pisarzem, który wnioski swe pod tym względem skrystalizował ściśle. Nie sądzimy wszakże, aby reforma, proponowana przez prof. Kasparka, mogła odpowiedziéć swemu celowi. Komisye gminne, liczące w swém ciele reprezentantów władz samorządu i państwa, byłyby areną, gdzie kolizya władz kwitłaby i rozwijała się w całéj pełni. A pamiętać należy o tém, iż wówczasby szło o interesy nietylko dzisiejszych gmin, przeważnie włościańskich, lecz takich jednostek samorządu, gdzieby większa własność swoje cele przeprowadzać chciała. Jeśli daléj zwrócimy uwagę, że w razie przewagi liczebnéj pierwiastku rządowego reprezentanci samorządu nie mieliby żadnego prawie głosu, to chyba należy dojść do przekonania, że reforma, zalecana przez prof. Kasparka, nawet jego zamiarom odpowiedziéćby nie mogła.

Choćby nas posądzono o to, że jesteśmy rzekomymi przeciwnikami samorządu, ośmielimy się wypowiedziéć zdanie, że wedle naszego przekonania, nadzór nad gminą należałoby tylko w ręce państwa oddać. Niechaj gminie pozostawiona będzie jak największa samodzielność, niechaj prawo orzeknie samoistność i stanowczość całego szeregu orzeczeń władz gminnych, niechaj decyzye tych ostatnich będą wykonalne bez potrzeby zatwierdzenia ze strony państwa, lecz odwołanie się służyć musi i powinno do tego ostatniego. Tylko władza rządowa, niezależna i rozumnie pojmująca swe obowiązki, stanie się instancyą bezstronną, rozstrzygającą spory bez uprzedzeń; a niedość na tém, z wyższego stanowiska państwowego, tylko władze centralne zdolne są zachować jednolitość i stałość w sądzeniu. Przykład przeważnéj części Europy jest pod tym względem zachęcającym, a nawet Anglia, ta kolebka swobód, nie będzie w téj mierze służyła za argument przeciwko nam.

Zapewne trudno to, a może nawet boleśnie pozbawić się dobrowolnie jednego z przywilejów władzy. Lecz, powtarzamy, niechaj

połączoném to będzie z jak największém rozszerzeniem swobód saméj gminy, z nadaniem jéj jak największéj autonomii, a wtedy proponowany środek nie wyda się tak przykrym. Nie tu miejsce kreślenia szczegółowego programu, jak ta zależność gminy od państwa urzeczywistniona być winna. Leży to bowiem po za zakresem niniejszego artykułu. Tu nadmieniamy tylko, iż gdzie, jak w Galicyi, władza państwowa pozostaje w tych samych rękach, co instytucye samorządu, szkodliwego wpływu pierwszéj na bieg spraw gminnych spodziewaćby się nie należało. Zresztą kwestya ta jest w ścisłym związku z polityką bieżącą, którą, rzecz prosta, zajmować się w téj chwili nie możemy.

Nie same jednak wnioski teoretyczne za połączeniem gminy z obszarem dworskim przemawiają; w znacznéj mierze dane faktyczne wspierają nas znakomicie.

Ilekroć sejm zabierał się do reformy gminnéj w Galicyi, ilekroć rozmaite komisye podejmowały powierzoną sobie pracę, z chwalebnym zwyczajem rozpoczynały ją od gromadzenia materyałów na miejscu; chciano przekonać się, jak ta gmina w rzeczywistości wygląda. Świéżo zebrane, a wspomniane już przez nas, materyały do reformy gminnéj przez d-ra Witołda Lewickiego, zalecające się niezwykłą starannością i pracowitością, stwierdzają bronioną przez nas tezę.

Przejrzenie téj pracy poucza, że tak poruczony, jak i własny zakres działania leży odłogiem, przeważnie dlatego, że gminom brak stale dwóch źródeł: ludzi i środków. Policya np. sprawowana jest źle, a gdyby nie żandarmi państwowi, bezpieczeństwo byłoby prawie żadném. Na 74 powiaty, opinii przychylnych o sądownictwie policyjno-karném naliczyliśmy ledwie tylko 14, z tych w jednym pow. mieleckim wypadła ona całkowicie pomyślnie. Tam bowiem, wedle raportów, w gminach zdobywa sobie ono coraz większe uznanie w ludności wiejskiéj, kosztów żadnych nie pociąga, a w wypadkach, gdzie obszary dworskie żądają pomocy gmin, zwierzchności gminne udzielają jéj bardzo chętnie ku obustronnemu zadowoleniu. W powiecie tarnopolskim zażywa sądownictwo dobréj opinii i jest raczéj za surowe, niż za pobłażliwe. W powiecie buczackim wykonywanie bezstronne obowiązków w téj mierze zyskało sobie opinią jak najlepszą; szkody polowe na obszarze dworskim badane są starannie i sądzone sumiennie. Podobnież w powiecie horodeckim używa sądownictwo u ludności wielkiego wzięcia. Po za kilkunastoma powiatami, z których przykładowo wzięliśmy kilka najlepszych, spotykamy stereotypowe zdania: złéj opinii, stronnicze, pobiera datki i t. p.

Przejrzenie materyałów pod względem poruczonego zakresu działania przekonywa, że i tu dzieje się niewiele lepiéj. Ledwie około 30 powiatów znajdzie się takich, gdzie sprawy te prowadzone są względnie dobrze. Powiadamy jednak „względnie“, bo i w tych dobrych w téj mierze powiatach przeważnie słychać narzekania na brak należycie uzdolnionych urzędników. Jeśli, co do poruczonego zakresu działania, gdzie starostwa mogą i muszą używać środków przymusowych, dzieje się stosunkowo lepiéj, to już własny zakres działania przedstawia się nierównie gorzéj. Wszędzie w materyałach spotykamy, z nielicznemi wyjątkami, odpowiedzi przeczące, z których wynika, że własny zakres, to tylko teoretycznie ułożone przepisy, które obszernie a szeroko głoszą, jak rozległą jest wedle ustaw autonomia gminy.

Jeśli do smutnego tego obrazu dodać stosunek liczebny piśmiennych i niepiśmiennych wójtów, jeśli zwrócić uwagę na małe, śmieszne często, płace pisarzy, to stanowczo dojść trzeba do wniosku, że reforma jest nieodzowną. Połączenie gminy z obszarem jest kwestyą palącą, rzeczą, któréj w interesie kraju odkładać bezkarnie nie można.

Rozpatrzenie się w obecnym stanie gmin, wyniesione stąd przekonanie, jak niewielkiemi rozporządzają one funduszami, każą się zastanowić nad pytaniem poważném, czy gmina, jako taka powinnaby streszczać w sobie wszystkie sprawy miejscowe, czy też każdy rodzaj czynności, a przynajmniéj głównych, wymaga istnienia odrębnych władz specyalnych. Jest to również jedna z kwestyi, mających i teoretyczną doniosłość.

Stanowisko oderwane w tym przedmiocie prowadzi do wniosku, że gmina, jako instytucya ogólna, jako ostatnie ogniwo samorządu, powinnaby być wyrazem całości gospodarstwa miejscowego. Wszystkie sprawy lokalne powinnyby tu swe urzeczywistnienie znaleźć. Dobroczynność i szkoła, drogi i bezpieczeństwo publiczne — wszystkie te sprawy muszą się o gminę oprzéć.

Tylko centralny i wspólny nad niemi zarząd umożliwia harmonię, tak niezbędną i konieczną na tym ostatnim szczeblu administracyi. Niektóre też prawodawstwa, jak np. przeważnie francuskie, a także obowiązujące w Królestwie, poszły w ślad za tém rozumowaniem. U nas ustawa dopuszcza istnienie organów specyalnych dla rozmaitych dziedzin życia gminnego, lecz wszystkie je stawia w zależności od ogólnych władz gminnych. Za takim poglądem prawodawców przemawiać musi brak ludzi i środków, tak dotkliwie w gminach odczuwać się dający. Typowym krajem, hołdującym zasadzie przeciwnéj, jest, jak wiadomo Anglia, posiadająca całe szeregi niezależnych zupełnie

władz, oddanych pewnym kategoryom czynności. Lecz Anglia dla wielu względów nie może służyć za wzór. Jéj odrębność państwowa, jéj ścisłe przestrzeganie we wszystkiém spuścizny historycznéj — wszystko to składa się na całość, któréj na ląd stały przeszczepiać bezkarnie nie można. Płonka, stamtąd przenoszona, niejednokrotnie ginęła na kontynencie.

Galicya pod względem podniesionéj przez nas kwestyi, poczęła iść w kierunku tworzenia władz specyalnych, całkiem od siebie niezależnych. Wspomnę tu tylko o władzach gminnych szkolnych i drogowych. Zdaje mi się jednak, że utworzenie gminy zbiorowéj powinnoby zwrócić prawodawstwo na drogę łączenia władz specyalnych z gminnemi. Mniemalibyśmy, iż brak ludzi i środków powinienby wszystkie władze specyalne poddać administracyi gminnéj. Będzie to pewnego rodzaju ostatecznem uświęceniem zasady zupełnego zjednoczenia gminy.

Dobiegając do końca, pozwalamy sobie jeszcze raz położyć nacisk na to, iż nie uważamy reformy gminnéj za ogólne lekarstwo dla Galicyi. Natomiast nieświetny, acz stosunkowo polepszający się stan ekonomiczny nakazuje właśnie łączyć z sobą związki gminne, których zespolone fundusze i administracya łacniéj odpowiedzą włożonym na nie obowiązkom. Pod hasłem gminy zbiorowéj, przy pomocy tych samych środków zrobi się daleko więcéj. Zniesienie odwiecznéj waśni między dworem a chatą, wspólna praca dla dobra gminy, a co zatém idzie, kraju, lepsze zużytkowanie tych samych środków i ludzi — oto niewątpliwe skutki, które towarzyszyć będą gminie. Piękna, a niezawodna ta wróżba powinnaby prawodawcom galicyjskim służyć za nić przewodnią w téj tak doniosłéj sprawie.

Henryk Konic.





Z TEORYI I FAKTÓW PRZYRODNICZYCH.

III.

Natywizm i empiryzm. — Wyższość umysłowa nowonarodzonych zwierząt nad niemowlętami. — Badania nad rozwojem zmysłu wzroku u dzieci i u ślepo-narodzonych po operacyi — Zwycięstwo teoryi empirycznéj.

Fizyologia postrzeżeń zmysłowych uważana być może za ogniwo, łączące badania czysto przyrodnicze z psychologią i filozofią. W nowszych czasach ten dział wiedzy wywierał coraz ważniejszy wpływ na poglądy psychofilozoficzne. Badanie zjawiska czynności zmysłowych, ich zależności od warunków fizycznych, oddziaływania na najprostsze akty psychiczne, przejawiające się w postaci odruchów zmysłowych, wreszcie analiza czynności narządów zmysłowych po jakościowo i ilościowo różnéj reakcyi, wszystko to nietylko wpłynęło na istniejące już poglądy filozoficzne, lecz nawet sprowadziło zbudowanie poglądów nowych. Postęp taki zauważyć się daje zwłaszcza od czasu, kiedy Helmholtz przeciwstawił nową swą teoryę poznania, sprowadzającą wszelki rozwój duchowy do funkcyi organów zmysłowych, teoryi kantowskiéj z jéj aprioryzmem czasu i pojęć o przestrzeni.

Od owego czasu zarysowało się ostre przeciwieństwo w pojmowaniu sposobu powstawania naszego życia duchowego; przeciwieństwo to podzieliło świat naukowy na dwa obozy. Nauka Kanta w zastosowaniu do fizyologii zmysłu wzroku, broniona dawniéj przez Jana Müllera, a obecnie przez E. Heringa, stała się najdoskonalszym wyrazem natywizmu, nauka Helmholtza natomiast prowadzi do t. zw. empiryzmu.

Według teoryi natywistów pojęcie przestrzeni jest własnością

duchową, istniejącą w nas przed wszelką czynnością zmysłów, a więc przyrodzoną. Bez współudziału zmysłów, własność ta drzémie; dopiéro czynność zmysłowa budzi ją, nakazując niejako wyznaczać kształty każdemu postrzeganemu zewnątrz przedmiotowi.

Według Helmholtza, pojęcie o wymiarach przestrzennych jest wyłącznie produktem doświadczenia, dokonywanego przez zmysły nasze, a zatém własnością nabywaną przez każdego człowieka drogą empiryczną.

Oko jest bezspornie najprzedniejszym organem zmysłowym, dzięki któremu mierzymy w życiu przestrzeń i oceniamy wymiary. Jest ono też bez wątpienia tym organem, przy którego pomocy zbieramy pierwsze doświadczenia, dotyczące wielkości przestrzennych. Przy badaniu przeto pytania, w jaki sposób powstają w nas pierwsze pojęcia o przestrzeni, fizyologia oka zarówno dla natywistów, jak i empirystów, stanowić powinna bardzo cenne pole spostrzeżeń.

Odnośne spostrzeżenia fizyologiczne dotyczą zarówno zwierząt, jak ludzi. Badania, czynione nad nowonarodzonemi zwierzętami, prowadzą do rezultatu, że im zwierzę wyżéj stoi na drabinie organizowanych tworów, tém niezaradniejsze na świat przychodzi, tém późniéj osiąga pewność swych ruchów, czyli powolniéj uczy się spożytkowywania postrzeżeń wzrokowych do oryentowania się w przestrzeni. Niższe zwierzęta, owady np. (chrząszcze, motyle) posiadają zupełną zdolność oryentowania się od pierwszéj chwili wyklucia, bezwątpienia więc przynoszą z sobą na świat pojęcia o przestrzeni. I młode kurczęta, kaczki i t. p. posiadają natychmiast po opuszczeniu jajka dużą wprawę w poszukiwaniu ziarn zboża. Również niektóre ssące zwierzęta rodzą się z bardzo wysoką zdolnością oryentowania się. Spalding np. wspomina o spostrzeżeniach dokonywanych na nowonarodzonych prosiętach, które potrafiły uwzględniać przy skakaniu wymiary głębokości.

Przedmiotowa krytyka musi zatém przyznać, że niższe zwierzęta posiadają wrodzoną zdolność celowego spożytkowania swych wrażeń wzrokowych. Celowość ta wszakże skierowana jest tu tylko ku jednemu ruchowi, i to zawsze ku temu samemu, prowadzącemu do zdobywania pokarmu. Pierwsze ruchy młodych źrebiąt, cieląt, prosiąt i t. d. skierowane są ku dosięgnięciu sutek piersiowych matki. Młode szczenię znajduje pierś bez pomocy matki, jakkolwiek zupełnie jeszcze ślepe. Trudno zbadać, w jakim stopniu pomagają tu środki pomocnicze, takie, jak np. powonienie.

Młode kurczę, które biega natychmiast po wykluciu się, musi chyba widzieć rozrzucone ziarna, kiedy tak zapalczywie je dziobie,

lecz ruchy do dziobania tego niezbędne bardzo są proste, powtarzają się zawsze w jednakowy niezmienny sposób. Nie ma tu miejsca celowy wybór z pomiędzy wielu możliwych ruchów głowy i oczu, które u zwierząt wyższych wiążą się nie rozłącznie ze spożytkowaniem wrażeń wzrokowych. Koordynacya między wrażeniami wzroku i ruchami głowy kurczęcia jest więc możliwie prosta na początku. Również niezłożonemi są same ruchy oczu. Brak przedewszystkiém dwuocznego pola widzenia; każde oko ma swoje własne pole, w którém wszystkie części funkcyonują równoznacznie i w którém nie ma fizyologicznie osobliwie wyróżnicowanego miejsca, podobnego do żółtéj plamy w oku ludzkiém. To pole widzenia w nieznaczny sposób przesuwa się skutkiem ruchów oczu; ulega ono przemieszczeniom w przestrzeni prawie wyłącznie tylko dzięki ruchom głowy.

Im zwierzę wyżéj jest uorganizowane, ten późniéj dochodzi do umiejętności władania wzrokiem w celach przemiany miejsca, a dotyczy to głównie tych wyższych zwierząt, które posiadają dwuoczne lub częściowo dwuoczne pole widzenia. U nowonarodzonego dziecka, z pomiędzy wszystkich żywych tworów, najdłużéj trwa ćwiczenie zmysłu wzroku jako środka do oceniania przestrzeni. Wszystkie nasze wiadomości o wymiarach w przestrzeni zdobywamy mozolnie doświadczeniem zmysłów, przeważnie oka.

Pod względem tworzenia się pojęć o przestrzeni, istnieje więc olbrzymia różnica pomiędzy człowiekiem a zwierzętami. Człowiek z trudem niemałym uczyć się musi tego, co zwierzę przy narodzeniu się przynosi już w stanie gotowym, a co przejawia się w stosunkach pomiędzy mózgiem a okiem.

Otóż, czy różnica ta może wpłynąć w jakikolwiek sposób przy rozstrzyganiu sporu między natywizmem a empiryzmem? Trudno na to pytanie odpowiedziéć, gdyż spostrzeżenia nasze w tym względzie na zwierzętach zbyt są niepewne; zaledwie powierzchownie sądzić możemy o sposobie, w jaki uczą się one widziéć. Bądźcobądź wszakże, znane dotychczas fakty, które wyżéj w kilku przykładach streściliśmy, dają się doskonale pojednać z poglądami empirystów, jeżeli uwzględnimy naukę Darwina o duchowym rozwoju i szlachetnieniu ras.

Spencer i Du Bois - Reymond zwrócili uwagę na znaczenie zasad darwinistycznych dla sporu, o którym mowa, i pomyślnie do pewnego stopnia powiązali wymagania czystego natywizmu i empiryzmu. Wiadomo, że uszlachetnianie niektórych zwierząt przez odpowiednie poprawianie rasy odbywa się w ten sposób, że nietylko przymioty cielesne, lecz i duchowe, doskonalące się od osobnika do osobnika, bywają dziedziczone. W tych warunkach rodzą się pojedyńcze istoty

ze skłonnościami do pewnych określonych zdolności, których brak zupełnie innym osobnikom tegoż pnia, lub u których doszły one do rozwoju znacznie niższego. Tak też pomyśléć możemy o wyrobieniu się określonych czynności mózgowych, które, pobudzane prawidłowo przez powtarzające się ustawicznie bodźce wzrokowe i skierowywane na określone drogi nerwowe, prowadzą do jednych i tych samych ruchów. Zgodnie z tym poglądem, pojęcia przestrzenne, wrodzone niższym zwierzętom, byłyby niczém inném, jak zdobytym i utrwalonym przez doświadczenie przodków stosunkiem pomiędzy okiem a mózgiem.

U nowonarodzonego człowieka natomiast nie można wykryć podobnie wytworzonych i na świat w stanie gotowym przyniesionych zdolności, służących do oryentowania się. „Kiedy u cielęcia już w ciągu życia zarodkowego odbył się taki rozwój mózgu, dzięki któremu nowonarodzone zwierzę potrafi się poruszać w przestrzeni, potrafi w odpowiednim porządku stawiać swe cztery nogi i podpiérać swój punkt ciężkości, dziecko natomiast zdobywa ten rozwój dopiéro po narodzeniu, pierwszych miesięcy życia. Według poglądu tego, pojęcia o przestrzeni nie byłyby ani wrodzone, ani nabyte, stopniowo raczéj, w odpowiednim czasie przybywają one, przyrastają niby do kształtującego się umysłu. Pamiętać jednak zawsze należy, że do normalnego rozwoju istoty zmysłu wzroku koniecznie potrzebne są normalne wzrokowe wrażenia“.

Hypoteza ta, wygłoszona przez Du Bois-Reymonda już w r. 1870, a starająca się wyjaśnić stosunkowo późne powstawanie wyobrażeń przestrzennych w zależności od dalszego rozwoju mózgu, znakomite od owego czasu zyskała poparcie w rezultatach licznych badań na polu patologii, chemii fizyologicznéj, patologicznéj anatomii i fizyologii.

Badanie Flechsiga, Pierreta i in. Wykazały, że drogi anatomiczne w mózgu i rdzeniu pacierzowym, służące innerwacyom ruchowym, nie istnieją jeszcze wcale w czasie narodzin dziecka, że raczéj powstają one, „przyrastają“ niejako dopiéro stosunkowo późno; że przeto u nowonarodzonego dziecka nie może być mowy o jakichkolwiek przejawach woli poprostu dla tego, że brak jeszcze zupełnie ścieżek, po których mogłyby one przebiegać w organizmie. Badania Soltmanna, Tarchanoffa, Rougeta, dowiodły tego samego dla tych zwierząt, które rodzą się ślepe. Zwierzętom takim, podobnie jak noworodkowi ludzkiemu, brak całkowicie ruchowych pobudliwych części kory mózgowéj i rdzenia. U niższych natomiast zwierząt, które natychmiast po urodzeniu poruszają się samodzielnie, istnieją już według Tarchanoffa, ośrodki ruchowe w mózgu i rdzeniu. Cielę i źrebię

już w łonie matki ma rozwinięte połączenie organów zmysłowych z mózgiem, oraz połączenie nerwowe mózgu z narządami ruchu, tak, że natychmiast po urodzeniu, skoro tylko bodziec zmysłowy tego zażąda, połączenia te mogą być wprawione w grę. U nowonarodzonego dziecka zaś połączenia te dopiéro rozwijać się muszą; w czynnym stanie znajdują się u niego tylko funkcye roślinne, wyższe zaś zwierzęce dopiéro się urabiają. Wszystkie ruchy noworodka ludzkiego wynikają, albo jedynie z potrzeb życia roślinnego, spełnianych odruchowo, albo też są mimowolnemi odruchami skórnemi i zmysłowemi. W nowonarodzoném dziecku mamy przed sobą nierozwinięty jeszcze organizm mózgowy, w którym w miarę wzrostu i rozwoju mózgu doskonalą się czynności duchowe, a wraz z niemi przybywają pojęcia o przestrzeni. Nader przeto zajmującém jest obserwowanie sposobu, w jaki rozwój się ten odbywa.

Jaką odgrywają przytém rolę działające zaraz po urodzeniu bodźce światła? Czy, odpowiednio do poglądu empirystycznego, stanowią one przyczynę wywołującą rozwój pojęć o przestrzeni, czy też są tylko środkami powołującemi do życia funkcyę apriorystyczną, przebudzoną przez rozwój mózgu? Pytania te rozstrzygnąć można jedynie przez ścisłe obserwacye pierwszych objawów życiowych u noworodków. Kussmaul, Cuignet, Schoeler, Witkowski, Raehlmann, Gensmer, a zwłaszcza Preyer, zebrali w tym kierunku materyał spostrzeżeń, przemawiający stanowczo za empirystyczném powstawaniem wszelkich pojęć przestrzeniowych. Obok tego zajmowano się wielokrotnie badaniem operowanych, którzy po operacyi pozbyli się swéj na świat przyniesionéj ślepoty, i te badania, wszystkie bez wyjątku za empiryzmem przemawiają. Obecnie wspomniany wyżéj E. Raehlmann, profesor oftalmologii w Dorpacie, ogłasza nowe, a nader interesujące spostrzeżenia, zarówno dokonane na nowonarodzonych, jak i po operacyi na ślepych od urodzenia, i sądzimy, że z samym materyałem obserwacyi warto się zapoznać.

Już przed laty 15 Raehlmann, wespół z Witkowskim, potwierdził spostrzeżenie Kussmaula, że u dzieci podczas pierwszych dziesięciu dni życia, a nawet zaraz po urodzeniu źrenice reagują na światło. Znany odruch pomiędzy nerwem wzrokowym i okoruchowym, dzięki któremu bodziec świetlny sprowadza zwężenie źrenicy, istnieje przeto natychmiast po urodzeniu, zupełnie tak samo jak odruchy wywoływane u tych samych dzieci na skórze tułowia i kończyn. Dowiedziono też wówczas już, że u dzieci we śnie zachodzą takie ruchy oczu, które w zupełnéj znajdują się sprzeczności z prawami kojarzenia, znanemi dla ruchów oczu u ludzi widzących. Podobne niedokładności

i rażące niewłaściwości w ustawianiu osi oczu można również spostrzegać u dzieci nie śpiących. Bezpośrednio również można było dowieść, że aż do 10 dnia życia zupełnie nie istnieje u dziecka koordynacya pomiędzy ruchami oczu i powiek, która w następstwie tak zdaje się silnie być zakorzenioną. Oko i powieka bardzo często zupełnie niezależne od siebie wykonywają ruchy: górna powieka bywa podnoszoną lub opuszczaną, kiedy gałka oczna pozostaje nieruchoma lub odwrotnie.

Prof. Raehlmann w ciągu kilkunastu lat, przy każdéj nadarzającéj się sposobności na nowo podejmował swe obserwacye, a zebrawszy obfity materyał, obecnie znów z nim występuje. Ze spostrzeżeń robionych nad dziećmi, przytoczymy tu najważniejsze.

Dopiéro po piątym tygodniu życia zauważyć można u dziecka celowy wybór pomiędzy licznemi możliwemi ruchami oczu i powiek, poczém szybko wyrabia się na całe życie pełna harmonia pomiędzy temi ruchami, służąca do wpatrywania się w dany przedmiot. Tylko w razie osobliwych zakłóceń chorobnych w czynnościach nerwów, harmonia ta mąci się w ten sposób, że przypomina w zupełności ruchy, spostrzegane u dzieci przed piątym tygodniem życia. W tym czasie także przypadają dopiéro pierwsze doświadczenia, robione przez dziecko w celu przystosowywania wzroku przez odpowiednie zwężenie lub rozszerzenie źrenicy.

Lecz podobnie jak sam odruch świetlny źrenicy jest przyrodzony, tak téż przyrodzonemi są krótkotrwałe, odruchowe drgania mięśnia okołoocznego, które wywołują znany ruch mrużenia oczu. Zauważono już dawniéj, że sprowadzić można zamknięcie powiek przez mrużenie przy dotknięciu rzęsy lub przez proste dmuchanie na nią. Odruch mrużenia można zresztą jeszcze w inny sposób wywołać u noworodków, mianowicie drażniąc skórę około oka lub na policzku, w granicach rozgałęzienia drugiéj gałązki nerwu trójdzielnego. Jak wiadomo, każdy dorosły człowiek mruży oko, gdy nagle szybko zbliżamy mu do oczu przedmiot, oczywiście, jeżeli odruch nie zostaje stłumiony przez akt woli. Natomiast dzieciom w pierwszych tygodniach życia można szybko lub powolnie zbliżać rękę do oczu, nie wywołując mrużenia. Należy przeto odróżniać niejako dwa rodzaje odruchu przy zamykaniu powiek, zależne od spółdziałania z jednéj strony gałązek skórnych nerwu trójdzielnego (w powiece) i gałązek nerwu twarzowego, z drugiéj zaś nerwu twarzowego i wzrokowego; z tym pierwszym odruchem dziecko już na świat przychodzi; drugiego dopiéro się uczy, wykazując go około ósmego tygodnia życia.

Wogóle całe zachowanie się oczu przy zjawiskach odruchowych

pozwala mniemać, że wrażenia świetlne na obwodzie siatkówki dość późno dochodzą do świadomości i nie wcześniéj zostają spożytkowywane do celów patrzenia. W zgodności z tém znajdują się ruchy, polegające na skojarzonych bocznych zwrotach oczu. Występują one wogóle dopiéro pod koniec piątego tygodnia. Jeśli w tym czasie na pewnéj odległości trzymać przed dzieckiem pośrodku ciała jakiś jasny lub barwny przedmiot, można z osobliwéj zmiany wyrazu twarzy, a także z nagłego przerwania ruchów rączek np., które dziecko przedtém wykonywało, przekonać się, że przedmiot jest widziany. Gdy następnie przedmiot ten, w który dziecko utkwiło wzrok, powoli w kierunku poziomym w bok przesuwamy, oczy śledzą za nim, lecz głowa pozostaje nieruchomą. Przy szybkiém usunięciu przedmiotu, oczy dziecka tracą go natychmiast, a również dzieje się to wówczas, gdy z pierwotnego położenia usuwamy przedmiot powoli, wszakże nie w kierunku poziomym, lecz w pionowym, w górę i w dół. W trzynastym tygodniu życia wykonywa już niemowlę regularnie ruchy głowy i oczu jednocześnie; w tym samym czasie wytwarza się też pewnego rodzaju kojarzenie pomiędzy ruchami oczu a słuchem. Bardzo często zwraca dziecko oczy i głowę w stronę, z któréj dochodzi nagły szmer. Wówczas także rozpoczyna się ćwiczenie w zakresie dwuocznego widzenia: oczy dziecka zwykle podówczas zwrócone są na rączki i śledzą ich ruchy.

Spostrzeżenia Preyera, w których fizyolog ten usiłował dowiedziéć się, kiedy dzieci poczynają odróżniać barwy, dają, według Raehlmanna, cenne wskazówki o umysłowym rozwoju dziecka, lecz nie są w stanie rozstrzygnąć pytania o powstawaniu wrażeń barwnych. Próby odpowiednie, podejmowane na dzieciach, mogą nas pouczyć, kiedy dziecię tak jest posunięte w rozwoju umysłowym, że potrafi odosobnić w pamięci jakościowo różne wrażenia i wiązać nazwy barw, poznane przez zmysł słuchu, z odpowiedniemi wrażeniami wzrokowemi; mogą nam też wskazać, kiedy dziecko posiadło dość pamięci słów, aby nie mieszać z sobą nazw rozmaitych barw. Lecz ze spostrzeżeń tych nie powinniśmy nigdy wnioskować o tém, że wrażenie barwy powstaje w określonym okresie życia dziecięcego. Co prawda, z bezpośredniéj obserwacyi nie da się powiedziéć, że skoro dziecko ma w dany przedmiot utkwiony wzrok, że widzi ten przedmiot we właściwéj mu barwie.

Po piątym tygodniu życia dopiéro, pokazując dziecku jednakowego kształtu przedmioty, lecz zabarwione na kolory dopełniające, można wyczytać z wyrazu twarzy i minek dziecka, że widzi różnice pomiędzy przedmiotami. Jeśli dziecko późniéj zamienia nazwy barw, wybierając np. próbkę czerwoną, gdy żądamy odeń zielonéj, to do-

wodzi tylko, że nie potrafi ono jeszcze wiązać dokładnie nazw z odbieranemi wrażeniami barwnemi. Prócz tego, gdy dzieci już odróżniają nawet t. zw. główne barwy, trudno im jeszcze zawsze pogodzić ze znanemi nazwami rozmaite odcienie barwy i jasności. Barwa póty stanowi dla dziecka własność podrzędną, póki postrzegana przez nie forma i kształt przedmiotu wystarczają do odróżniania.

Nie inaczéj ma się rzecz ze stojącemi w niskim stopniu rozwoju ludami; język ich po większéj części rozporządza niewieloma nazwami, które wyrażać muszą nieskończoną różnorodność odcieniów barwnych. Geiger, Gladstone, Magnus i in., opierając się na określeniach barw, napotykanych w starych pomnikach literatury, przyszli do wniosku, że w czasach owych niektóre poszczególne barwy (farby) nie istniały, że zjawiły się one dopiéro w późniejszych pokoleniach owych narodów. Lecz przechowały się do czasów naszych stare kamienne pomniki, statuy, gruzy gmachów i t. p., znacznie starsze od owych pisanych świadectw, a zachowujące obecnie jeszcze wszystkie barwy widma słonecznego jako niezbity dowód normalnie rozwiniętego zmysłu barwnego swych twórców. Naród Estów, w prowincyach nadbałtyckich należy, podobnie jak Finni, do rodziny uralo-ałtajskiéj. Obecny ich język wykazuje dużo naleciałości niemieckich i ruskich. W języku tym osobne nazwy istnieją tylko dla barwy czerwonéj, żółtéj i zielonéj. Pomiędzy niemi wyraz, oznaczający zielony „*rohilane*“, pochodzi od „*rohi*“ — trawa i oznacza właściwie w dosłownem tłumaczeniu „trawiasty“; dla barwy niebieskiéj, fijoletowéj i in. Estowie nie mieli pierwotnie wyrazów w swym języku. Używane obecnie odnośne nazwy zapożyczone są albo z rosyjskiego, jak „*siny*“ (błękitny), albo z niemieckiego, jak „*prum*“ (braun, brunatny). Chłopi estońscy często nie używają wcale właściwych barwom nazw, posługując się natomiast określeniami, dowodzącemi, że wrażenia barwne doskonale odróżniają; tak więc barwy widma oznaczają, mówiąc: „krew“, „wosk“, „trawa“, „niebo“.

Powracając do spostrzeżeń nad dzieckiem, możemy powiedziéć, że z funkcyi zmysłu wzrokowego tak, jak ich używa w życiu późniejszém, nic ono prawie z sobą na świat nie przynosi; że natomiast cały rozwój aktu patrzenia i widzenia stosunkowo powolnie się odbywa. Dwie główne w tym względzie można w życiu dziecka odróżnić epoki piąty tydzień i piąty miesiąc po urodzeniu. Zazwyczaj w ciągu piątego tygodnia powstaje zdolność wpatrywania się w przedmiot, znajdujący się w kierunku linii widzenia. Współcześnie ruchy oczu zostają regulowane, tak, że występują skojarzone zwroty gałek ocznych podnoszenie i opuszczanie osi widzenia. Ruchy te wiążą się ściśle

z piérwszym świadomym aktem widzenia; występują one na to, aby dziecko mogło zatrzymać na siatkówce obraz, który wzbudził jego uwagę. Brak wszakże jeszcze w owéj epoce zupełnie takich ruchów oczu, które mają na celu uprzystępnić dokładne widzenie przedmiotów, znajdujących się na obwodzie pola widzenia. Najwidoczniéj obrazy optyczne, rysujące się na siatkówce po za żółtą plamką, nie mają jeszcze żadnéj wartości dla postrzeżeń dziecka. Przemawia za tém i ten fakt, że nie można wywołać odruchu zamknięcia powiek przy szybkiém zbliżaniu przedmiotu od części bocznych pola widzenia. Wreszcie w tym czasie też rozwija się zdolność koordynacyi ruchów gałki ocznéj i powiek, oraz umiejętność celowego zwężania i rozszerzania źrenic.

Druga epoka, przypadająca w piątym miesiącu, służy głównie rozwojowi zdolności oryentowania się w polu widzenia. Teraz dopiéro dają się zauważyć pierwsze właściwe próby przenoszenia wzroku z przedmiotu na przedmiot, przemieszczania osi oczu w przestrzeni. Wyzwala się też obecnie dopiéro odruch powiekowy przy zbliżaniu przedmiotu od strony obwodowéj pola widzenia. Przypadają także na ten czas dopiéro pierwsze próby dotykowe pod kontrolą oka, próby, które kojarzą wrażenia wzrokowe z wrażeniami odbieranemi przez skórę.

Okoliczność, że rozwój wszelkich tych poszczególnych funkcyi oczu przypada zawsze prawie w typowym porządku, przemawia dostatecznie za tém, że istnieje określona „dyspozycya“ fizyologiczna, wyznaczająca z góry czynność zmysłu wzroku i sposób jego rozwoju, a odziedziczona przez człowieka od doświadczenia ubiegłych pokoleń, wrodzona dziecku, jako utajona w komórkach mózgowych siła. Dziedzictwo to, przynoszone przez indywiduum na świat, występuje niejednokrotnie jako upośledzenie w postrzeganiu wzrokowém, jak tego dowodzą wypadki dziedzicznego daltonizmu, oraz obserwacye nad zezującemi dziećmi jednéj rodziny.

Zawsze jednak obserwacye podobne do powyższych dawać mogą wnioski tylko wielce prawdopodobne. Niemożebność porozumiewania się z dzieckiem, składania przez nie same świadectw popierających i wyjaśniających daną obserwacyę, w wielu razach zaciemnić może wytłómaczenie faktu. To też szczęśliwsi jesteśmy w tym względzie przy obserwowaniu dorosłych osób, które, ślepe od urodzenia, odzyskują wzrok wówczas, kiedy wykształcenie ich umysłowe bez pomocy wzroku doszło już do pewnego stopnia. Osoby takie są w stanie dzielić się z nami wrażeniami odbieranemi przez zmysł nagle funkcyonować poczynający.

Dwie takie osoby miał sposobność obserwować niedawno temu prof. Raehlmann, i zebrał przytém moc ciekawych szczegółów.

Ślepi od urodzenia pozbawieni są zupełnie wyobrażeń optycznych. Niemniéj jednak ludzie ci mają pojęcie o świecie zewnętrznym, oraz przestrzennych wymiarach przedmiotów. Ślepy nabył wyobrażenia o kształtach przedmiotów, dzięki innym zmysłom, zwłaszcza dzięki dotykowi, który zazwyczaj w wysokim stopniu ma rozwinięty. Gdy człowiek taki przejrzy, musi on porównywać i zestawiać nowe swe doświadczenia, których nagle dostarcza mu wzrok, z nabytemi dotychczas przez dane zmysły doświadczeniami, musi nową swą wiedzę o wymiarach i przestrzeni wcielić i przystosować do tego systemu poglądów przestrzennych, który urobił sobie poprzednio. W ten sposób jednocześnie jest on w możności wypowiedziéć, czy i o ile oglądana obecnie przestrzeń różni się od tego, czego się dotykał, będąc jeszcze ślepym.

Raehlmann operował 19-letniego młodzieńca, inteligentnego, który od urodzenia do chwili operacyi z powodu katarakty zupełnie nic nie widział. Dotychczasowa literatura psycho-fizyologiczna nie ma materyału, któryby w równie cenny sposób dał się dla nauki spożytkować. Inny przykład operowanéj kobiéty bardziéj już jest pospolity; to téż głównie zajmiemy się tu pierwszym.

Ślepemu J. R. operowano najprzód prawe oko, a w dwa tygodnie późniéj lewe. Doświadczenia nad jego zmysłem wzroku podjęto w cztery tygodnie po operacyi prawego, w dwa po operacyi lewego oka; do tego czasu oczy wciąż były zawiązane. Przez pierwsze 10 dni pacyent obserwowany jest w pozycyi siedzącéj lub leżącéj, późniéj dopiéro przy próbach oceny odległości i t. p. pacyent sam porusza się w przestrzeni.

Z samego początku pacyent dostrzega głowę operatora, lecz na pytanie, co widzi, odpowiada: „Coś białego i ciemnego". Następnie pokazują choremu blaszany kubek do napojów, używany przezeń codziennie. Chory usiłuje utkwić wzrok na przedmiocie i w przeciągu kilku minut wykonywa osobliwe drgające i obrotowe ruchy oka; widać wyraźnie, że ma wielką trudność w odnalezieniu tych skojarzonych z sobą ruchów, które są konieczne do utrzymania gałki ocznéj, dla wpatrywania się w przedmiot z danéj odległości; stopniowo dopiéro, po licznych próbach oko przywyka do przyjęcia położenia odpowiedniego, którego jednakże długo zachować nie jest w stanie. Pacyent dostrzega ukazywany mu przedmiot, lecz gubi go natychmiast, gdy ze środka pola widzenia usuwamy przedmiot bardziéj ku obwodowi. Na pytanie, co widzi, odpowiada: „Coś jasnego, białego".

Każą mu ująć przedmiot; wyciąga prawą rękę od strony klatki piersiowéj w poprzek piersi w górę i przed siebie, powoli i ostrożnie przesuwa ją obok przedmiotu, za daleko naprzód, następnie cofa, wreszcie obejmuje przedmiot palcami, poczém powiada, że jest to jego kubek. Gdy mu ten sam kubek pokazano po raz drugi, poznał go natychmiast.

Przy otwartych oczach pacyenta, profesor pokazuje mu swą głowę, zwrócony doń twarzą. Pacyent powiada, że widzi coś jasnego i ciemnego, czego przedtém nie było. Powiadają mu, że jest to głowa i twarz profesora. Przygląda się teraz uważnie, z widoczném zainteresowaniem, wciąż uśmiechając się, ile razy spogląda na twarz.

Nazajutrz po odjęciu przepaski, pacyent otwiéra oczy i oświadcza, że lepiéj już widzi. Ruchy oczu są istotnie spokojniejsze; chory ogląda się dokoła, lecz więcéj poruszając głową niż oczyma. Po każdym zwrocie głowy dostrzedz można uśmiech zadowolenia. Twierdzi, że doskonale widzi, lecz nie poznaje ani jednego przedmiotu, prócz kubka, z którym poznał się dnia poprzedniego. Na pytanie, czy poznaje coś w przestrzeni, zwraca głowę i oczy na lewo, wskazuje biały piec kaflowy i drzwi, i dobrze nazywa obadwa przedmioty. Dodać trzeba, że i pieca i drzwi często się dotykał, wstając dawniéj z łóżka i za pomocą tego doświadczenia poznał ich stosunkowe względem łóżka położenie. Pokazują mu podstawkę porcelanową i tegoż kształtu naczynie porcelanowe 10 razy większe; to ostatnie z odpowiednio większéj odległości; obadwa przedmioty uważa za jednakowe, a po obmacaniu bliższego, obadwa nazywa podstawkami. Łyżkę nazywa czémś błyszczącém i poznaje dopiéro po dotknięciu się; również dopiéro po dotknięciu poznaje but własny.

W dwa dni późniéj zaraz po zdjęciu opatrunku, poznaje twarz siedzącego przed nim profesora; powiada, że to ta sama twarz, którą już raz widział. W kierunku linii widzenia szybko zbliżano rękę do oczu pacyenta, regularnie zachodzi mrużenie oczu; przy zbliżaniu ręki z boku przed oko nie można dostrzedz ani śladu mrużenia.

Znów po dwu dniach powtarza się doświadczenie z podstawką i miską; obadwa przedmioty pacyent uważa za jednakowe. Pokazują mu łyżkę, nóż i widelec; poznaje widzianą już przedtém łyżkę; nóż i widelec dopiéro po obmacaniu. Mała łyżeczka i duża łyżka stołowa, widziane z różnych odległości, wydają mu się tym samym przedmiotem. Jeden z lekarzy - asystentów trzyma przed chorym swą głowę; pacyent powiada, że ma przed sobą twarz nie tę, którą przedtém widział, lecz nie umié powiedzieć, czém się widziane twarze różnią. Odróżniając następnie obiedwie twarze, nie jest jednakże w stanie

określić, co w twarzach tych jest nosem, okiem, brodą i t. d., lecz gdy dotknął się jednéj części, brody, dopełnia sobie resztę, posuwając rękę ku górze, dotykając się nosa i dobrze określa te części, powiadając nawet, że oczy są czarne. Pokazują mu duże lustro, w którém widzi tylko swą własną twarz, lecz powiada, że widzi „innego pana doktora“; poznaje, że ta nowa twarz nie ma brody“. Małego psa, którego mu pokazują, nie poznaje; wié tylko, że przedmiot ten się porusza, że jest szary. Dotyka się go, maca włosy, lecz poznaje w nim psa dopiéro po warczeniu.

Pokazują pacyentowi kulę i sześcian z jednakowéj barwy drzewa, o równych średnicach. Widząc obadwa przedmioty obok siebie, odróżnia je, lecz nie umié powiedziéć, który jest okrągły, a który ma kąty. Obok kuli pokazują mu okrągły krążek, obok sześciana deseczkę kwadratową, o tych samych ciągle średnicach. Pacyent nie potrafi odróżnić krążka od kuli, ani deseczki od sześcianu. Sądzi, że ma przed sobą zupełnie jednakowe przedmioty. Po wielokrotném obmacywaniu kuli i sześcianu, wprawdzie odróżnia je od siebie i powiada, że pierwszy przedmiot jest okrągły, a drugi kanciasty; lecz daléj nie umié odróżnić krążka od kuli, ani kwadrata od sześcianu. Nawet po bliższém rozglądaniu krążka i deseczki i po przekonaniu się, że nie są one podobne do kuli i sześciana, miesza jeszcze wciąż odpowiednie przedmioty, zwłaszcza jeżeli nie widzi jednocześnie krążka i kuli lub deseczki i sześcianu i nie może ich porównywać. Najtrudniéj pojąć mu różnicę pomiędzy kwadratową deseczką i sześcianem.

Z dwu równéj wielkości przedmiotów bardziéj oddalony wydaje się pacyentowi mniejszym. Trudno mu przytém wogóle utrzymać wzrok utkwiony na odległym przedmiocie. Jakkolwiek małe przedmioty, np. zegarek rozpoznaje zdaleka, jeżeli powoli odsuwać mu od oczu, to jednakże nawet dużych przedmiotów, np. osób nie odróżnia od reszty otoczenia, jeżeli te znajdują się dość daleko lub nieco na uboczu.

Jednym dniem znów później inna osoba (dotąd nie widziana) pokazuje mu swą twarz o téj saméj mniéj więcéj barwie włosów i tego samego kształtu brody co lekarza-asystenta. Pacyent powiada, że widział już tę twarz, że jest to właśnie doktór. Lecz za ukazaniem się tego ostatniego, poznaje go i powiada, że tamta różni się nieco od twarzy doktora.

Innego dnia pokazują pacyentowi butelkę; nie wié, co to za przedmiot. Raz pokazują mu w zwykłéj stojącéj postawie butelkę, drugi raz kładą ją poziomo, z szyjką zwróconą ku jego twarzy; pacyent powiada, że widział dwa różne przedmioty. Pomimo starań,

nie może nic dokładniejszego powiedziéć; dopiéro po wstrząsaniu butelką, w któréj jest woda, poznaje i powiada, że to butelka.

Na białych tekturowych tabliczkach pokazują mu czarne krążki, o średnicy 7 centymetrów i jednakowéj od siebie odległości; pacyent ma powiedziéć, ile krążków widzi. Najwidoczniéj brak mu pojęcia o liczbie w sensie optycznym, t. j. o tyle, ile chodzi o odróżnianie liczebne wrażeń na siatkówce. Po wielu daremnych próbach poznaje najprzód tabliczkę z dwoma krążkami, przyczém w charakterystyczny sposób odszukuje pojedyńczych krążków nie ruchem oczu, lecz przez poruszanie głowy i liczenie. To samo powtarza się, gdy mu pokazują tabliczki z 4, 5 i 6 krążkami. Trzymając głowę prosto, prowadzi ją najprzód do jednego punktu, następnie do drugiego i t. d., unikając troskliwie ruchów oczu. Przed tabliczką z dwoma krążkami, wykonywa najprzód ruchy głowy w górę po nad krążki na prawo i na lewo, szuka u dołu i u góry, widocznie, aby się przekonać, czy nie ma więcéj krążków; następnie dopiéro powiada, ile znalazł.

Zapytują pacyenta, czy dawniéj już kiedyś dotykał konia i czy może sobie wyobrazić kształt i wielkość konia. Odpowiada twierdząco z największą pewnością, że już prowadził konia za cugle, że nawet jeździł konno. Następnie pokazują mu zbliska dużą, ciemną butelkę; ogląda ją dokładnie i w końcu sądzi, że to chyba jest koń. Lecz czuje się późniéj mocno zawstydzony, gdy po obmacaniu przedmiotu odkrywa dużą (10-litrową) butelkę. Na zapytanie asystenta, jakże można mieszać z sobą tak różne przedmioty, jak butelkę i konia, pacyent po pewném wahaniu odpowiada: „Tak, to jednak nie tak łatwo“.

W dziesięć dni po operacyi zupełnie zdjęto choremu przepaskę i porusza się swobodnie. Według zdania inteligentnego chorego który w tym samym znajdował się pokoju, nasz pacyent przez pewien czas wykonywał na sobie spostrzeżenia i w osobliwszy sposób ćwiczył się w patrzeniu. Tak np. zdejmuje but, rzuca go na pewną odległość od siebie, następnie stara się ocenić, jak daleko but leży od niego; robi kilka kroków, zbliżając się do buta i stara się go podnieść, nie dosięga go, robi znów kilka kroków, znów wyciąga rękę, aż nareszcie podnosi. Bardzo jest zajęty swemi sąsiadami chorymi, stara się ich odróżniać, dotyka się głów, rąk, ramion, oddzielnych części twarzy, wpatrując się w nie uporczywie.

Nazajutrz pokazują mu zbliska cienkie czarne nitki na białém tle, poznaje je, wyciąga rękę i nie myląc się, ujmuje. Dwie małe dziewczynki, 6 i 8-letnią, które pokazują mu z pewnéj odległości, po-

czytuje za dorosłych ludzi; i zbliska poznaje je dopiéro, dotknąwszy się odzieży, włosów i t. d., powiada, że to dzieci, dziewczynki.

W ogrodzie bezustannie myli się w ocenianiu odległości drzew, krzewów, klombów, porusza się bardzo ostrożnie z wyciągniętemi, napół zgiętemi rękami, lecz nigdzie się nie potyka. Chce ujmować odległe przedmioty, jakgdyby znajdowały się tuż obok niego. Wielkie sprawia na nim wrażenie światło i cień w blasku słońca.

Po pewnym czasie pokazują pacyentowi 3 zapałki, oddalone od siebie o 3 centymetry; zapytany, czy widzi je, odpowiada: „bardzo wyraźnie“. Zapytany o liczbę, powiada, że nie może jéj określić; dopiéro po dłuższém przyglądaniu się, podaje dobrze liczbę. Portret olejny w naturalnéj wielkości rozpoznaje tyle tylko, że go nazywa człowiekiem i że ma coś w sobie, co go różni od innych ludzi, których dotychczas widywał. Te same dziewczynki, które wczoraj widział, poznaje, lecz myli się, mówiąc, że to chłopcy.

Pacyent nabywa coraz większéj wprawy w ocenianiu stosunków przestrzennych; coraz rzadziéj się myli, coraz częściéj poznaje przedmioty i osoby. W celu wypróbowania nabytéj lokalizacyi obrazów na siatkówce, owiązują oczy chorego i następnie kładą go w taki sposób na odpowiedni stół, że górna część ciała i głowa zwieszone są ku dołowi. Po zbliżeniu się do twarzy jego asystenta, którego twarz i postać dobrze mu są znane, zdejmują przewiązkę z oczu chorego, każą mu się pilnie przed siebie wpatrywać i znów potém wiążą mu oczy. Po oswobodzeniu pacyenta z nienaturalnego położenia i zdjęciu przewiązki, powiada on, że widział doktora odwróconego, z nogami do góry. Portret olejny, który dawniéj już widywał poznaje; powiada, że to człowiek nie żyjący, jakkolwiek wygląda jak żywy. Po dłuższém przyglądaniu się, mówi, że jest w tém trochę ruchu. Powiadają mu, że to malowany obraz człowieka; nie umié żadnego o tém wyrobić sobie pojęcia. Jak poprzednio już, stawiają mu przed twarzą lustro; widzi swój obraz i twierdzi, że już kilkakrotnie widział tego człowieka. Dotknąwszy się ramy lustra, powiada, że i to musi być obraz. Teraz pokazują mu w lustrze obok jego własnéj twarzy inną, któréj oryginał znajduje się tuż obok jego głowy. Pacyent miesza się w wysokim stopniu, powiada, że twarz tę często widział, a zapytany, czy to obraz profesora, oświadcza, że to niemożliwe, ponieważ twarz profesora znajduje się obok jego twarzy. Gdy go przekonywają, że to istotnie twarz profesora spogląda kilka razy niedowierzająco przez ramię i przyznaje późniéj, że widzi dwa razy tę samą twarz. Każą mu późniéj robić doświadczenia dotykowe; stara się dotknąć twarzy w zwierciadle, wyciąga rękę po za zwierciadło i t. d. Powiadają mu

wreszcie, że przedmiot, po za którym widzi twarze, jest lustrem. Wpatruje się długo w lustro; nagle odkrywa, że ruchy jego powtarzają się w zwierciadle, i oto rozpoczyna się komiczna gra twarzy. Pozostawiają go w spokoju; przez pół godziny prawie stoi przed lustrem; najprzód porusza ramię w górę i na dół, uśmiechając się ustawicznie, następnie dotyka ręką rozmaitych części swego ciała. W ten sposób stopniowo budzi się w niém rozumienie tego wszystkiego, co ogląda. Wkrótce umié odróżnić portret malowany od obrazów w zwierciadle. Przy powtarzaniu poprzednich doświadczeń znika niepewność; wreszcie odróżnia kulę i krążek, sześcian i deseczkę kwadratową; liczy coraz wprawniéj i szybciéj punkty na tekturze. W jakie dziesięć tygodni po operacyi prawego oka opuszcza klinikę.

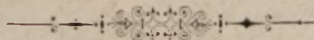
Wybaczy czytelnik, że dość szczegółowo podałem główne doświadczenia, robione z pacyentem prof. Raehlmana. Są one zbyt ciekawe, bym je miał opuszczać na tém miejscu; stanowią one materyał nietylko nader zajmujący dla nauki, lecz każdemu myślącemu człowiekowi dostarczają tematu do interesujących rozmyślań i wniosków. Przedewszystkiém zaś dowodzą, że w podobny sposób rozwija się zdolność spożytkowania wzroku przez nowonarodzone dzieci i ludzi dorosłych, którzy naraz zdobyli wzrok. Wynika stąd niezbicie, że całkowity kompleks wyobrażeń wzrokowych nabywamy drogą empiryczną, że składa się on powoli z pojedyńczych doświadczeń czynności zmysłowéj i że na ukształtowanie się tych pojęć silnie wpływa poznanie, zdobyte na polu czynności innych zmysłów.

Lecz co odgrywa główną, rolę w czynności mózgowéj, przy przenoszeniu pierwszych wrażeń świetlnych do świadomości, tego nie jesteśmy w stanie wykryć ani przy obserwowaniu dzieci ani na ślepo urodzonych po operacyi. Zjawisko, zachodzące przy uświadomieniu sobie najprostszych faktów fizycznych, może na zawsze pozostanie dla nas nieprzeniknioném. Tyle wszakże na pewno powiedziéć można, że w świadomości téj nie istnieje nic, coby uprzednio nie zostało zebrane przez doświadczenie zmysłu wzroku.

Wniosek téj analizy—powtarzamy za Raehlmannem—prowadzi więc do znanego starego wyrzeczenia:

„Nihil est in intellectu, quod non prius fuerit in sensu“.

Maksymilian Flaum.





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Bronisław Dembiński, „Rzym i Europa przed rozpoczęciem trzeciego okresu soboru trydenckiego.“ Część pierwsza. Kraków, 1890. Odbitka z XXVII t. „Rozpraw wydziału filozoficzno-historycznego Akademii Umiejętności w Krakowie.

Coraz donośniejsze wołania żądają od cechu historycznego, żeby nie pisać ciągle wyłącznie o Piastach, Jagiellonach i Wazach, ale zająć się też czynnie niwą historyi powszechnéj, która w literaturze naszéj przerażającemi świeci pustkami. Nie należę do tych, którzy absorbowanie naszych sił historyograficznych przez temata swojskie uważają za jakiś objaw chorobliwy; aż nazbyt jest bowiem naturalném, że początkujące żeglarstwo brzegów się trzyma. U wszystkich narodów praca historyograficzna obraca się najpierw w kole swojskiém; dopiéro wtenczas, gdy ilość historyków należycie się powiększy, następuje pielęgnowanie historyi powszechnéj. Studyum historyi powszechnéj tam tylko rzetelnie się rozwija, gdzie się oparło już na tradycyi naukowéj historyografii rodzimé i na niéj ciągle coraz bardziéj nadal opiérać się może, tak że w miarę, jak tamto się rozwija, i to, lecz w stopniu jeszcze wyższym rozwijać się musi. Istnieje wszędzie pewien mniéj więcéj stały stosunek pomiędzy rozwojem historyi narodowéj, a pracą tegoż narodu około historyi powszechnéj. To téż głęboko jestem przekonany, że np. Niemcy stosunkowo nie bardziéj od nas zajmują się historyą powszechną, a my stosunkowo nie mniéj od nich. Różnica bezwzględna jest wprawdzie olbrzymia, ale pochodzi stąd, że na niwie historyografii krajowéj właśnie, mamy jeszcze sto razy mniéj od nich pracowników, a środków pomocniczych tysiąc razy mniéj. Według stawu grobla.

Początkujący żeglarze, — że wrócę do tego porównania — trzymają się brzegów, ale z konieczności tylko, nie z zasady; wyczekują też wszyscy z utęsknieniem téj chwili, kiedy zdołają odbić daleko od wybrzeża, na środek oceanu, a żeglarz, który do tego da hasło, może być pewnym przynajmniéj sympatyi. To też od kilku lat zwracała się u nas uwaga na osobę docenta uniwersytetu krakowskiego, z którego pracą zamierzam zapoznać historyków. Cieszymy się wszyscy z wydania jego książki, bo widzimy w niéj dowód, że statek nasz własny umiejętności historycznych dość już jest udoskonalony, skoro może odbić daléj od brzegów; poczynamy tedy mieć na tyle tradycyi środków naukowego badania, metody i zmysłu historycznego, że możemy pomyśléć o historyi powszechnéj.

Pierwsza tego rodzaju książka w nowéj szkole historycznéj traktuje... o kościele i papiestwie. Objaw to godzien uwagi, a autorowi wypada przyklasnąć, że trafił od razu na główny prąd dziejów. Nie to bowiem jest historyą powszechną, co nie jest np. polską, ale to, co wkracza w dziedzinę historyi każdego narodu, a kryteryum to do niczego nie przystaje tak dokładnie i zupełnie, jak do historyi Kościoła. Instytucya kosmopolityczna w założeniu swém i celu, a jednak liczy się zawsze i wszędzie skrupulatnie z właściwościami narodowemi, boć przecie na narodowych indywidualnościach się opiéra; (Kościół powszechny bez narodów, to *contradictio in adiecto*). Skutkiem tego badanie dziejów Kościoła nadaje się przedewszystkiém do wykrywania pierwiastków powszechno-dziejowego znaczenia z jednéj strony, a z drugiéj równocześnie do oznaczania stopnia i jakości udziału każdego narodu w ogólnym postępie dziejowym, a to właśnie jest zadaniem historyi powszechnéj. Jeżeli rozwój téj nauki odbywa się normalnie, musi spełniać obadwa zadania równorzędnie. Charakterystyka narodów, jako współczynników ludzkości, winna być hasłem jéj adeptów. Jak ludzkość bez narodów jest czczą utopią, tak też nie mogą miéć trwałéj naukowéj wartości te przedstawienia historyi powszechnéj, które powstają pod wpływem doktrynerskiego kierunku. nakazującego suszyć sobie głowę nad wynajdywaniem w dziejach momentów takich, wobec jakich zacierały się rzekomo różnice narodowe. Po pewnym czasie okaże się, że one nigdy się nie zacierały; owszem, im bardziéj zainteresowały się ludy jaką kwestyą wspólną, tém wybitniéj występowały ich odrębności. Nie popadnie w ten błąd doktrynerski, kto dobrze rozumie dzieje jedynego prawdziwie kosmopolitycznego kościoła, t. j. katolickiego. Bierzmy sobie za dobre *omen* to rozpoczęcie studyum historyi powszechnéj od „Rzymu i Europy“! Jeżeli, zwróciwszy się ku dziejom powszechnym, nie

zaniedbamy historyi kościoła i papiestwa, możemy mieć nadzieję, że nie pojawi się u nas żadna niepotrzebna „powszechno-dziejowa“ doktryna, od któréj bodaj nas los ustrzegł! Na polskiéj historyografii mamy przykład, ile w niéj szkód i spustoszeń wyrządziła... doktryna.

Oczywiście, niezbędnym pozostanie warunkiem, ażeby nie być dla papiestwa ani panegirystą, ani że się tak wyrażę, naukowym przedrzeźniaczem, jakich pełno. Dr. Dembiński nie ma tendencyi ani jednéj, ani drugiéj; nie ma wogóle tendencyi żadnéj po za dążnością wykrycia prawdy dziejowéj. Przez cały tok obszernéj książki nie popisuje się nigdzie przed czytelnikiem z swemi sympatyami lub antypatyami; stwierdzając, co było i jak było, nie nadużywa pracy naukowéj; nie uważa wydania monografii historycznéj za dobrą sposobność do wydrukowania przy téj okazyi w urywkach jakiego odczytu polityczno-społecznego, jak się to często zdarza. Ciesząc się tedy z wyboru tematu cieszyć się wypada tém bardziéj, że go obrał sobie *ten* autor.

Z tych powodów zaraz po pierwszém przeczytaniu książki zyskuje nasze sympatye. Ale w nauce to tyle, co nic. Sympatyi nie odmawiamy w życiu nieraz czynom chybionym, mierząc „siły na zamiary“; nauka zaś nie uznaje żadnych takich zapędów i pyta z zimną krwią, czy będzie dla niéj z téj pracy jaki nowy dorobek? Trzeba więc książkę przeczytać jeszcze po raz drugi i trzeci, i to z tym zamiarem, ażeby... analizować.

Pierwsze pytanie, czy autor zna metodę naukową, tutaj odpada; nie jest już nowicyuszem. Drugiém z kolei pytaniem, która krytyka zadać winna autorowi źródłowéj monografii, jest: co nowego?

Praca d-ra Dembińskiego nowy całkiem podaje rezultat, bo téż w znacznéj części na nowym, nieznanym dotychczas opiéra się materyale. Podróżom swym archiwalnym zawdzięcza autor bogate nowe źródła. Relacye posła weneckiego przy Watykanie, biskupa Mula, z biblioteki królewskiéj w Berlinie. Korespondencya Filipa II-go z Chantonayem, posłem hiszpańskim we Francyi, depesze ambasadora weneckiego w Paryżu, Michiela, tudzież przyczynki do korespondencyi posła francuskiego w Rzymie, biskupa z Angoulême, Babou de la Bourdaisière—z archiwum narodowego i biblioteki narodowéj w Paryżu. Listy kardynała Boromeusza do nuncyusza hiszpańskiego Reverty, biskupa Terraciny i do nuncyusza polskiego Berarda, biskupa Camerino—z archiwum tajnego stolicy apostolskiéj. Akta konsystorskie z archiwum konsystoryalnego w Watykanie i z biblioteki Corsinich w Rzymie. Nareszcie listy nuncyusza w Wiedniu, Hozyusza

z biblioteki Jagiellońskiéj w Krakowie. Mając taką wiązankę źródeł nowych, zabrał się autor do nowego opracowania sprawy tylekroć już omawianéj, a zestawiwszy swój materyał z całém mnóstwem poprzednio już wydanego i po większéj części opracowanego, doszedł jednak w swéj pracy do nowego rezultatu, a mianowicie twierdzi, że Pius IV-ty od samego początku pragnął szczerze wznowienia soboru trydenckiego i że sam papież jest inicyatorem tego decydującego w dziejach kościoła zgromadzenia. Dotychczas sądzono, że Pius IV-ty wobec projektu soboru zachowywał się mniéj lub więcéj opornie. Zważyć bowiem trzeba, że ze współczesnych nikt może w szczerość papieskich intencyi nie wierzył; przeciwnie, jak źródła bezpośrednio świadczą, powszechne było w całéj Europie przekonanie, że stolica apostolska soboru sobie nie życzy, a przekonanie to udzieliło się następnym pokoleniom.

Z pracy d-ra Dembińskiego wynika, że niesłuszna ta opinia o Piusie IV-ym wyrobiła się na podstawie pozorów, opartych głównie na dwóch okolicznościach: na planach politycznych papieża, tudzież na tém, że papież innego, a dwory katolickie innego sobie soboru życzyły.

Pius IV-ty był Medyceuszem i jako taki sprzyjał florenckiemu Cosimowi I, który nosił się z ambitnemi zamiarami przywdziania korony toskańskiéj; sankcyą dla nowego tronu królewskiego miało być małżeństwo Cosima z siostrą Filipa II-go, przyczém także jeden z nepotów papieskich, Hannibal z Hohenems, miał zaślubić Izabellę Aragońską. Kombinacya taka zapewniłaby Medyceuszom stanowczą przewagę nietylko w północnych, ale też w południowych Włoszech. Pius IV-ty przedstawił tę sprawę cesarzowi, a z Filipem II-im traktował dużo przez nuncyuszów; gdy jednak i cesarz i król hiszpański okazali się stanowczo przeciwnymi, papież się nie upierał, i nie przedsiębrał żadnych środków, ażeby zamiar ten osiągnąć wbrew cesarzowi i Hiszpanii; przeciwnie, najusilniejszych dokładał starań, żeby z dworami najlepsze utrzymać stosunki i ze swéj strony nie wywoływać trudności, któreby mogły zaszkodzić sprawie soborowéj. Zagranicą jednak rozchodziły się przesadne fałszywe wieści, że papież stoi na czele ligi narodowéj, która zwróci się tak przeciw Francyi, jak przeciw Hiszpanii, a Cosimo nie o toskańskiéj, ale o włoskiéj myśli koronie. Pogłoski takie wzbudzały na dworach nieufność dla papieża z politycznych względów, bo się bano jego polityki włoskiéj, a gdy nuncyusze czynili zabiegi równocześnie w jednéj i drugiéj sprawie: soborowéj i toskańskiéj, podejrzywano papieża, że mu więcéj zależy na téj, która dla dworów właśnie ważniejszą, bo politycznie

aktualniejszą chwilowo była, t. j. na toskańskiéj. Spychano na papieża winę trudności akcyi soborowéj przez to, że przeszkody wynikające z saméj istoty rzeczy przypisywano jego wymysłom, tłómacząc je sobie tém, że nie o duchowną, ale o świecką sprawę mu chodzi. Ale papież takich osobistych wymysłów i wykrętów nie miał, a sprawę toskańską traktował na drugim planie, dopiéro po soborowéj; w tamtéj ustępował, a tę narzucał; to po pracy d-ra Dembińskiego należy już uważać za pewnik [1]).

Autor sam atoli przyznaje, że interes domowy Medyceuszów, wikłając się równocześnie z akcyą soborową, utrudniał ją przez to, i że Piusowi IV-mu byłoby łatwiéj zwołać sobór, gdyby nie sprawa toskańska. To zdanie niezupełnie się może ostać wobec krytyki, ale przedtém trzeba poznać drugą przyczynę nieufności współczesnych względem Piusa IV-go, zasadniczą różnicę sposobu pojmowania soboru pomiędzy nim a dworami katolickiemi.

Pius IV-ty nie wierzył w możność pogodzenia protestantów z kościołem, podczas gdy dwory w téj właśnie tylko intencyi domagały się soboru. Poprzednie sesye soboru trydenckiego potępiły już właściwie protestantów, to téż rządy chciały nowego soboru, na którymby dekrety trydenckie mogły jeszcze podlegać dyskusyi i w którymby protestanci mogli wziąć udział, jako strona równouprawniona z katolikami; papież zaś chciał tylko prostego dalszego ciągu soboru trydenckiego, t. zw. zniesienia zawieszenia soboru. Cesarz bał się, że w razie wznowienia dawnego soboru powrócą znowu dawne zaburzenia w rzeszy, ale Francya po odkryciu spisku w Amboise chciała próbować zaprowadzenia na nowo jedności religijnéj za pomocą soboru narodowego, jeżeliby nie zebrał się szybko sobór powszechny taki, któryby dogadzał hugonotom. Nie osobiste przekonania Ferdynanda I-go lub Franciszka II-go i Guisów, ale racya stanu,

---

[1]) Jest-to całkiem naturalne, że papież miał także świecką politykę: będąc świeckim monarchą we Włoszech, mieć ją musiał. Późniéj, w 4 lata po śmierci Piusa IV-go, w r. 1569 nastąpiła nareszcie koronacya Cosima na Wielkiego Księcia Toskańskiego, ale nie powiodły się plany Piusa IV-go poddania południowych Włoch pod władzę rodziméj dynastyi włoskiéj, nad czem ze stanowiska legitymizmu narodowego ubolewać tylko należy. Przedstawienie włoskiéj polityki Piusa IV i Piusa V czeka jeszcze na chętnego autora, a jest-to temat niezmiernie ciekawy i ważny. Pius V nie był Medyceuszem, a jednak uważał za stosowne wzmocnić ten ród; Pius V, jako papież, był przeciwieństwem Piusa IV i przypominał raczéj Pawła IV-go, a jednak w polityce świeckiéj, włoskiéj, tak podobny do swego poprzednika! To téż żaden może ustęp z historyi świeckiéj papiestwa nie byłby tak pouczającym, jak opracowanie polityki tych dwóch papieży.

przed którą się ugięli, rzeczywiste potrzeby jednego i drugiego państwa w danéj chwili sprawiły, że dwa te katolickie dwory występowały wobec kuryi w roli rzeczników wymagań protestanckich. To też zamiar papieski wznowienia soboru trydenckiego, wyrażony przez papieża jeszcze przed koronacyą dnia 4 stycznia 1560 r., natrafił w Wiedniu i w Paryżu na bezwzględną opozycyę.

Pius IV-ty był praktycznym politykiem. Będąc papieżem, mógł sobór zwołać bez względu na dwory, dokądkolwiek chciał, ale liczył się z tém, że uchwały takiego soboru, zwołanego bez porozumienia się z rządami, pozostałyby martwą literą: choćby nawet sobór się zebrał, to rządy odmówilyby ich wykonania. Chcąc zapewnić sobie egzekucyę uchwał soborowych, należało koniecznie z dworami się układać naprzód. Otóż Pius IV-ty rokował bez ustanku i to w ten sposób, że nie ustąpił w niczém ze swego stanowiska i nie wytworzył żadnego prejudykatu na rzecz protestantów, a jednak okazywał się przytém łagodnym, pokojowo usposobionym i wydawał się skłonnym do ustępstw, o których w rzeczywistości wcale nie myślał.

Poprzednik jego, Paweł IV-ty, zwany „straszliwym starcem“, zraził sobie surowością swoją wszystkie dwory europejskie; Pius IV zaraz z początku zjednał sobie sympatye posłów zagranicznych, którzy z zachwytem wyrażali się o jego dobréj woli. Bo też Pius IV-ty uznał od razu cesarzem Ferdynanda, któremu Paweł odmawiał uznania dlatego, że cesarz politykował z protestantami. Paweł IV-ty nie życzył sobie soboru, a jeżeliby już w ostateczności koniecznie musiał był go zwołać, zamierzał to uczynić tylko w Lateranie; nowy papież z góry zapowiedział, że przyszły sobór bezwarunkowo nie w Lateranie się odbędzie. Miejsca na razie urzędowo nie wyznaczając, w bulli wydanéj 25 marca mówił tylko ogólnikowo o św. soborze powszechnym. Po złożeniu obedyencyi przez cesarza w lutym, pojechał z końcem marca do Wiednia Hozyusz na stanowisko nuncyusza; w sprawie soboru miał tylko oświadczyć, że papież pragnie go zwołać, ale nic stanowczego orzec nie może, bo nie przybyli jeszcze z obedyencyą posłowie francuski i hiszpański. Papież osobiście był jednak już zdecydowany; poseł hiszpański, Vargas, który bawił w Rzymie jeszcze od konklawe, już 18 stycznia miał wiadomość, że Pius IV-ty ma na myśli Trydent, co zupełnie było zgodne z prawdą.

Poselstwo obedyencyjne francuskie, sprawione dopiéro 2 maja, przyniosło papieżowi przykrą niespodziankę; poseł żądał wprawdzie w imieniu króla Franciszka i Maryi szkockiéj jak najprędszego zwołania soboru powszechnego, ale równocześnie pisał kardynał Lotaryński o potrzebie zwołania we Francyi soboru n a r o d o w e g o.

Przeciw temu Pius IV-ty stanowczo zaprotestował, posła zaś francuskiego zapytywał już wyraźnie o to, czy król na Trydent przystanie. Zagadnięty niespodzianie odpowiedział, że nie ma polecenia ani przystawać, ani odmawiać.

Z Hiszpanią były odmienne stosunki. Papież nie czekał — jak wypadało—aż Filip II-gi złoży obedyencyę, ale sam pierwszy wyprawił do Toledo nuncyusza. Rzecz dziwna i niesłychana! Autor tłómaczy to gorącą chęcią zbliżenia się do dworu hiszpańskiego celem wczesnego porozumienia się co do soboru; nie wyjaśniając jednak bliżéj motywów staje się w tém miejscu mniéj zrozumiałym, lubo informacye zawarte na różnych miejscach w jego własnéj książce krok ten najzupełniéj wyjaśniają. Wszak Pius IV-ty zaczął od tego, że zaznaczał ostentacyjnie na każdym kroku, do jakiego stopnia potępia postępowanie swego poprzednika. Paweł IV-ty był zaciętym wrogiem Hiszpanów, wojował z Filipem II-im, a więc Pius IV-ty tém bardziéj stał się uprzedzającym; poselstwo ks. Reverty, biskupa Terraciny, miało położyć koniec politycznéj nieprzyjaźni, co więcéj, papież nietylko pokoju, lecz przyjaźni i sojuszu pragnął z Filipem ze względu na sprawę toskańską. Szkoda, że autor nigdzie na jedném miejscu nie zestawia tych spraw, choć każdą z osobna epizodycznie traktuje obszernie; przedstawienie zyskałoby przez to na wyrazistości, a konstrukcya na przejrzystości.

Co do soboru, Filip II-gi nie życzył go sobie wcale osobiście. Jest-to nowy rezultat badań autora, i stanowi istny przewrót w dotychczasowych sądach o stosunku do soborowéj sprawy króla katolickiego, uważanego za „ojca soboru.“ Źródła niewątpliwéj wiarogodności świadczą wymownie, że Filip II-gi, przystając na zwołanie soboru, był przekonany, że czyni ustępstwo na rzecz kościoła. Autor wskazuje tu i owdzie, jakie przyczyny mogły sprawiać, że sobór wydawał się w téj chwili Filipowi dla jego państwa niekorzystnym, mianowicie stosunki z Holandyą i z Anglią, ale czyni to w sposób nader niedostateczny, tak, że nawet nie można sobie na podstawie tego, co sam autor mówi, wyrobić zdania, czy słusznie rzecz tłómaczy. Ta kwestya jest téż najsłabszą stroną książki, i pozostaje zagadką dla czytelnika, dlaczego Filip II-gi byłby wolał, żeby soboru całkiem nie zwoływać.

Ustąpił jednak Filip i nietylko na sobór przystał, ale w myśl papieskich intencyi, na wznowienie trydenckiego. Tu bowiem, na hiszpańskim dworze, Pius IV-ty jawnie wystąpił ze swemi zamiarami co do soboru. Wiadomości o postanowieniu królewskiém udzielono nuncyuszowi hiszpańskiemu w kwietniu prywatnie. Po-

seł (hr. di Tendilla), składający obedyencyę w Rzymie dnia 16 maja, nie przywiózł z sobą żadnego oświadczenia urzędowego w téj sprawie. Papież, mając już obedyencyą wszystkich trzech zachodnich mocarstw katolickich, zapowiedział na konsystorzu 29 maja, że zamierza zwołać posłów, ażeby wobec nich znieść zawieszenie i wznowić sobór trydencki, który nigdy nie był odwołany, dodając zarazem, że będzie na tym soborze „*liber accessus et decessus.*“ W pięć dni potém, 3-go czerwca, zwołał papież rzeczywiście posłów do Watykanu, i oznajmił już wszystkim urzędowo, że jest za Trydentem.

W tém miejscu wypadnie zwrócić uwagę na niestosowny sposób przedstawienia sprawy. Autor kładzie nacisk na to, że papież nie czekał na urzędowe oświadczenie Filipa II-go (które nadeszło do Rzymu dopiéro 18 czerwca), a czytelnik, zapewne mimo woli autora, odnosi takie wrażenie, jak gdyby papież działał bez względu na dwór hiszpański, nie troszcząc się o to, czy Filip oświadczy się za nim, czy przeciw niemu. Razi to, ponieważ na każdym kroku widzimy, jak Pius IV-ty dbał wielce o porozumienie z dworami, a zwłaszcza, ile mu zależało na dobrych stosunkach z Hiszpanią. Inaczéj też całkiem rzecz się przedstawi, gdy zważymy, że już w kwietniu wiedział papież od swego nuncyusza hiszpańskiego, że Filip da przychylną odpowiedź i że sam Filip już 11 maja uwiadamiał Franciszka II i Ferdynanda I, że poprze wznowienie dawnego soboru. Na *te* dwie okoliczności należało w tym związku położyć nacisk, kiedy u autora giną niedostrzeżone, oddzielone nadto od swego właściwego tła przestrzenią pięciu rozdziałów; należało na nie zaraz w pierwszym rozdziale zwrócić uwagę czytelnika.

Jakkolwiek papież zastrzegł *liberum accessum et decessum*, zamiar zwołania soboru do Trydentu obudził podejrzenia i wielką niechęć w Niemczech i we Francyi. Ażeby zmniejszyć wpływ protestantów na tych monarchów, starał się Pius IV-ty wzbudzić w nich obawy ze względów dynastycznych i przekonać ich, że własny interes wymaga z ich strony wierności dla kościoła, a w szczególności obecnie poparcia soboru powszechnego i zezwolenia na wznowienie trydenckiego. Francyi zapewniono nawet zbrojną pomoc przeciw hugonotom ze strony Hiszpanii, ażeby dwór francuski „zrzucił maskę z pomocą króla katolickiego.“ Przywiązanie Guisów do katolicyzmu nie zaślepiało ich jednak do tego stopnia, ażeby nie mieli spostrzedz, że dla państwa i monarchii lepiéj jest wynaleść z hugonotami *modus vivendi*, niż zgnębić ich z obcą pomocą, skoro własne siły na to nie wystarczają. Rząd francuski nie ustępował i żądał ciągle nowego soboru, grożąc w przeciwnym razie zwołaniem narodowego; zebrały się nawet

w Fontainebleau stany i uchwalono zwołać stany generalne na 10-go grudnia do Meaux, a biskupów na 20 stycznia 1561 r. do Paryża, dokąd ich wzywał rzeczywiście patent królewski z 10 września. Cesarz podawał deklaracye do tego stopnia zgodne z deklaracyami francuskiemi, że kurya miała te dwory stale w podejrzeniu, że działają na podstawie jakiéjś wzajemnéj umowy. Ferdynand żądał jeszcze komunii *sub utraque* i zniesienia celibatu. Papież nie chciał sam rozstrzygać téj sprawy, ale odnosił ją umyślnie do soboru, a czy na nim będą obowiązywały poprzednie dekrety trydenckie, o tém zachowywał milczenie.

Cały szereg poselstw, spieszących tu i tam na różne strony, przesuwa się przed nami z powodu różnicy zdań pomiędzy kuryą a dworami. Autor przedstawia całą tę różnorodną, a nader zawikłaną akcyę dyplomatyczną systematycznie, wyczerpująco, sumiennie i jasno. Na tle negocyacyi występują świetnie rysowane postacie osób działających; każdy nuncyusz, ambasador lub doradca korony, prawnik, czy teolog, skreślony piórem jego wyraziście, a tok układów przedstawiony zręcznie, tak, że nieraz czytelnik przenosi się *in medias res* akcyi. Ale im lepiéj i gruntowniéj przedstawiony cały ten nawał trudności porozumienia się co do soboru, tém bardziéj narzuca się czytelnikowi przekonanie, że autor zupełnie zbytecznie zastrzegł się, że przy najlepszéj woli papieża sprawa toskańska utrudniała jednak jego działalność i przysporzyła soborowi trudności. Widzimy bowiem na każdym kroku jasno, dzięki znakomitéj w téj części fakturze książki, że wobec sprawy soborowéj dwory francuski i niemiecki nie kierowały się żadnemi względami na politykę świecką Piusa IV-go, ani nawet na własną zagraniczną, ale wyłącznie i jedynie względami swojéj krajowéj polityki wewnętrznéj. Nigdy, ani razu, nic innego nie wywarło wpływu na stanowisko króla Franciszka lub cesarza; jeżeli Francya mówi ciągle o protestantach w Niemczech, czyni to przecież tylko z powodu swoich hugonotów! Cesarz bardzo był interesowanym w sprawie toskańskiéj, ale w sprawie soboru kierował się jednym tylko względem: względem na protestantów. Zachodziła tu zasadnicza różnica pomiędzy nimi a papieżem, który tylko z katolikami się liczył. Obie strony, kurya i te dwa dwory miały szczerą i dobrą wolę, ale każda—do czego innego. Przeciwieństwo to nie wynikało z przygodnéj konstelacyi politycznéj, ale z odmiennych poglądów na sprawę ruchu religijnego i dlatego nie zależało bynajmniéj od tego, czy papież ma równocześnie jakie świeckie cele na oku, czy nie. Chociażby Pius IV-ty nie pragnął korony dla Cosima, i tak Francya i Niemcy pragnęłyby wolnego soboru, a ponieważ o to właśnie tylko chodziło,

jakim ma być przyszły sobór, więc sprawa toskańska niczego tu pogorszyć, ani poprawić nie mogła, bez niéj byłyby i tak te same trudności.

Na dworze Filipa II-go trudności były innego rodzaju. Wiemy, że najpierw soboru sobie całkiem nie życzył; skoro jednakże nań przystał, chciał dwóch rzeczy trudnych z sobą do pogodzenia: żeby to była kontynuacya dawnego soboru trydenckiego, ale zwołana w porozumieniu z Francyą i cesarzem. Posłał mu tedy papież kopie deklaracyi niemieckiéj i francuskiéj! Filip II-gi urzędowo uwiadomił cesarza, że pragnie wznowienia trydenckiego soboru; stał tedy po stronie kuryi, ale zarazem krępował papieża nadmiarem swéj troskliwości o sobór. W Toledo rozstrzygało się zasadnicze pytanie, czy przyszły sobór ograniczyć postanowieniami dawnego, czy nie; ulegając życzeniu Filipa II-go, postanowił nareszcie papież, że poprzednich dekretów ani nie potwierdzi publicznie, ani nie odwoła. Jakkolwiek osobiście żarliwy katolik, nie zapominał jednakże król, że ma pod swém berłem... Niderlandy. Ze względu téż na ten kraj nie chciał dopuścić do zawiązania bezpośrednich stosunków pomiędzy kuryą a Anglią i zmusił papieża, że odwołał swego legata, który już do Elżbiety wyjechał. Takie są główne fazy stosunku Filipa do akcyi soborowéj; wpływu sprawy toskańskiéj nie napotkamy w nich nigdzie; król, najbardziéj tą sprawą zainteresowany, najpierwszy na sobór przystał.

Pius IV-ty zgadzał się przenieść sobór następnie gdzieindziéj, byle tylko rozpocząć go w Trydencie. Jeszcze 13 października posłowie francuski i cesarski ponownie oświadczyli się przeciw Trydentowi; wkrótce potém dwór francuski przystał wprawdzie na Trydent, ale z tém zastrzeżeniem, że zwoła się tam n o w y sobór; pod tym warunkiem przystawała Francya na każde miejsce, na które się zgodzą Ferdynand i Filip. Nareszcie zgodził się i cesarz na Trydent, ale także pod warunkiem, że nie będzie to oznaczało wznowienia dawnego soboru. Skutkiem tego ogłosił Pius IV-ty na konsystorzu 15 listopada, że wszystkie dwory na Trydent przystają i przystąpił do dzieła.

Papież wykołatał tylko formalne ustępstwo w kwestyi miejsca, w sprawie zasadniczéj żaden dwór nie ustąpił ani na jotę. A jednak wytrawnemu politykowi wystarczyło to formalne ustępstwo; zapewniając ponownie „*omnibus liber aditus*“, nie rozstrzygając żadnéj sprawy zasadniczéj, lecz odsyłając je umyślnie do soboru, tém samém dyplomatyczną dyskusyę o nich zamykał, tém bardziéj, że pozostawiał soborowi wszelką wolność przenieść się, dokąd sam zechce. Ostrożnym był do tego stopnia, że w pierwszéj redakcyi bulli soborowéj nie było

ani słówka o wznowieniu soboru, jakkolwiek na zebraniu konsystorza i w wydanéj przedtém bulli jubileuszowéj wyraźnie zaznaczył, że znosi zawieszenie i wznawia dawny sobór trydencki; chodziło bowiem o to, ażeby nie rozrywać osiągniętéj i tak sztucznie „zgody“ dworów. Powstała jednakże silna opozycya przeciw téj redakcyi, mająca na czele generała Jezuitów, Laineza, który, jak tego wymagała sama istota jego zakonu, wystąpił przeciw niéj ze stanowiska dogmatycznego i wyłącznie kościelnego. Walka o redakcyę bulli przedstawiona obszernie, szczegółowo, a po mistrzowsku; znać w każdym ustępie, jak autor sam przejęty jest myślą, że ten spór o słowa „*indicere*“ lub „*continuare*“, to spór dwóch światów, które raz jeszcze w stanowczéj chwili na samym dworze papieskim walkę staczają; to też poczucie doniosłości téj chwili łatwo udziela się czytelnikowi. Ostatecznie zredagowano bullę tak, że nikt wprawdzie z niéj nie był zadowolony, ale każdego można nią było łudzić, a Pius IV, zniósłszy faktycznie zawieszenie soboru, postawił na swojém.

Nie podaję treści pracy d-ra Dembińskiego, zwracam tylko uwagę na jéj rezultaty; wątpię bowiem, czy celem recenzyi ma być dostarczenie surogatu zamiast czytania książki saméj. Zaznaczyć tylko muszę, że treść jest nadzwyczaj bogata i sięga nieraz daleko po za rok 1560-ty; praca ta nie jest samém tylko przedstawieniem dyplomatycznéj akcyi Piusa IV-go, ale zajmuje się wszechstronnie politycznym i religijnym stanem Europy w połowie XVI-go wieku. Obszerne ustępy, opracowane z wzorową sumiennością, zapoznają czytelnika ze sprawami każdego państwa. Świetną zwłaszcza jest charakterystyka państwa i społeczeństwa hiszpańskiego. W rozdziale o Francyi zarzucićby można, że autor zbyt nisko ocenił stanowisko i wpływ kanclerza L'Hòpitala, nie ginął on tak zupełnie przy kardynale Lotaryńskim, jak to autor twierdzi i kto wié, czy dziwne sprzeczności w postępowaniu Franciszka II-go, na które sam autor zwraca uwagę, nie pochodzą stąd właśnie, że czasem przeważał wpływ kardynała, a czasem kanclerza?

Polsce poświęcono także osobny rozdział, w którym niejeden nowy a ciekawy znajdujemy szczegół. Autor korzystał z tek ekspedycyi rzymskiéj zorganizowanéj niedawno przez prof. Smolkę, a pracującéj do dziś dnia bez przerwy. Na sprawę soboru narodowego w Polsce padło stąd nieco więcéj światła. Własnym poszukiwaniom autora zawdzięczamy możność stwierdzenia, że kurya bezustannie wzrok na Polskę miała zwrócony i informowała starannie dwór polski o przebiegu rokowań soborowych. Bezpośredniego udziału jednak w tych rokowaniach Polska nie miała wcale i wogóle nie pozostawała

w żadnym związku z całą tą rozległą, a zawikłaną akcyą dyplomatyczną; wynika to może z tego, że podczas gdy inne państwa zajęte właśnie były polityką wewnętrzną, dla której sprawa soborowa miała jak najdonioślejsze znaczenie, Polska właśnie zajętą była sprawami zewnętrznemi, dla których sobór nie był kwestyą aktualną, a król przebywał na samych północno-wschodnich kresach swego państwa. Co do saméj osoby królewskiéj, autor stara się, o ile w jego pracy jest do tego sposobność, rehabilitować tę postać dziejową i nie uważa Zygmunta Augusta za człowieka słabéj woli, ale za polityka, dla którego łagodność jest systemem, a który umyślnie w sprawie reformacyi nie chce sam sobie „rąk rozwiązywać.“ Do dania wyczerpującego wizerunku króla nie miał jednak autor sposobności, a zresztą uznaje to całkiem słusznie za rzecz niemożebną. Z rozdziału o Polsce poznaje się téż należycie, jak mało jeszcze posiadamy źródeł do tych czasów; te, które przybyły w ostatnich czasach, na nowe tylko zagadki zwróciły naszą uwagę, ale nie dały wcale środków do rozwiązania ich. Wystarczy przytoczyć na dowód słowa d-ra Dembińskiego: „trudno dokładnie powiedziéć, co król myślał o polityce i działaniu rzymskiéj kuryi“, ażeby zrozumiéć, jakie w naszych źródłach są luki.

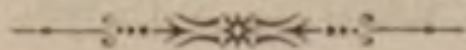
W rozdziale tym razi wzmianka o zakonie „kawalerów mieczowych“ i o „wielkim“ mistrzu Ketlerze. Kawalerowie Mieczowi przestali istniéć w r. 1237-ym; od tego roku był w Inflanciech Zakon niemiecki, ci sami zupełnie Krzyżacy, co w Prusiech. Ketler był tylko inflanckim landmistrzem, a wielkim mistrzem od czasu sekularyzacyi Prus „*deutschmeister*“ w Mergentheimie.

Ostateczna ocena książki téj może jednak być tylko pochlebną i to nader pochlebną dla autora; pomimo wytkniętych wątpliwości, dzieło to wypada nazwać cennym nabytkiem naukowym naszéj literatury, a nowość i doniosłość wyników téj pracy, opartych na gruntownych studyach, zapewnia jéj trwałą wartość. Napisana po francusku lub po niemiecku znalazłaby się niezawodnie w każdéj bibliotece i pracowni naukowéj, bo treść jéj jest tego rodzaju, że, nie znając jéj, nie można już miéć należytego pojęcia o stosunkach przed zwołaniem trzeciego okresu soboru trydenckiego, dotyka bowiem kwestyi zasadniczych tych stosunków, a sąd o nich na nowe, prawdziwsze, wprowadza tory. Po polsku napisana, musi na razie na skromniejszéj poprzestać roli i zrzec się najpożądańszych właśnie czytelników, którzy dla jednéj książki nie będą uczyć się języka. Nie wątpię jednak, że każdy uczony, miłujący swój przedmiot, nawet mandżurskiego nauczy się języka, jeżeli w tym języku znajdzie wydatną dla swych badań naukowych literaturę; cudzoziemcy będą się uczyli po polsku, gdy im

to korzyść znaczniejszą przyniesie w ich studyach. Jest-to kwestya ilości dzieł równie dobrych, jak praca d-ra Dembińskiego. Dzięki więc autorowi za pierwsze godne powszechnéj uwagi dzieło w zakresie studyum historyi powszechnéj.

Na zakończenie słówko jeszcze z powodu braku niemal zupełnego śladów polskiéj dyplomacyi w akcyi soborowéj. Takie braki spostrzega się częściéj w różnych sprawach powszechno-dziejowych i stwierdza się je z jakiémś uczuciem zawodu i upokorzenia; nasuwa się bowiem wniosek, że nas to nie interowało należycie, a o nas nie dbano; stąd fałszywe poczucie jakiéjś niższości wśród narodów europejskich nawet w „epoce złotéj“... Nie mam prawa rozpisywać się o tém szerzéj, ale niech mi wolno będzie na konkretnym przykładzie przygotowań do soboru w r. 1560-ym okazać pewną stronę téj kwestyi. Oto większa połowa nuncyuszów i posłów, agentów i gońców rozsyłanych wówczas ciągle pomiędzy Rzymem, Wiedniem, Paryżem a Toledo, miewała w zanadrzu obok soborowéj jakąś sprawę polityczną, np. toskańską, genewską. W sprawie soboru powiedziano sobie czasem po kilka razy jedno i to samo różnemi słowy, ale w kwestyi politycznéj trzeba było koniecznie nowego wyprawić posła! Poselstw poświęconych jedynie i zupełnie wyłącznie samemu tylko soborowi jest niewiele.

Czy szczupłość relacyi Polski z kuryą w porównaniu z ogromem tych relacyi w państwach zachodnich tłómaczyć można tém, żeśmy w historyi powszechnéj na dalszym stanęli planie? Czy téż raczéj jest-to prosty skutek tego, że nie mieliśmy na półwyspie apenińskim żadnych interesów politycznych? Stosunki nasze z Rzymem są zawsze szczupłe dlatego tylko, że mieliśmy je wyłącznie ze stolicą chrześciaństwa, a żadnych zgoła ze stolicą państwa papieskiego, bo z tém państwem nigdy nas nic nie wiązało. Brak stosunków politycznych relacyi pomiędzy Polską a Rzymem doprowadza do pesymistycznego złudzenia, jakobyśmy niżéj od innych stali w tych relacyach zasadniczych, którym jedynie przyznać można znaczenie powszechno-dziejowe. *Dr. Felix Koneczny.*



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Kazimierz Gliński.* **Wspomnienie Tatrów**, z marzeń o szaréj godzinie (Warsz., T. Paprocki, 1891, str. 73 i VIII). — **Z walk życia**, obraz dramatyczny (Warsz., E. Skiwski, 1891, str. 29). Czytelnikom „Ateneum“ nie potrzebujemy szczegółowo przypominać zalet umysłu

i pióra p. Kazimierza Glińskiego, znają go bowiem oni od lat wielu z kilku utworów wierszem i prozą tu drukowanych. Jest on niewątpliwie wychowańcem romantyzmu, nie walczącym wprawdzie przeciwko prądom nowym, lecz tęsknie spoglądającym na natchnienie lat młodocianych, unoszącym „do słońc i za słońca.“ Natura to miękka, serdeczna, z uczuciem płomienném, spragniona przyjaźni, harmonii i wdzięku, a zmuszona łamać się z ciężkiemi, raniącemi przeszkodami życia powszedniego, tém cięższemi i nieznośniejszemi, że powszedniemi. Ucieka też od téj szarzyzny w kraj pamiątek dalszych czy bliższych, ażeby odetchnąć głębiéj i szerzéj. Jego „Wspomnienia Tatrów“ nęcą głównie dlatego, że mu przypominają czasy studenckie, gdy bez troski o jutro szedł, a raczéj biegł wraz z ukochanym przyjacielem na szczyty i rozkoszował się wspaniałym, rozległym czy groźnym widokiem Morskiego Oka, Krywania, Kościeliskiéj doliny. Jego uwielbienie przyrody spojone jest jaknajściśléj z przyjemnością dzielenia się uczuciami z towarzyszem podróży. I dziś spisuje te wspomnienia z całą gorącością i bezpośredniością uczuć młodocianych, w téj nadziei, że one przed pamięcią przyjaciela:

Przelecą, błysną jak srebrne motyle,
Co się do słońca złotego wyroją
W jego się blasku skąpać — i potrącą
Duszę twą, niby harfy strunę drżącą
I może, dawno zapomniany, stary
Druh twój ku tobie dłoń wyciągnie wdzięczną—
I wraz z nim pójdziesz gonić złote mary,
Jak to bywało niegdyś, w noc miesięczną.

W chwilach owych widzi najszczęśliwsze dni swego życia — i błogo mu, rozkosznie, kiedy o nich mówi. Wtedy ani znużenie, ani głód, ani niebezpieczeństwo życia nawet nie istnieje dla niego; uczucie sympatyczne przetwarza wszystko w tkań złotą poezyi, która stokroć więcéj warta od chłodno rozpatrywanéj rzeczywistości. Ilekroć zaś myśl jego zwróci się do chwili obecnéj swego istnienia, zaléwa ją gorycz; zdaje się poecie, że „zgasłe popioły serca już nie tleją iskrą żadną“, to znowu, że w tém sercu szaleje burza sroższa i zimniejsza, aniżeli najszaleńszy wicher na szczytach gór, bo „sny najlepsze kładzie do mogiły i w proch rozwiewa wszystkich lat nadzieje.“ Tak bywa wśród zwykłych nawet warunków życia, a cóż dopiéro się dzieje w tém sercu, gdy zajdzie kolizya pomiędzy najszlachetniejszemi natchnieniami a wymaganiem bytu codziennego, gdy poeta zmuszony będzie dla kawałka chleba obniżyć swój polot, ażeby się podobać tłumowi, ażeby napisać rzecz, która w jego własném poczuciu będzie

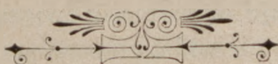
głupstwem, lecz znajdzie pokup? Są natury, umiejące bez bólu rozłamać się na dwoje: dla chleba tworzą rzeczy popłatne na targu, dla siebie i sztuki, — to, co popytu w danéj chwili nie znajduje. Ale są inne, którym takie rozdwojenie przychodzi z nadzwyczajnym wysiłkiem i cierpieniem, które nie mogą sobie darować przeniewierstwa, jak powiadają, względem ideału. W takie natury „grom bije“, gdy dla innych on „tylko błyska.“ Wówczas w nich powstaje ten rozstrój wewnętrzny, który p. Gliński odmalował w urywku dramatycznym „Z walk życia.“ Żona poety Janusza, jako strażniczka potrzeb codziennych, przypomina mu o potrzebie lekarstwa dla chorego dziecka i pobudza do śpiesznego ukończenia utworu, co ma dać na nie pieniądze. Poeta rozstrojony śpieszy z robotą, ale ciągle go od niéj odrywa myśl, że robota to licha, nędzna, daleka od tych marzonych oddawna wcieleń, które mu radość wewnętrzną i cześć u ludzi zjednać miały:

Ja, który chciałem omdlałemu światu
Myśli siew złoty sypać dłonią hojną
I w posągowych konturach dramatu
Rycerskich duchów pierś pokazać zbrojną,
I serce białe, mające woń kwiatu,
I czyny wielkie—i nieść śmierć spokojną
Tym, których dusza nigdy się nie karli,
By w błyskach gromu, jak bogowia marli—
Dzisiaj mam rzucić świat marzeń tęczowy
I własnych pragnień zaprzéć się nikczemnie?...

Wobec rozognionéj wyobraźni Janusza staje widmo poezyi i wypowiedziawszy prześliczną charakterystykę swojego znaczenia w życiu, żegna go z boleścią, bo już mu przestało być „silnych duchów wiarą“ i „szczęścia promieniem“, i znika „przy szumie wichru“, wobec „gromu i błyskawicy.“ Dziecko poety umarło, a on zostaje w osłupieniu, nie wiedząc co począć. Janusz jest poetą uczucia i w tym jedynie kierunku myśl jego natężona, nie ma siły ani możności chłodniejszego rozpatrzenia się w położeniu, nie znajduje wyrazów stosownych w odpowiedzi Widmu poezyi, boć to widmo to tylko ta sama myśl poety w kształty zewnętrzne przybrana. Całość jest trzymana w tonie wysokiego nastroju, wobec którego odezwania się żony rażą, jak „zgrzyt żelaza po szkle“, są niemiłosiernie płaskie, choć w gruncie rzeczy uzasadnione. Z dramatu pozostały tu oczywiście szczątki formy jedynie. Jest-to silny, piękny wybuch liryczny.

= **Listy z Brazylii** *Adolfa Dygasińskiego*, specyalnego delegata „Kurjera Warszawskiego“ (Warsz., Nakład „Kur. Warsz.“, 1891,

str. 201). Jest-to odbitka listów, pomieszczanych swojego czasu w „Kurjerze Warszawskim“ poprzedzona przedmową, wyjaśniającą okoliczności, wśród których wezwany został przez redakcyę „Kurjera“ do podjęcia podróży do Brazylii celem naocznego przekonania się, jakie podstawy mają obietnice agentów tumaniących ludność wiejską i jakie jest na miejscu położenie naszych chłopów. Przytém, ponieważ i w listach bezimiennych i poczęści w prasie, robione były podróżnikowi zarzuty niewłaściwe, a nawet ubliżające, czuł potrzebę p. Dygasiński wypowiedzenia zdania swego w téj mierze. Z goryczą stwierdza autor, że nie zadowolnił właściwie nikogo: w listach anonimowych, pisanych lub wprost do niego, lub do redakcyi „Kurjera“, nazywano go blagierem, oszustem, łgarzem, ba, nawet zdrajcą; na ulicach pokazywano go palcami i obiecywano kije. P. D. wybacza tłumowi z powodu zaślepienia jego, ale pyta się z bólem: „dlaczego czoło inteligencyi robi mi z jednéj strony bezmyślną reklamę, a z drugiéj szczypie?“ Na pociechę autora zaznaczyć należy, że pewna tylko część prasy go szczypała; inni może zamało zrobili, ażeby roztrząsnąć spokojnie wiadomości przez p. D. podane, ale bądźcobądź uznali, że nasz podróżnik zrobił wszystko, co w danych warunkach możliwém było dla niego; opisał wiernie, co widział, poczynając od Torunia, a kończąc na tych miejscowościach brazylijskich, które zwiedzić i poznać zdołał (Rio-Janeiro, Desterro, Itajahy, Masaranduba, Blumenau i kilka portów pomniejszych, odmalował żywo spostrzeżenia i wrażenia, jakich doznawał na widok błąkających się, znękanych i stęsknionych do kraju wieśniaków, którzy doznali zawodu wszędzie i we wszystkiém, zarówno w Bremie, jak na okręcie, jak i w Brazylii. Wymowne te słowa i listy, jakie autor przytacza, mogą, jeżeli dojdą drogą stosowną do wiadomości chłopów, ochłodzić ich zapał karmiony namowami i własną wyobraźnią, powstrzymają tłumny, nieraz bezmyślny popęd do opuszczania siedzib. A jeżeli jednym z wyników sprawozdań p. D. był wyjazd ks. Chełmickiego i p. Glinki do Brazylii, ażeby ułatwić powrót pewnéj części biédaków, to autor nie potrzebuje zbyt gorzko o swéj podróży się wyrażać, twierdząc, że ogólne niezadowolenie było jéj jedynym rezultatem. Książki polecać nie potrzebujemy, utoruje ona sobie sama drogę do jaknajliczniejszego rozpowszechnienia.



POLEMIKA.

Słów kilka z powodu oceny dziełka mego p. t. „Tajemnice przyrody“.

W zeszycie kwietniowym „Ateneum“ znalazłem ocenę mego podręcznika metodyki nauk przyrodniczych, w której sprawozdawca staje na tak odrębném stanowisku w poglądach dotyczących systemów pedagogicznych, iż zachęcony jego wezwaném do polemiki, czuję się w obowiązku w obronie zapatrywań moich wystąpić. Z góry zastrzedz się muszę, iż nie chodzi mi wcale o obronę mego dzieła, jakkolwiek się w polemice na niém opiérać będę, lecz jedynie o obronę przyjętych już zresztą powszechnie i w pedagogice od dawna uznanych metod. Przedewszystkiém zniewolony jestem zaznaczyć, że sprawozdawca nie zrozumiał widocznie ani przyjętego w dziełku systemu, ani użytych środków pedagogicznych, ani celu wykładów. Traktuje bowiem pracę moją jako systematyczny wykład nauk przyrodniczych, gdy już w pierwszych zdaniach wstępu do dziełka zastrzegłem się, iż wykłady moje stanowią tylko przejście od t. zw. nauki o rzeczach do wykładu systematycznego (str. 1). Sprawozdawca uważa, że wykłady rozpoczynam od zapoznawania uczniów z własnościami fizycznemi ciał dla tego, iż opiéram je na mineralogii, podczas gdy mnie w rzeczywistości nie chodziło w wykładach tych o żadną specyalną naukę i przy opisie zewnętrznych cech ciał nie odnoszę ich wcale do minerałów, lecz wogóle do wszystkich ciał, a rozpoczynam od nich dlatego, że przy samodzielném poznawaniu otoczenia dzieci same jedynie na cechy zewnętrzne uwagę zwracają (jak to zastrzegam na str. 11), tę więc własność umysłu uważamy w pedagogice za punkt wyjścia do rozszerzenia widnokręgu pojęć dziecka. Wreszcie, celem moim nie było wtłoczenie w umysły dziecięce tych lub innych danych naukowych, zostawiłem bowiem pod tym względem zupełną swobodę nauczycielowi (str. 2), zamiarem moim było tylko wprawienie nierozwiniętych jeszcze umysłów do systematycznego myślenia. Ponieważ tych trzech kardynalnych podstaw dziełka, które starałem się przeprowadzić, sprawozdawca widocznie nie dostrzegł, przeto staje on na nieodpowiednim punkcie zapatrywania się na całość pracy i nie widzi głównéj przyczyny, dla któréj nie uwzględniłem podziału materyału naukowego na oddzielne gałęzie wiedzy, jaki się wraz z rozwojem nauk wyrobił. Materyałem do my-

ślowych porównań i zestawień mogą być wszelkie przedmioty, bez względu na to, jak je uczeni uważali za odpowiednie rozklasyfikować. Dla tego też pedagogika nie ma potrzeby krępować się w doborze materyału jak nauka i ma też inne, aniżeli ona cale. Jak niewłaściwym byłby zarzut uczyniony dziełu ściśle naukowemu, że nie trzyma się układu pedagogicznego, lub, że nie posiłkuje się popularnemi wyrażeniami, tak w wyższym jeszcze znacznie stopniu dziwnym jest zarzut uczyniony dziełku pedagogicznemu, że nie trzyma się naukowéj klasyfikacyi wiedzy i nie podaje ściśle naukowych faktów. Celem pedagogiki nie jest nauczanie dzieci, lecz rozwijanie umysłów, wprawianie ich do samodzielnego wynajdywania dróg, któremi kierować się należy zarówno w nauce, jak i w życiu powszedniém. Odrębne dążenia prowadzą za sobą posiłkowanie się odmiennemi środkami.

Drogi indukcyjnego poznawania są we wszystkich kierunkach myśli jednakowe i najzupełniéj tak samo możemy się w nich oprzéć na faktach, należących urzędownie do fizyki, jak i na faktach zaliczanych do innych nauk. Gdybyśmy się więc nawet zgodzili na zdanie, że wykład fizyki powinien być nieprzebytym murem odgraniczony od wykładu chemii lub fizyologii i zamknięty w odrębnéj klasie szkolnéj, nie może to dróg pedagogiki zmienić i zmusić ją do przyjęcia dedukcyjnego układu pojęć, właściwego naukom ścisłym tam, gdzie chodzi o naturalny rozwój biegu pojęć w surowych umysłach. Jakkolwiek pedagogika uwzględnia odrębność ducha i metod każdéj oddzielnéj nauki, nie poddaje się jednak bezkrytycznie i bezwzględnie tym metodom, lecz zależnie od swego celu trzyma się metod własnych, które się wraz z jéj rozwojem wyrabiają. Dla tego nietylko godzę się na zdanie sprawozdawcy, że fizyk nie będzie dobrym nauczycielem botaniki, lub odwrotnie, lecz idę daléj jeszcze, utrzymując, że fizyk nie powinien uczyć dzieci nawet... fizyki, a botanik — botaniki, tak samo, jak np. botanik niekoniecznie musi być dobrym ogrodnikiem, pomimo pokrewieństwa przedmiotu ich zajęć, lub jak fizyk np. niekoniecznie może znać się na dziełach pedagogicznych, chociażby one nawet o fakty zaliczane do fizyki potrącały. Elementarny wykład jakiejkolwiek nauki, winien być prowadzony przedewszystkiém przez pedagoga. Dążność dzisiejszéj pedagogiki do wyswobodzenia swoich metod z pod krępujących ją metod naukowych, znalazła wyraz nawet w wynajdywaniu nowych nauk, nieznanych uczonym, mających wyłącznie cele pedagogiczne. Taką np. umyślnie w tym celu skomponowaną nauką jest t. zw. (zdaniem mojém niewłaściwie i jak sądzę niezupełnie odpowiadająca celowi, choć przez pedagogów bardzo ceniona) „nauka o rzeczach“. O ile jednak pedagogika ma cele i metody

odrębne, aniżeli nauka, a raczéj nauczanie nauk ścisłych, ujętych w całokształt skończonéj, kategorycznéj wiedzy, o tyle schodzi się ona w jednym punkcie z badaniami naukowemi, jak wogóle z badawczym kierunkiem myśli ludzkiéj: postępuje mianowicie drogą indukcyi. Taką drogą rozwijają się wszystkie nauki, taką drogą winny one też być, zdaniem tegoczesnéj pedagogiki przeważnie, o ile to jest możliwém, wykładane dla umysłów nieprzygotowanych jeszcze do dedukcyjnego myślenia. Zgadzam się w zupełności na to, że przy wykładzie oddzielnych nauk ścisłych, traktowanych jako odrębne przedmioty, wyróżnione treścią i koleją historycznego rozwoju, pierwszorzędną pedagogiczną wartość posiadają odmienne ich metody. Uczyniłbym co najwyżéj uwagę, że zasada metod badania jest we wszystkich naukach jednakowa, że różne nauki często wymieniają i dopełniają wzajem swoje metody, że różnice metod powstały przeważnie bardziéj skutkiem rozmaitego stopnia rozwoju każdéj nauki, aniżeli skutkiem odrębności przedmiotu badań i że wraz z rozwojem różnych gałęzi nauk przyrodniczych różnice te coraz bardziéj się niwelują. Dodałbym wreszcie jeszcze, że obecnie wszystkie nauki przyrodnicze posiłkują się wieloma poszczególnemi metodami wspólnemi; czyż bowiem innych metod używa przy badaniu przesiąkliwości fizyk, innych — chemik lub fizyolog, czy innemi prawami myślowemi kieruje się astronom przy klasyfikowaniu gwiazd, innemi botanik przy klasyfikowaniu roślin, lub chemik, klasyfikujący pierwiastki? Ale uwagi te czynię tylko w celu zaznaczenia potrzeby zwracania przy wykładzie uwagi uczniów na wspólność zasad myślenia, o czém zapominają zazwyczaj uczeni, lecz nie nauczyciele pedagogicznie wykształceni; wartość zasadniczych różnic ogólnych metod rozmaitych gałęzi wiedzy, jak powiedziałem, uznaję w zupełności. Czyż to może być jednak powodem do całkowitego rozdzielania nauk przyrodniczych w wykładzie elementarnym? Ależ w takim razie należałoby pójść znacznie daléj, bo przecież jeszcze większe różnice znajdziemy pomiędzy oddzielnemi częściami niejednéj nauki. Czyż nie inne są metody, nie inna wartość pedagogiczna i filozoficzna np. wyłącznie spostrzegawczéj anatomii roślin, nie inna—wyłącznie prawie doświadczalnéj fizyologii roślin, nie inna ogólnéj biologii świata roślinnego, a nie zupełnie odrębna— systematyki roślin? Czyż więc elementarny wykład botaniki należy rozłożyć na 4 klasy szkolne, każdą część téj nauki powierzyć innemu specyaliście i zamienić szkołę elementarną na uniwersytet? Czyż sprawozdawca tak daleko posuwa swe poglądy na odrębność różnych gałęzi nauk przyrodniczych, iż nie widzi, że jedną z wad oddzielnych wykładów tych nauk, koniecznych zresztą

dla dojrzalszéj młodzieży, jest to, że młode umysły rzeczywiście nie dostrzegają żadnéj pomiędzy niemi łączności, nie widzą wspólnych celów, do których różne drogi odrębnych gałęzi wiedzy prowadzą, nie zaciekawiają się dążnością do wykrycia ogólnych przyczyn i praw bytu, nie oswajają się z zależnością wzajemną różnych zjawisk, zaliczanych do odrębnych nauk, a tak ściśle nieraz z sobą naturalną przyczynową zależnością związanych, nie widzą wpływu postępów jednych nauk na drugie, nie uświadamiają sobie wreszcie przyczyn historycznych, które sprowadzają wyodrębnianie się różnych kierunków wiedzy?

Czyż z tych wszystkich powodów może być istotnie uważane za błąd pedagogiczny zestawienie faktów z różnych gałęzi nauk przyrodniczych w dziełku elementarném, zestawienie wypływające z naturalnéj asocyacyi myśli, nie wykształconych jeszcze na systemach dedukcyjnych, umysłów? Czyżby sprawozdawca istotnie po raz pierwszy napotkał tego rodzaju zestawienie dopiéro w mojém dziełku, nie znał jednocześnie wydanego np. dziełka Bert'a, które pomimo znacznie większéj nieścisłości naukowéj uważane jest za pierwszorzędne dzieło pedagogiczne z podobnym również kierunkiem; czyżby miał wreszcie nie zajrzéć jeszcze nigdy do jakiejkolwiek szkoły elementarnéj w Europie? Czyż istotnie lepszym ma być w drugiéj klasie systematyczny wykład fizyki, aniżeli ogólne pojęcia o świecie? Zarzut, że jeden nauczyciel nie może prowadzić z dziećmi wykładu opartego na danych wziętych z różnych spokrewnionych nauk, nie wytrzymuje przecież najsłabszéj krytyki. W takim wykładzie bowiem nie chodzi wcale o naukę we właściwém tego słowa znaczeniu, lecz o jéj wpływ na umysły; nauki właściwéj dzieci w szkołach w rzeczywistości nigdy nie nabywają, jakimkolwiek systemem byłaby prowadzoną; w wykładzie elementarnym różnica ducha i metod nauk nie odgrywa jeszcze znaczenia; prowadzenie takiego wykładu przez jednego nauczyciela jest uznaną koniecznością i nigdy chyba nie będzie możliwém, ani pożądaném posiadanie np. w szkołach elementarnych więcéj nad jednego lub dwóch nauczycieli. Rezultat takiego wykładu jest zależny od pedagogicznego uzdolnienia i naukowego wykształcenia nauczyciela, lecz nie od jego naukowéj specyalności. Niewątpliwie nauczyciel taki nie może być wszechstronnym uczonym i nieraz popełnić może błąd naukowy, ale jakaż to jest w szkołach ogólnych rzecz drobna wobec doniosłości tego faktu, że on jest specyalistą w swoim zawodzie; żaden najuczeńszy fizyk ani chemik, wygłaszający jak najściślejsze formułki naukowe, nie zastąpi w tym razie korzyści umysłowych, jakie daje dziecku pedagog. Możeby jaki Newcomb, wykła-

dając kosmografię dzieciom 2-éj klasy nie powiedział, że księżyc można rozpatrzéć przez najlepszą lunetę tak dokładnie, jak gdyby był odległy od nas o $2\frac{1}{2}$ mili, jak to twierdzi wielu popularnie piszących astronomów, lecz wyraziłby się, że „wątpliwą jest rzeczą, czyli księżyć był kiedykolwiek widziany tak dobrze“ i t. d., możeby nie powiedział dzieciom, że na księżycu widzimy góry i doliny, lecz wyraziłby się, że z rozkładu cieni wnosimy, że na nim... są góry i doliny (zapominając zresztą przytém, że i na ziemi nie widzimy gór ani dolin, wypukłości ani wklęsłości, lecz jedynie tylko rozkład cieni, a raczéj rozkład światła), choć wątpliwém jest dla mnie, czy istotnie jaki człowiek rozumny chciałby gmatwać pojęcia dzieci niepewnemi określeniami lub wyrażeniami naukowemi, których w dostępnych dla tych umysłów sposób wytłómaczyć nie potrafi; ale czy tego rodzaju pedantyzm naukowy względem dzieci 2-éj klasy posiada istotnie jakąś wogóle wartość pedagogiczną? Czyż istnieje jakakolwiek nauka, nie wyłączając matematyki, którąbyśmy byli w możności wykładać w szkole z istotną naukową ścisłością niezależnie od wieku i stopnia rozwoju uczniów? Sprawozdawca sądzi, że jeżeli nie można objaśnić dzieciom praw rozszczepiania się wiązki promieni świetlnych i własności ośrodków załamujących, to nie należy dawać żadnego o naturze barw objaśnienia. Tak istotnie nauczyciel fizyki w klasach wyższych, wsparty rygorem instrukcyi szkolnéj, wykładając przedmiot nieznany przez niego uczniom, może wybierać dowoli treść i zakres wykładu. W pogadankach z dziećmi pedagog trzyma na wodzy tylko kierunek myśli, lecz nie przedmiot pogawędek i nie może zbywać milczeniem pytań, gdyż celem jego jest je właśnie wzbudzać. Gdybyśmy chcieli dzieciom na pytania dawać tylko ściśle naukowe odpowiedzi lub ich nie dawać wcale, nie mogli byśmy z dziećmi prowadzić nietylko żadnéj nauki, lecz nawet potocznéj w domu rozmowy. Objaśnienia dawane dzieciom winny się stosować do skali ich pojęć, lecz nie do poglądów panujących w nauce. Dziecko ma swój własny pogląd na świat, swój własny sposób rozumowania, z których do poglądów naukowych dojść może tylko drogą naturalnego rozwijania się myśli, drogą stopniowego rozszerzania i pogłębiania pojęć, do czego właśnie potrzebną jest pomoc doświadczonego pedagoga, lecz nie drogą narzucenia mu gotowych formułek. Nawet najprostsze doświadczenie naukowe, fizyczne lub chemiczne, na zasadę i znaczenie którego umysł dziecka sam nie wpadnie i potrzeby którego do ustalenia swych poglądów nie odczuje, pozostaje dlań, jakem się stale przekonywał, tylko bezmyślną zabawką, jeżeli nie sprowadza gorszych następstw: zagmatwania pojęć.

Zapewne, na to wszystko sprawozdawca odpowiedzićć mi może ponownie, że na sprawy pedagogiczne istnieć mogą rozmaite zapatrywania, oświadczając, że się ze mną nie zgadza; argumentu tego jednak za dostateczny uznać trudno. Nie ma sprawy, na którą nie mogłyby istnieć różne poglądy, zwłaszcza na przedmiot tak mało wyrobiony, jak sprawa systemów pedagogicznych; tém bardziéj dowodu nie stanowi jedno zdanie odmienne, nawet wówczas, gdy jest wyrzeczone przez pedagoga, mogącego je poprzéć powagą swego nazwiska. Czas wszakże zrozumiéć, że drogi pedagogiki nie mogą być zależne od niczyich przekonań osobistych; lecz muszą być zdobywane, jak wszystkie zdobycze naukowe, drogą skrzętnych indukcyjnych badań, z zestawień pojedyńczych drobiazgowych spostrzeżeń nad własnościami umysłów dziecięcych i oparte na dedukcyjnych wywodach psychologii. Zapewnić muszę szanownego sprawozdawcę, że pisząc swe dziełko, kilkakrotnie musiałem sam gwałt zadawać swoim osobistym przekonaniom i doradzać innym sposoby, nie zgadzające się z mojemi własnemi teoretycznemi poglądami. Wielokrotnie zaznaczam w dziełku, że podaję te metody, które doprowadziły mnie do najlepszych wyników w praktyce; niejedną drogę wydającą mi się lepszą w teoryi pominąć musiałem, gdyż nie wydawała pożądanych rezultatów (co nie przesądza zresztą wartości danéj metody w innémręku). Sądzę, że tylko taką drogą, drogą drobiazgowych spostrzeżeń, wielokrotnie sprawdzonych, może pedagogika postępować i rozwijać się. Jakież więc znaczenie miéć może dla takiéj pracy zdanie, że sprawozdawca z autorem się zgadza lub nie zgadza? Fakty nie mogą być krytykowane z punktu widzenia apriorystycznych poglądów, lecz muszą być sprawdzane taką samą drogą spostrzeżeń. Dość już wspaniałych teoryi pedagogicznych, zajmijmy się lepiéj badaniem tego jałowego gruntu niepoznanych dotąd umysłów dziecięcych, który uprawiać zamierzamy.

Chodziło mi w powyższéj polemice tylko o zaprzeczaną przez sprawozdawcę wartość samego systemu pedagogicznego, przyjętego za podstawę pracy mojéj, bez względu na sposób, w jaki udało mi się system ten przeprowadzić. Sąd co do wartości mego dziełka nie do mnie już należy. Z tego powodu z poszczególnych zarzutów nieścisłości naukowych bronić się nie będę. Zauważę tylko, że po rozpatrzeniu się w nich widzę, iż dadzą się podzielić na 3 kategorye:

1) Niektóre zarzuty, chętnie przyznaję, są zupełnie słuszne. Do takich należy np. zarzut dotyczący rozwlekłości rozdziałów traktujących o barwach, a także moich objaśnień odnoszących się do ciężkości ciał. Na usprawiedliwienie tych błędów mógłbym przytoczyć

tylko to, że z 4 rozdziałów o barwach, 2 większe objąłem nawiasem, zastrzegając, że nauczyciel winien je zużytkować tylko w razie możności, o ile uzna za stosowne. To zastrzeżenie, niezależnie od uwag we wstępie, czynię co do tych rozdziałów specyalnie jeszcze 2 razy: w przypisku do str. 21 i w tekście na str. 29. Do obszerniejszego traktowania tego przedmiotu skłoniło mię i to, że najbardziéj, jakem się przekonał, interesujący ten dla dzieci przedmiot, nigdzie w dziełkach popularnych nie jest dostatecznie opracowany. W rozdziale o ciężarze, jak i we wszystkich innych rozdziałach, dotyczących własności ciał, nie miałem wcale na pierwszym planie tego, aby uczeń dowiedział się „czegoś nowego“, ile o to właśnie, aby potrafił porządnie sformułować choćby niedokładne swe wiadomości (Tu sprawozdawca znów nie rozróżnia celu systematycznego wykładu od celów pedagogicznych). Ponieważ nie uważałem jeszcze za możliwe w tym kursie potrącać o pojęcie próżni, przeto chciałem uniknąć niezrozumiałego dla dzieci zdania, że ciała spadają z jednakową szybkością i zatrzymałem się na pojęciu, jakie o têm dzieci mają, w dziełku bowiem mowa jest tylko o spadaniu ciał w powietrzu; można to jednak przyznaję, wyrazić było oględniéj. Tak samo nie mogąc wyjaśnić, jak to wyraźnie zastrzegam na str. 65 i in., ciężaru właściwego, a têm bardziéj parcia cieczy, niedostatecznie może objaśniłem zasadę pływania ciał. Po za têm wymienionych kilka zarzutów uważam za słuszne.

2) Przeważna ilość zarzutów mi uczynionych wynika z tego, że recenzent mój jest zwolennikiem odmiennego systemu pedagogicznego i to tak dalece, że dla uniknienia nieścisłości naukowéj nie liczy się ani ze składem umysłu dziecięcego, ani ze sferą jego pojęć ani z głównemi pozanaukowemi dążeniami pedagogiki. Z tego powodu poprzestaję na wyłożonych już powyżéj ogólnych zasadach i pomijam zupełnie te zarzuty, będące wynikiem odmiennych przekonań mego krytyka, jakkolwiek tenże względem mnie innéj logiki się trzyma. Do téj kategoryi gotów jestem zaliczyć i zarzut ukucia dwu nowych wyrazów, choć obeznanym z polskiém piśmiennictwem w dziedzinie fizyki wiadomo, iż wyraz „wirownica“ jest powszechnie w podręcznikach fizyki używany od lat wielu, wyraz zaś „świetliwo“, jakkolwiek może istotnie niegdyś przezemnie po raz pierwszy użyty, niejednokrotnie już był publicznie wygłaszany.

3) Największą część zarzutów, niestety, muszę uznać za zupełnie niesłuszne i żadnemi nawet najkonserwatywniejszemi zasadami istotnie pedagogicznemi nie usprawiedliwione. Cóż bowiem powiedzieć na żądanie, aby dzieciom 2-éj klasy mówić o różnicy pomiędzy ciepłem topliwości i jéj temperaturą, skoro w tym wieku dzieciom nietylko nie można dać pojęcia o têm co to jest ciepłostka i temperatura,

ale nawet dobrego rozumienia zasady termometru nie widziałem możności do wykładu wprowadzić. Krytyk mój widocznie nigdy dzieci w tym wieku nie uczył. Jako dowód, że materya spalonego ciała nie ginie, nie dość jest powiedziéć, zdaniem krytyka, że waga nie wykazuje takiéj straty materyi, lecz dla zachowania ścisłości naukowéj trzeba dodać, że produkty spalenia ważą więcéj i tém pobudzić dzieci do całego szeregu nowych pytań, których na razie zaspokoić nie można (już we wstępie do dzieła zwracam na to uwagę i zaznaczam, jak niebezpieczne jest nierozważne mówienie dzieciom o takich niedostępnych dla ich umysłu rzeczach, jak np. pierwiastki chemiczne). Sprawozdawca znajduje jakiś błąd w wyrażeniu, że białko, krochmal i cukier powstają w roślinie skutkiem łączenia się kwasu węglanego, wody i popiołu. Nie wiem, czy sprawozdawca wykrył jakiś nowy sposób tworzenia się tych ciał organicznych w roślinie, czy też chodzi mu o to, że wierny zapowiedzianéj we wstępie do dzieła i w wielu innych miejscach méj pracy zasadzie, pomijam rozszczepianie się bezwodnika węglowego w roślinie na węgiel i tlen i nie podaję nazw łączących się pierwiastków. Może chodzi tu sprawozdawcy o to, że nie wtajemniczam dzieci w różnicę pomiędzy ciałami azotowemi i wodanami węgla lub w rolę soli amonowych przy tym procesie? O co właściwie chodzi trudno zrozumiéć, gdyż krytyk tego nie mówi, a jest to przecież rzecz zupełnie niezależna od różnych poglądów pedagogicznych, z których żaden stanowczo nie będzie żądał dla dzieci dokładniejszego w téj kwestyi objaśnienia, żaden nie nazwie w tym punkcie mego nauczania „błędném“. Jak daleko sprawozdawca posuwa swój pedantyzm naukowy, tak niewłaściwie stosowany, widać z tego, iż aby nieścisłość naukową niektórych wyrażeń moich uwydatnić, kładzie nacisk na zdanie, że woda rozpuszcza kurz. Mówiąc istotnie dla uproszczenia zdania (str. 98), że woda spadająca z obłoków, rozpuszcza „trochę powietrza i kurzu“, jestem właściwie nawet z pedantyczną ścisłością naukową w zupełnym porządku, powietrze jest bowiem w wodzie rozpuszczalne, kurz składa się z najrozmaitszych substancyi, w części również rozpuszczalnych, w części mechanicznie deszczem zmywanych, o którą to różnicę w daném miejscu wcale nie chodzi; gdzież więc nieścisłość, którą tak łatwo zarzucić, opuszczając w cytacie dwa małe wyrazy? Tak samo wytykając mi zdania, że słońce stanowi główną siłę działającą na ziemi i że ciężkość jest również siłą, opuszcza pośrodku cytaty całe zdania objaśniające, że tą siłą słońca jest ciepło i światło (str. 307), oparte zresztą na bardzo szczegółowém wyjaśnieniu, zdania te poprzedzającém, i w dodatku nie widzi, że wytłómaczenia dzieciom stosunku słońca (?) do ciężkości ciał na ziemi, nie może

żądać żaden system pedagogiczny. Tych kilka przykładów wystarczy do oceny téj trzeciéj kategoryi zarzutów, uczynionych mi przez sprawozdawcę.

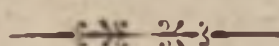
Gdyby wszystkie te zarzuty były nawet istotnie słuszne, musiałbym przyjść do wniosku, że przy opracowywaniu dziełka szczęśliwie chyba wybrnąłem z wielkich trudności, gdyż nie znam pracy popularnéj nawet przez znakomitych uczonych pisanéj, któraby zawierała mniéj tego rodzaju nieścisłości naukowych; popularność i ścisłość naukowa wykładu, niestety, wzajemnie się najczęściéj wyłączają. Wady méj pracy, niezależnie od poglądów sprawozdawcy, sam jednak na szczęście najlepiéj odczuwam. Chodzi tu tylko o charakter wzmiankowanych zarzutów, dowodzących co najmniéj, jak dalekim jest sprawozdawca od rozumienia natury celów pedagogicznych i jak nie słusznie wytyka mi wprowadzanie rozbratu pomiędzy pedagogiką i nauką. Nad postawieniem tego ostatniego zarzutu sprawozdawca widocznie tak samo długo się nie namyślał, jak i nad postawieniem wielu innych. Co do mnie, rozbratu pomiędzy nauką i pedagogiką w dziełku mojém nie dostrzegam, widzę w niém tylko poświęcenie w koniecznych wypadkach tak szkodliwego nieraz pedantyzmu naukowego, na rzecz samodzielnéj i swobodnéj, nie krępowanéj formułkami naukowemi, myśli.

M. Heilpern.





KRONIKA MIESIĘCZNA.



Kwestya szlachecka w prasie.—Zmiany ostatniego okresu i nowe stanowisko.— Przykłady zagraniczne.—Jubileusz Towarzystwa imienia Marcinkowskiego w Poznaniu. — Czytelnie ludowe w Poznańskiém. — Nowa era i mowa Capriviego. — Traktaty handlowe.—Kwestya żydowska i państwo żydowskie. — „Schyłek wieku."—Wystawa czeska w Pradze. — Znaczenie jéj dla świata słowiańskiego. — Reforma adwokatury. — Zmiana ustawy kasy obrończéj. — Jubileusz w teatrze. — Odczyt p. Kamińskiego. — Porównanie. — Elektryczność systemu pana Iwanowskiego w Częstochowie. — „Tygodnik Powszechny" i „Ziarno." — Dwie odezwy.

Dobrze jest czytać korespondencye z prowincyi. Przeciętny jéj mieszkaniec żyje wprawdzie życiem, że tak powiem, węższém, od mieszkańca wielkiego miasta, ale zupełniejszém i realniejszém. Może ma w głowie mniéj idei, ale za to więcéj faktów. Obserwacya jego jest ściślejszą, na konkretnych stosunkach opartą. Ciągła styczność z interesami realnemi i życiowemi daje mu pożądaną znajomość i świadomość potrzeb klas społecznych. To wszystko usposabia go wprawdzie bojaźliwie względem ogólnych wyobrażeń lub reform, dając mu jednak w zamian większą pewność oryentowania się w zakresie stosunków konkretnych.

Nie chcę powtarzać starych zarzutów co do niedostatecznego uwzględniania przez prasę naszéj prowincyi. Redakcye pism, nie mogąc rozsyłać specyalnych komisyi do zbadania pewnego faktu, okolicy lub sfery interesów, muszą poprzestawać na doniesieniach korespondentów. Przeważnie więc ogół inteligencyi jest odpowiedzialnym za powierzchowne traktowanie prowincyi w prasie.

Godnym wielkiéj uwagi był „List ze wsi" Ślepowrona, zamieszczony w „Gaz. Warszawskiéj." Korespondentów takich życzyć trzeba wszystkim pismom. P. Ślepowron bardzo jasno zdaje sobie

sprawę z obecnego stanu większéj własności ziemskiéj, zaznaczając dobitnie fazy, wywołane przejściami ekonomicznemi, którym ta własność w przeciągu ostatnich lat 30 uległa.

„W siódmym dziesiątku obecnego stulecia — pisze Ślepowron — cała nasza prasa, a nawet literatura rozłamała się wobec szlachty na dwie strony: prokuratorów i adwokatów. Pierwsi widzieli w niéj wszystkie występki, drudzy wszystkie cnoty; ci wznosili dla niéj piedestały, tamci szubienicę. Ponieważ jednak każdy człowiek więcéj się uczy od swoich nieprzyjaciół, niż od swoich pochlebców, przeto—według mojego przekonania—pierwsi wyświadczyli nam lepszą usługę, niż drudzy. W przesadzie, w złorzeczeniach, często w obelgach usłyszeliśmy przynajmniéj krytykę, która otwierała oczy, zwracała uwagę na błędy, zmuszała do poprawy.

„Natomiast tak zwane pisma szlacheckie kazały nam, jak szczurom na ołtarzach, dusić się w dymach kadzideł. „Doszliśmy i doprowadzono nas do takiéj nadwrażliwości, że mogliśmy oddychać tylko bezwzględném dla siebie bałwochwalstwem, a wszelką naganę uważaliśmy za niesumienną potwarz. Dziś np. z odległości ćwierci wieku inaczéj patrzymy na zasadę uwłaszczenia włościan, ale przed laty kilkunastu jeszcze widzieliśmy tylko w niém naszą krzywdę, około któréj należało przechodzić w uroczystém i wymowném milczeniu.“ Charakterystyczne to nader wyznanie, a jako pochodzące od interesowanego, jest dobrym przyczynkiem do oceny walki „staréj“ i „młodéj prasy.“

„O ile tedy prasa szlachecka—pisze daléj Ślepowron—wpływała na nasze wychowanie publiczne, czyniła z nas ludzi, niezdolnych pojąć ani ducha czasu, ani jego logiki, zakochanych w sobie i w swojém posłannictwie. Mimo, że ten i ów nie mógł podążyć za postępem wiedzy, mimo to, że niedostatek obciął mu poły, — chodziliśmy z głową zadartą, dmuchaliśmy przed siebie dumnie, spoglądaliśmy przez ramię na chamów i dorobkiewiczów wzgardliwie, wpatrując się w swoją gwiazdę, która miała być ogniem boskim, a rzeczywiście była tylko papiérową latarką.“

Lecz nastały gorsze rzeczy od walki papierowéj. Przyszedł kryzys ekonomiczny, który Ślepowron tak charakteryzuje: „Zaledwie połataliśmy dziury z zabytku pańszczyzny powstałe, kiedy w rolnictwie całego świata nastąpił przewrót, który i nas, a może najbardziéj nas, przygniótł swojém brzemieniem. Ameryka wystąpiła do współzawodnictwa z Europą w produkcyi zboża i pokonała swoją starszą siostrę. Jeżeli pod szeregiem ciosów téj walki zachwiali się ziemianie innych krajów, przewyższający nas kulturą, wiedzą, zdolnościami

i środkami ekonomicznemi, tém więcéj my musieliśmy ucierpiéć w porażce. Nie będę tu przypominał dalszych klęsk, które ją spotęgowały (nieurodzaje, cła niemieckie i t. d.), gdyż mamy je w świeżéj pamięci, zaznaczę tylko ogólne położenie naszego ziemiaństwa; ostatecznie — wyłączywszy szczupłe koło ludzi bogatych lub zamożnych — jesteśmy odłużeni, zrujnowani, bezradni, pozbawieni pomocy i coraz częściéj pokalani takiemi zmazami moralnemi, które dawniéj naszego charakteru bardzo rzadko się czepiały. Długi pozjadały już nawet ogony hypotek szlacheckich, kredyt dewastacyami spłoszony, honor nadużyciami przy ratowaniu własnéj skóry mocno poszarpany. Wprawdzie nasi patronowie dziennikarscy twierdzą daléj, że — jak powiada Zbylitowski — bogowie włożyli nam w zawiniątko wszystkie cnoty, które „zawsze mają dostojeństwo", ale żydzi wierzyć temu nie chcą. Goła szlachta wyciąga błagalne ręce do uciekającego od niéj kapitału, a nie mogąc go dogonić, orzeźwia się zmęczona flakonikami perfum, których jéj prasa konserwatywna tanio dostarcza. Pisma demokratyczne tymczasem bić jéj nie przestają. Jest to—według nich — gromada bankrutów materyalnych i moralnych, którym trzeba ogłosić upadłość, gatunek zwyrodniały i wymierający, który musi ustąpić z widowni społecznéj."

Przedstawienie rzeczy, jak widzimy, istotne, a tak trafne i dosadne, na jakie nie każdy publicysta fachowy zdobyć się umié.

Na zakończenie stawia Ślepowron pytanie, „czy ziemianie są żywiołem istotnie bez uzdolnienia do życia?" i tak odpowiada: Żaden stan nie może poszczycić się większym zasobem talentów, żaden równą kulturą obyczajową. Od najskrajniejszego wstecznictwa aż radykalizmu wszystkie odcienia myśli odnaleść można w skali szlacheckiéj. Nauka, literatura, sztuka błyszczą gwiazdami tego pochodzenia. W naszym szlachcicu zmieścić się więc może cały człowiek cywilizowany, i nie potrzeba wymyślać dla niego osobnéj, staréj skóry."

Końcowy wywód z swoich spostrzeżeń Ślepowron robi następujący: Ekonomicznie uznajmy się za osobną klasę producentów rolnych, połączonych nie łańcuchem spójni metafizycznych lub towarzyskich, ale interesów materyalnych. Wciągnijmy w swoje koło wszystkich, którzy również z nami na roli w pocie czoła pracują. Jeżeli inne klasy występują solidarnie i bronią swych korzyści wytrwale, naśladujmy je, a gdy zajdzie potrzeba, podejmujmy z niemi walkę. Dla tego celu wytwórzmy sobie organa własne zarówno wśród instytucyi, jak dzienników. Miejmy swoje, rzeczywiście swoje, a nie mieszaniną

rozmaitych pierwiastków nadziewane, pisma peryodyczne, któreby wszędzie i zawsze broniły naszych interesów. Niech te pisma przestaną nas okadzać frazesami, usprawiedliwiać naszych błędów i wykroczeń, niech nie pielęgnują w nas skamieniałości umysłowych, niech nie wmawiają, że jesteśmy mamutami cywilizacyi, żywemi mumiami średniowiecznego konserwatyzmu. Jesteśmy bowiem i chcemy pozostać ludźmi, którym nic nie powinno być obce, co jest ludzkie, którzy zdolni są zrozumiéć i przyswoić sobie wszystkie postępy wiedzy.“

Te długie cytaty usprawiedliwiają się same przez się. Co do formy są jędrne i jasne; co do treści logiczne, a przekonaniem i dobrą znajomością rzeczy podyktowane. Nareszcie list Ślepowrona przyszedł bardzo w porę. Łatwo albowiem zauważyć, że wśród wielu innych kwestyi posiadamy i kwestyę szlachecką. W rozwoju jéj chwila obecna jest właśnie decydującą.

W ostatniém dwudziestopięcioleciu przebudowywaliśmy się ze starego, hierarchicznie tradycyjnego na nowe społeczeństwo. Rzecz więc jasna, że krytyka szlacheckiego ustroju, naturalną siłą rzeczy musiała być gwałtowną i namiętną, tém gwałtowniejszą, o ile byliśmy więcéj szlacheckiém społeczeństwem, niż jakiekolwiek inne w Europie, o ile powagi i wyobrażenia hierarchii szlacheckiéj przeszkadzały wykształcić się nowym siłom i nowym powagom umysłowym i społecznym. Ta krytyka, ta walka, ta zaciekłość płynęły świadomie czy bezwiednie łożyskiem, wskazaném przez prawa historyczne i naturalne,—a nikt, nieco obeznany z mechanizmem rozwoju, wątpić nie może, że były koniecznością siły rzeczy. Od temperamentów, wykształcenia, dobréj woli i wiary prowadzących walkę zależało ją zrobić mniéj lub więcéj szorstką i rozkiełznaną, ale dziś już, jeżeli sądzić można jéj formę, to sądzić nie można jéj zasady i konieczności. Dziś, jeżeli walka nie jest jeszcze skończoną i zawieszoną, to w każdym razie zupełnie złagodzoną; prokuratorowie i obrońcy wypowiedzieli wszystko, na co im ustawa i dane okoliczności pozwalały, a podsądny, który w sprzecznym dysonansie oskarżeń i apologii — że tak powiem — nie mógł się pomiarkować, wypowiada dziś sam sąd o swoich prokuratorach i obrońcach, przychodzi do świadomości swego stanu.

Takim głosem świadomości jest właśnie list Ślepowrona.

Mniejsza o to, że spotkał się on już z protestami szlacheckiemi w „Słowie“, że ich wywoła więcéj, że ten i ów, a nawet bardzo wielu zawoła: *veto!*

Jesteśmy za ubodzy intelektualnie i kulturalnie, ażebyśmy mogli pierwiastek szlachecki wykreślać z listy żyjących żywiołów społecznych. Przeciwnie, sporządzić raczéj trzeba, że tak powiem, jego spis inwentarza; i odrzuciwszy wszystkie narzędzia zbutwiałe i spleśniałe, do współczesnych stosunków nieprzydatne, zachować to, co długa historyczna kultura uczyniła pożyteczném i dobrém.

Takie stanowisko w téj dyskusyi, otwartéj w „Słowie“ pod tytułem: „Szlachta i prasa,“ zajął także na gruncie współczesnych potrzeb i wyobrażeń stojący, p. Kazimierz Laskowski, który ufa przyszłości i wierzy w żywotność klasy ziemiańskiéj, pod warunkiem, jeżeli się nie ziści to, co z naszą naturą tak licuje, a mianowicie to: „jeżeli drgnienie nasze ku oświacie będzie tylko przelotnym kaprysem, jeżeli objawiony zapał ostygnie, energia się wyczerpie, jeżeli popadniemy znów w zastój umysłowy, zapominając, że ta warstwa, która nie zdoła iść równo z resztą cwałującego społeczeństwa, pozostanie na bezdrożu zapomnianą; jeżeli, jedném słowem, zapomnimy, iż *„non progredi est regredi“* — wówczas i najsilniejsze kucie młotem postępu na kowadle konserwatyzmu już z nas skry życia nie wykrzesze, a społeczeństwo, zagniewane „długą nieruchomością faraonów“, postawi na ich miejsce godniejszych.“

Ale słusznie zauważono, że najpiękniejsze programy, artykuły i intencye nie rozcinają sprawy, że nie to ma znaczenie, co powiemy, lecz to, co uczynimy. Chwali się bardzo, że ziemiaństwo rozumié swoją rolę, i że posiada świadomość swoich zadań, lecz to jeszcze nie wielka pociecha.

Mimo wszystko albowiem, co o nas myślą i mówią, nasi przyjaciele lub nieprzyjaciele, jesteśmy narodem o bardzo żywéj inteligencyi i dlatego nie zbywa nam nigdy na inteligentnych programach i projektach. Trudność leży nie w projektowaniu, ale w wykonaniu. Inteligencya nasza ma wady organiczne. Zdaje się, że pomiędzy pierwiastkiem twórczym a pierwiastkiem wykonawczym, jeśli przyjmiemy taki podział, brakuje równowagi, że drugi został upośledzony na rzecz pierwszego. Dlatego nie umiemy działać, ku czemu potrzebną jest karność i solidarność.

I w omawianéj więc sprawie, jeżeli ziemiaństwo nasze nie dowiedzie, że umié działać, aby się dźwignąć ekonomicznie i społecznie, to listy takich Ślepowronów zostaną tylko dokumentem historycznym, wskazującym, że lubo w danéj chwili były jednostki, trafnie oceniające położenie, to jednak w sferze swojéj nie zostały zrozumiane i uznane, czy to wskutek lenistwa ducha, czy przez jakąś nieudolność społeczną.

Rolnictwo wszędzie przechodzi bardzo ciężką chwilę, ale we wszystkich krajach o posuniętéj cywilizacyi, walczy ze złemi, nowemi warunkami, nietylko rozstrzelonemi wysiłkami indywidualnemi, bo te już wobec dzisiejszéj organizacyi przemysłowéj, technicznéj i społecznéj nie mogą zmienić ogólnych warunków. Walka odbywa się pod hasłem zjednoczenia i wspólności interesów. Przedmiot ten obszerniéj był traktowany w grudniowym zeszycie „Ateneum“, p. t. „Przesilenie rolnicze we Francyi.“ Jest tam mowa o ruchu syndykalnym we Francyi: „Prąd syndykalny jest postępową odpowiedzią francuskiego rolnictwa na wymagania tegoczesnéj produkcyi i wymiany. Istota jego polega na centralizowaniu wysiłków ekonomicznych i właśnie w tém tkwi cała jego doniosłość. Trudno orzec, jak szerokie obejmie on masy rolników, chociaż jest rzeczą pewną, że dzisiejsze 7% są dadalekie od wyczerpania rozmiarów zrzeszenia. Natomiast już chwila dzisiejsza wskazuje, że wszystkie syndykaty prędzéj lub późniéj zleją się w jedną organizacyę ze wspólném ubezpieczeniem na wypadek nieurodzajów, pomoru bydła, gradobicia, z centralnemi kantorami zakupów i sprzedaży.“ A obecnie już syndykaty tak się przedstawiają: „Jedne są szczególnego rodzaju stowarzyszeniami spożywczemi, dzięki masowym zakupom otrzymują one towary o 20—40% taniéj, niż to zdołałby uczynić rolnik pojedyńczy. Inne znowu zakładają własne sklepy w miastach, gdzie sprzedają różne produkty wiejskie, a dzisiaj marzą o podobnych kantorach w Paryżu. Inne są jednocześnie towarzystwami wzajemnego ubezpieczenia od gradobicia i pomoru bydła. Dla przykładu weźmy syndykat z departamentu dolnéj Charente. Założony na wiosnę 1886 r. liczył ku schyłkowi przeszłego roku 12,500 członków, a raczéj rodzin; kupuje on przedmioty użytku rolniczego wprost od wytwórców, „dostając 25%“ i więcéj rabatu—już w r. 1886 zrobił zakupów na olbrzymią kwotę 2½ milionów franków; podobnie sprzedaje we własnych sklepach produkty swoich członków. Składów własnych posiada 24. Ma on nadto swojego uczonego agronoma, który kolejno w oddzielnych powiatach syndykatu urządza wykłady, daje wskazówki, prowadzi wzorowe fermy.“

Ciekawsze są jeszcze wiadomości o amerykańskich związkach rolniczych. Poprzestajemy teraz na tych dla wskazówki tylko, w jakim kierunku przekształca się produkcya rolnicza.

Rolnicy nasi nie mogą zapewne naśladować zupełnie Ameryki i Francyi; jasném jest jednak, że bez zjednoczenia, spółek i stowarzyszeń produkcya rolnicza funkcyonować już nie może.

Poznań niedawno obchodził uroczyście 50-letni jubileusz działalności Towarzystwa pomocy naukowéj imienia d-ra Marcinkowskiego. Towarzystwo, powstałe pracą i inicyatywą dzielnego obywatela, a nawet myśliciela, jakim był Marcinkowski, zasłużyło się dobrze społeczeństwu polskiemu w Poznańskiém. W przeciągu 50 lat wydało przeszło 1,600,000 marek na stypendystów, których liczba przez te półwieku wynosi 4,335. Majątek Towarzystwa dochodzi obecnie do ½ miliona marek. Towarzystwo obecnie więcéj popiéra młodzież, kształcącą się w szkołach fachowych do zawodów praktycznych, niż w uniwersytetach.

Środki swoje czerpało tylko z ofiarności publicznéj, co zapisać można na dobro ogółu poznańskiego.

Inna instytucya w Poznańskiém, mająca na celu oświatę warstw niższych, a mianowicie Towarzystwo czytelni ludowych, zaczęła jedénasty rok swojéj działalności. Instytucya ta jest jedną z najsympatyczniejszych, jakie posiada Poznańskie. Zarząd, ogłaszając sprawozdanie z dziesięcioletniéj działalności, podaje ciekawe cyfry. Towarzystwo założyło więc przez ten dziesięcioletni okres czasu 1,110 bezpłatnych bibliotek na terytoryum Prus zachodnich, Poznańskiego i Szląska. Wogóle, przez wzmiakowany okres czasu, Towarzystwo miało dochodu 130,000 marek, powstałych z ofiar dobrowolnych. Zasługuje także na uwagę ofiarność publiczna, tak np. w r. 1884 dochody wynosiły tylko 7 tysięcy, a w r. 1889-ym 22,000 marek.

Europa przebywa teraz wielką gorączkę ekonomiczną, wywołaną sporami o cła zbożowe i traktaty handlowe. W Rosyi, w Niemczech, w Austryi, we Francyi i mniejszych państwach, w prasie, w parlamentach i w odnośnych instytucyach handlowych toczą się zacięte agitacye i dyskusye między protekcyonistami i wolnohandlowcami. Francuska izba deputowanych zajęta jest pytaniem, czy w przyszłym 1892 r., jako terminie wypowiadania traktatów handlowych, utrzymać daléj traktaty, czy też obstawić się wysoką baryerą ceł opiekuńczych, mających obecnie tam licznych i silnych zwolenników; między Austryą a Niemcami został podpisany traktat handlowy, który podobnie będzie obowiązywał od 1 lutego roku przyszłego, przyczém cło od zboża austryackiego zostało zniżone z 5 na 3½ marki. Dla nas w tém wszystkiém ciekawe, a nawet ważne są głosy o stosunkach handlowych między Rosyą a Niemcami.

Zawarcie wspomnianego traktatu austro-niemieckiego wywołało z kolei zapytanie, czy stosunki handlowe między Rosyą a Niemcami

nie mogłyby zostać także w traktat ujęte? W Niemczech, gdzie klasy socyalne agitują przeciwko wysokim cłom na zboże ruskie, utrudniającym egzystencyę robotnika niemieckiego, prąd ugodowy jest silny, tém więcéj, że przemysł niemiecki, przed którym Rosya zamknęła swoje rynki, pragnie je na nowo sobie otworzyć.

Idea traktatu handlowego nie znajduje jednak sympatyi w kierujących sferach ruskich, o ile ich poglądy odbijają się we wpływowéj prasie. Ze strony więc ruskiéj odpowiadają, że wobec nieurodzaju, spodziéwanego w tym roku, Niemcy będą musiały sprowadzić jeszcze więcéj zboża ruskiego, niż zwykle, a cła zapłaci konsument niemiecki; przemysł zaś ruski musi—jak mówią—zostać pod opieką wysokich ceł wwozowych.

Tak zwana „kwestya żydowska“ robiła w ostatnich kilku tygodniach wielki hałas. Cofnięcie się Rotszylda od wzięcia udziału w konwersyi pożyczki ruskiéj, idea państwa żydowskiego, które ma powstać w Argentynie lub Palestynie, agitacya w Anglii celem wyjednania prawa, zamykającego dla przybyszów bez środków utrzymania terytoryum angielskie, takież prawo, już wydane w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnéj, nareszcie wysyłka tych żydów z guberníi środkowych, którzy nie posiadają prawa tam zamieszkiwania — oto szereg faktów narzucających uwadze europejskiéj sprawę żydowską.

Idea nowego państwa żydowskiego, które ma być ufundowane pieniędzmi Hirscha i Rotszylda jest o tyle ciekawą, że się na niéj przez chwilkę zatrzymać warto.

Szybki wzrost ludności żydowskiéj spowodował liczną emigracyę żydów ruskich do innych krajów, przeważnie do Anglii i Ameryki. Na tę emigracyę składa się głównie proletaryat żydowski, pozbawiony środków do życia, fachu, umiejętności i chęci do produkcyjnéj pracy. Rzecz jasna, że taka emigracya żydowska nigdzie ani gościnności, ani tolerancyi znajdować już nie będzie. Przeciwnie, zwiększając podaż pracy, obniża jéj cenę i robi fatalną konkurencyę miejscowym żywiołom robotniczym.

„Ci ludzie — według opinii angielskiéj, żądającéj prawa, powstrzymującego napływ emigracyi żydowskiéj — wcale nie są podobni do wychodźców francuskich z XVII-go stulecia, z którymi ich chciano nieraz porównywać; nie posiadają ni rzemiosła jakiegobądź, ni wiedzy, ni wykształcenia. Stają się zaraz ofiarami tutejszych pijawek robotniczych, wyzyskających owe siły niewykształcone za cenę tak niską, za jaką żaden robotnik angielski wyżyć nie może, dopóki emigrant

sam nie stanie się w jakibądź sposób kapitalistą i zarazem pijawką swych współrodaków.“

Konieczność zatém znalezienia ujścia dla nadmiaru ludności żydowskiéj, nadmiaru, nie mogącego bez zachwiania równowagi ekonomicznéj pomieścić się w państwach europejskich, wywołała myśl utworzenia oddzielnego państwa żydowskiego, myśl, która może się wydać fantazyą. Otóż dokładniejsze nieco wniknięcie w istotę rzeczy przekonywa, że myśl ta jest logiczną konsekwencyą stosunków rzeczywistych. W téj chwili mniejsza o to, czy owo państwo żydowskie będzie organizacyą polityczną, jakąś respubliką lub monarchią bankierską, czy téż handlową, albo rolniczą kolonią, powstałą na terytoryum którego z państw wschodnich, czy Ameryki południowéj i korzystającą z autonomii. Pogłoski o dziesiątkach milionów, przyrzeczonych na ten cel przez Rotszyldów i Hirschów mogą się nie ziścić, ale sama myśl ma logiczne podstawy do obleczenia się w ciało.

Trudno już spierać się z faktem, że organizmy państwowe i społeczne, i w Europie, i w Ameryce, nie chcą więcéj wchłaniać pierwiastku żydowskiego, że odpychają go od swoich brzegów. Z tym faktem, czy jako filo-semici, czy jako anti-semici liczyć się musimy.

Odbywają się wystawy: międzynarodowa sztuki w Berlinie, francuska i środkowo-azyatycka w Moskwie, wystawa narodowa w Pradze. Do Berlina pisma nasze posłały krytyków artystycznych; do Moskwy przemysłowcy nasi swoje okazy; kto może, nie powinien zapomniéć o wystawie czeskiéj, otwartéj 15-go maja; zamknięcie zaś jéj zapowiedziano na połowę października.

Byłoby grzechem nakłaniać ziomków naszych do włóczęgi zagranicznéj, do któréj już z natury swojéj wielki mają pociąg; skoro jednak, naturalnym biegiem rzeczy, wraz z latem, wielu ich wyfrunie zagranicę, zwrócić należy ich uwagę na wystawę w Pradze, z któréj Czesi są dumni i która jest obrazem ich pracy, przemysłu i kultury z ostatnich lat stu.

Projekt ogólnéj reformy adwokatury ma być rozpoznany przez radę państwa jeszcze w toku bieżącéj kadencyi.

Jak wiadomo, reforma ma polegać na ograniczeniu liczby adwokatów przysięgłych, na zniesieniu adwokatury prywatnéj, na ograniczeniu praw pomocników adwokatów przysięgłych, na 5-procentowym stosunku adwokatów żydów i t. d.

„Petersbur. Wiadomości“ powstały przeciwko określeniu normalnéj liczby obrońców w poszczególnych miastach, nazywając to „mo-

nopolem adwokackim“, co będzie miało—według gazety—ten skutek, że w danêm mieście strony będą mogły powierzać swe sprawy wyłącznie miejscowym adwokatom przysięgłym. Wytworzy się monopol, dobry dla adwokatów, lecz szkodliwy dla klienteli. Monopol — w adwokaturze przysięgłéj i trudność dostania się do jéj szeregów—mówi daléj gazeta — stworzą olbrzymią grupę obrońców *in partibus*, których szeregi zapełniać téż będą pomocnicy adwokatów przysięgłych, nie przyjęci do korporacyi z powodu braku wakansów.

P. Nowodworski broni w „Gazecie sądowéj“ projektu ministeryalnego. „O bezwzględnêm zamknięciu listy adwokackiéj—pisze—nie ma mowy. Określoną być ma liczba dostateczna, lecz bynajmniéj nie ostateczna. Skompletowanie téj liczby nie zamknie wcale i nadal wstępu do adwokatury przysięgłéj prawnikom, należyte mającym po temu kwalifikacye; lecz jedynie uniemożliwi wydawanie w danéj miejscowości świadectw, upoważniających do prowadzenia spraw, osobom, którym takich kwalifikacyi brak.“

„Pokątne doradztwo istniéć będzie, jak istnieje teraz — pisze daléj.—Atoli unormowanie listy adwokatów, miéć będzie ten dodatni skutek, że tytuł „adwokata“ utraci i przestanie jawnie umieszczać go na swych szyldach wielu ludzi, których wykwalifikowani obrońcy mają prawo za zgoła obce swemu stanowi jednostki uznawać, a którzy nie mniéj przeto w oczach swéj klienteli za uprawnionych z nimi uchodzą.“

To wszystko z punktu widzenia adwokackiego może być słusznêm, ale nie przekonywa jeszcze, czy ogół na owéj normalnéj liczbie obrońców, coś zyska. Ogół potrzebuje kompetentnéj i sumiennéj a taniéj porady prawnéj. Uwierzylibyśmy w dobre skutki zapowiedzianéj reformy, gdyby dotychczas poziom moralny adwokatury obniżali tylko obrońcy prywatni. Z usunięciem ich ten poziom podniósłby się, naturalnie, do pożądanéj wysokości. Takiego przeświadczenia, niestety, nie ma. Obyczaje i wykwalifikowanéj i niewykwalifikowanéj palestry dużo zostawiają do życzenia.

Wogóle w téj kwestyi adwokackiéj, często obecnie powracającéj na szpalty dzienników, nie możemy się spotkać z gruntownêm i przekonywającêm wyświetleniem rzeczy. Faktem jest tylko, że powaga i zaufanie do stanu obrończego osłabły bardzo. A może prawdziwa reforma leży po za obrębem pisanego prawa? Może nie od ustawy, nie od normalnéj liczby oczekiwać należy poprawy, lecz od wyświetlenia istotnych przyczyn złego i od reakcyi żywych stosunków? Zobaczymy, co będzie daléj.

W związku z tym przedmiotem zanotujmy, że kasa obrończa w Warszawie otrzymała nową ustawę. Raporty, korespondencye, protokóły i rachunki prowadzone będą w języku ruskim. Art. 6-ty dawnéj ustawy, który nadawał zarządowi władzę wykluczania z liczby uczestników kasy tych adwokatów, którzyby popełnili czyny, uwłaczające prawu, honorowi lub godności obrończéj, został zupełnie usunięty.

Reżyser dramatu w teatrze warszawskim, p. Tatarkiewicz, obchodził w ubiegłym miesiącu 25-cioletni jubileusz swéj pracy na scenie. Jak wiadomo, u nas tylko aktorzy mają monopol odbiérania hołdów publicznych; „wdzięczna“ więc publiczność i prasa składały hołdy kierownikowi sceny. Gdybyśmy mieli Panteon swoich wielkości, to znaleźliby... w nim miejsce tylko aktorzy i śpiéwacy. Zresztą p. Tatarkiewicz jest dobrym aktorem.

Odczyty na osady rolne w sali ratuszowéj zamknął pan J. M. Kamiński, adwokat przysięgły, swoją prelekcyą: „Panna, mężatka i wdowa wobec prawa.“ Był to tylko wyciąg z kodeksu, ułożony systematycznie, według rozdziałów, upstrzony kilku dowcipami pod adresem „pięknych dam.“

Pozwolę sobie zrobić porównanie między odczytami lekarskiemi, a lekarze przeważnie mówili w tym sezonie z katedry, a innemi, jak np. ostatnim, wypowiedzianym przez p. Kamińskiego. Ogromna różnica na korzyść pierwszych! Lekarze, których specyalnością nie jest wymowa, mówili o obranym przedmiocie z zamiłowaniem, gruntownie i krytycznie, niekiedy jasno i pięknie. Bez tanich efektów, bez aluzyi do „pięknych dam“, co jest plagą naszych nowelistów, felietonistów i prelegentów, mieli na oku przedmiot i pożytek swego audytoryum.

Częstochowa, pierwsze z naszych miast, otrzyma oświetlenie elektryczne, które tam zaprowadzi p. Armand Iwanowski. System jego oświetlenia, zwany „depolaryzatorem“, polega na tém, że światło otrzymuje się bez maszyn dynamo-elektrycznych i innych motorów. Jest to nowy rodzaj stosu galwanicznego, w którym prąd stały otrzymuje się przez dowolny przeciąg czasu, przy tak ułatwionéj manipulacyi, że osoby, nieobeznane nawet z wynalazkami elektrycznemi obsługiwać go mogą.

P. Iwanowski jest jednym z tych nielicznych wynalazców polskich, którzy w dziedzinie elektryczności dobrze już zapisali swe imię. Jego „sygnalizator“, zabezpieczający od pożarów, został odznaczony na wystawie paryskiéj 1889 r. Towarzystwo techniczne w Peters-

burgu pochlebnie także odznaczyło przeciwogniowy aparat tego wynalazcy i inny, uprzedzający niebezpieczeństwo spotykania się pociągów. „Depolaryzator“ zaś, według specyalistów, jest wynalazkiem o ogromnéj przyszłości. *B. Lut.*

Pani Eliza Orzeszkowa w artykule p. t. „O smutku i śmiechu w literaturze“, zabrała głos w tak żywotnéj sprawie, tak głębokie poruszyła struny, struny ogół cały obchodzące, że potrąciwszy raz o nie w ten sposób, daje niejako bodziec wypowiedzenia się każdemu, komu ta sprawa na sercu leży, kto całą jéj ważność w zastosowaniu do potrzeb chwili pojmuje.

Daleką będąc od myśli wyczerpującego oświetlenia sprawy, bo na to studyum całego potrzeba, śpieszę przecież dorzucić ze swéj strony słów kilka dla uwydatnienia ważniejszych w mém przekonaniu punktów.

Znakomita pisarka nasza, zaznaczywszy dwukrotnie podniesiony w „Kuryerze Codziennym“ objaw „przygany smutnemu zabarwianiu beletrystyki naszéj“, z właściwą sobie subtelnością w traktowaniu rzeczy wypowiada o tém swój sąd krytyczny, którego wynikiem jest potępienie powyżéj zaznaczonych objawów protestu.

Na głębokie analityczne wywody szanownéj autorki, na cały jéj subtelny rozbiór warunków, będących tłem podstawowém i znamiennem, na którém rozwija się i rozwijać musi charakter danéj literatury, zgodzić się oczywiście trzeba. Literatura, o ile nie jest naleciałością, egzotyzmem, „monstrualnością“ wreszcie odnośnie do warunków, które ją wydały, literatura, o ile nią jest ona oczywiście jako wykwit z łona społeczeństwa swego, nie może nie być odźwierciadleniem pragnień, ideałów jego, nie może nie być jego obrazem, nie zawierać w sobie cechy tak rasie, jak warunkom, które ją wydały właściwéj. Na to zgodzi się każdy, są to rzeczy „elementarne“—bez wątpienia.

Bywają wszakże chwile, gdy wobec wielkich przełomów ducha, wobec rodzących się w piersi człowieczéj wielkich idei i wielkich pragnień — idei i pragnień w chwili dziejowéj żyjących, ideały literackie przeżywających się haseł, nie dorastają do tych ideałów żywych, które duch ludzki, nigdy nie spożyty poczuwa w sobie.

Przeciwko ideałom swym literackim społeczeństwo wtedy podnosi protest, nowego okresu twórczości będący zwiastunem.

A z protestem podobnym liczyć się potrzeba.

Na „współczesne smutne zabarwienie beletrystyki naszéj“, prócz dobrze znanych nam wszystkich warunków lokalnych, prócz właściwości rasowych, wrodzonych i nabytych, wpłynęły znacznie pewne filozoficzno-społeczne ideały, przed laty kilkunastu dla korzeni swych i na naszym gruncie dosyć żywotnych znajdujące soków.

Obok odbijających się bądźcobądź w literaturze naszéj prądów beletrystyki naturalistycznéj zachodu, filozofia determinizmu ujemne swe odcisnęła piętno. Prąd ów, w rozlicznych bałamuctwach swoich wykluczający zasadę „odpowiedzialności“ moralnéj za czyny jednostki ludzkiéj, zdający ją niejako na łaskę i niełaskę „losu ślepego“, bolesnym a zgubnym rozdźwiękiem pesymizmu odezwał się wymownie w beletrystyce naszéj. Stworzył on typ literacki, którego cechą znamienną „niemoc ducha“, brak zbrojności etycznéj na życiowe ciosy, typ jednostki, za czyny swe nieodpowiedzialnéj, na łup mniéj lub więcéj sprzyjających „okoliczności“ oddanéj, niby rzecz martwa, w bezwoli swojéj bierna, igraszką losu będącéj.

I wielkie, bardzo wielkie kręgi prądów w literaturze naszéj zatoczył. W ślad za wielkimi mistrzami pióra, za ludźmi wielkiego talentu, w imię szerokich ideałów wszechludzkich nowe idee wypowiadających światu, cała falanga powołanych i niepowołanych naśladowców, szukająca w „nowéj filozofii uzasadnienia anty-etycznych czynów swoich bohaterów powieściowych, przez usta ich rzucała istnieniu swemu ten wyrzut ciężki: „Cóżem ja winien“ — „Czyżem temu winna...“

I było to i jest błędne koło, z pośród którego czyliż już nie ma wyjścia?

Talenty nasze wielkie, na smutną nawet grające nutę, taką głęboką piórem swém orzą skibę, takie kojące, choć smętne wygrywają nam pieśni, w bogatych zasobach ducha swego coraz pełniejsze odnajdując tony, że pieśni ich choć smutne, mają dar wlewania do serc zbolałych otuchy. Lecz do pieśni tych twórców „wybranych“ struny brzękliwych naśladowców dostroić się nie mogą, do orlich bowiem lotów byle jakie skrzydła nie posłużą...

Bohaterowie tedy przeciętnéj noweli naszéj, to zawsze niemal ludzie bez charakteru, bez woli, bez ducha, zawieją życia gnani na bezdroża, niby owe zwiędłe liście jesienne, co same w sobie, w martwocie swéj nie znajdując oporu, lada powiewu wiatru stają się pastwą.

Nad ludźmi tymi znęca się życie, znęcają się okoliczności... znęca się wszystko naokół, powodzią rozkładowego pesymizmu grożąc wszystkiemu, co żywotniejsze, co zdrowsze.

Aż nucie téj minorowéj, jęczącéj w beletrystyce naszéj do uprzykrzenia, do obrzydliwości — nucie téj coraz chrapliwszéj, bardziéj naprężonéj i już bezdźwięcznéj, mimo, że nerwy nasze szarpiącéj jeszcze wytrwale, wołamy teraz: „Nie nękaj“— nie nękaj nas dłużéj— czas ci do nowéj nastroić się pieśni...

Dziś, na progu epoki, która apoteozować będzie siły takie, jak „idea i wola“, apoteozować je na wszelkich ducha ludzkiego polach, nie ma miejsca na przestarzałe szczątki, ustępujących z areny życia kierunków, nie ma miejsca na „bryły martwe“ wśród ludzi żyć pragnących i żywych.

Znakomita autorka epopei nadniemeńskiéj, na dźwięcznych zawsze strunach życia takie mistrzowskie wygrywająca pieśni, wpływem swym ożywczym owe „liście zwiędłe“ dziś już w symboliczne zamieniająca „dęby“, do nowych hymnów życia jaśniejszych nam dobyła tonów.

A jasność — wesołości jest gońcem...

Marya Cz. Przewóska.

Od nieznanego nam korespondenta, który się pseudonimem *Lemiesz* podpisał, otrzymaliśmy list, podnoszący w słowach pełnych zapału sprawę czystości i piękności języka w czasopiśmiennictwie. Nie pierwszy Lemiesz zwrócił na nią uwagę; niejednokrotnie już zarówno w tygodnikach, jak i dziennikach była ona wymownie i przekonywająco poruszana; lecz niestety, samo jéj roztrząsanie nie wpłynęło na poprawę błędów popełnianych w mowie i stylu, tak dalece, że zaniedbanie pod tym względem nie umniejsza się, ale powiększa. Napływ wyrazów i zwrotów obcych duchowi języka naszego, jest istotnie groźny i usprawiedliwia w zupełności oburzenie, jakiém przejęty jest Lemiesz.

„Głosy rozsądku— pisze on — nawołujące do poprawy, nie znajdują należytego uznania. I nietylko mniejszego polotu dzienniki starają się na wyścigi zaplugawiać mowę Skargi i Mickiewicza, ale i poważniejsze wydawnictwa łączą się z tym zgodnym chórem, śpiewają-

cym *de profundis* polszczyźnie... Dla autorów dzisiejszych, język ten, któremu wielcy prozaicy XVI stulecia i jeszcze więksi wieszczowie XIX nadali tyle barw i woni jest tylko „jak ten piękny motyl, gdy w bursztyn upadnie, całą na wieki zachowuje postać“—pięknym, ale bez życia, bo oni nie wzorują się na nim i nie pragną mu dorównać. Zatraciwszy poczucie rodzinnéj mowy, piszą, jak się zdarzy, bez smaku, bez wdzięku, ot tak sobie, aby pisać. Nie są to kapłani, lecz klechowie źli i nieuczciwi. W ich pracach pełno dziwolągów i obcych wyrazów pokręconych i powykrzywianych, jako kalecy z obrazu Ribery; — a wszystko to bez potrzeby użyte wobec bogactw słownictwa naszego, o których mężowie ci pojęcia nie mają.“

Pomijamy nazwiska pisarzów przez Lemiesza przytoczone; dodamy tylko, że nie oszczędza on wcale i „Ateneum“; w słowach zatém uznania, jakiemi o oburzeniu jego przemawiamy, nie gra najmniejszéj roli radość z przykrości bliźniego, lecz słuszność saméj sprawy.

Jakąż daje Lemiesz radę, ażeby złe naprawić? Oto włożenie obowiązku na korektora, a właściwie mówiąc na redaktora literackiego, ażeby błędy z nadesłanych rękopismów usuwał. Rada nie nowa, zapewne. Mniéj więcéj każda redakcya uważa sobie za obowiązek troskliwość o czystość i poprawność przynajmniéj języka w artykułach, które do druku przeznacza. Pomimo to błędy i w tak przejrzanych rozprawach jeszcze istnieją, bo niepodobna wyplenić wszystkich, bo częstokroć myśl redaktora zajęta śledzeniem rozwoju treści pominąć może językowe i stylowe omyłki. A więc, niechże uwaga spostrzegacza stojącego na stronie, jakim wydaje się Lemiesz, będzie dla nas wszystkich pobudką do rozwinięcia większéj baczności na zewnętrzną szatę myśli; niech autorowie starają się ulżyć pracę redaktorom przez staranne pod względem języka i stylu obrabianie rozpraw, czy powieści swoich, a redaktorowie niech nie zbywają swego obowiązku pobieżnie.

W końcu jednak dodać musimy, że dbałość Lemiesza o czystość mowy idzie zadaleko. Nie wszystkie wyrazy cudzoziemskie możemy zastąpić swojskiemi z zachowaniem odcieni myślowych. Z przytoczonych przez korespondenta czterech wyrazów *werwa*, *konstatować*, *akcya*, *sytuacya*, tylko dwa pierwsze dadzą się wyrazić popolsku bez uszczuplenia zakresu ich znaczeń (*siła* lub *zapał*, *stwierdzić* lub *zauważyć*); dwa zaś inne w pewnych tylko wypadkach t. j. w pewnych odcieniach myśli mogą być zastąpione przez: *działanie*, *położenie*, w innych zaś, gdy np. jest mowa o „akcyach“ finansowych lub o „sytuacyach“ dramatycznych, trzeba je z konieczności zatrzymać w tém

cudzoziemskiém brzmieniu. Niewątpliwie, starać się potrzeba o zmniejszanie ile możności liczby wyrazów obcych, gdy są dobre swojskie, że dla przykładu przytoczę tylko staropolskiego *rozmówcę*, który całkiemby wyparować powinien cudzoziemskiego, niemile brzmiącego *interlokutora*;—ale do zupełnego ich wyplenienia dojść niepodobna, ani téż nie ma potrzeby, jeśli służą do oznaczenia rzeczy lub pojęć nieznanych i nie przez nas wynalezionych czy wytworzonych.

Red.

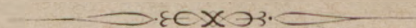


NEKROLOGIA.

† Ksiądz biskup **Stanisław Adam Krasiński** ur. w Wełniczach (gub. wołyńskiéj) r. 1810, uczył się w gimnazyum pijarskiém w Międzyrzeczu Koreckim, w Lubieszowie i w akademii duchownéj wileńskiéj za raktoratu ks. Aloizego Osińskiego. Początkowo wstąpił do zgromadzenia Pijarów, potém jako ksiądz świecki, był przez lat dziesięć nauczycielem w Lubieszowie, Wiłkomierzu i Petersburgu. Wezwany na kaznodzieję do katedry wileńskiéj w 1839 przez lat pięć obowiązek ten pełnił. Potém był proboszczem gedrojćkim, kanonikiem katedralnym wileńskim i asesorem kolegium rzymsko-katolickiego w Petersburgu, gdzie po 6-iu latach pobytu, został w 1859 biskupem wileńskim. Następnie osiadłszy w Krakowie, został członkiem Akademii Umiejętności i całkowicie się poświęcił pracy naukowéj. Zmarł tamże 9 maja. Zawód piśmienniczy rozpoczął od przekładu „Sztuki rymotwórczéj“ Horacego (Wil. 1835), którą po latach wielu w nowém zupełnie tłómaczeniu ogłosił w „Przeglądzie powszechnym“. Następnie wydawał „Noworocznik literacki“ na r. 1838 i 1843. Najbardziéj rozpowszechnioną jego książką była „Gramatyka polska dla dzieci krótko zebrana“, któréj pierwszéj wydanie wyszło r. 1837 a 8-e w 1865. W 1846 r. wydał przekład dzieła kardynała Bony p. t. „Droga do nieba“, w 1856 „Kazanie na cześć N. Panny“ (Petersburg) i tłómaczenie „Pieśni o pólku Igora“ (tamże); w 1861: „Prawo kanoniczne krótko zebrane“. Najważniejsza jego praca, prowadzona w ciągu lat wielu, to „Słownik synonimów polskich“ wydany w 2-ch tomach w Krakowie 1885. Wydał nadto tamże „Sto zdań dwuwierszowych“ (1887) i „Drugie sto zdań“ (1888). W rękopiśmie zostawił podobno swoje pamiętniki. Pracował do ostatniéj chwili i pomimo podeszłego wieku zachował rzeźwość umysłu, interesował się wszystkiém, co z literaturą i językiem miało związek i „miał śmierć cichą, zasnął raczéj, niż umarł“.

† **Jan Aleksander Fredro**, syn wielkiego komedyopisarza, ur. się we Lwowie 1829 roku. Studya uniwersyteckie rozpoczął tamże, ale już z pierwszego kursu prawa zaciągnął się jako szeregowiec do wojska tworzącego się na Węgrzech; na polu bitwy pod Tarczal, mia-

nowany został oficerem, po bitwie zaś pod Turą, ozdobiony krzyżem wojskowym. Po przegranéj pod Temeszwarem przeszedł granicę Turecką. W styczniu 1850 r. przybył do Francyi, gdzie bawił do r. 1857 (głównie w Paryżu), kiedy powrócił do Galicyi i oddał się gospodarstwu. Jako komedyopisarz wystąpił w r. 1864 z jednoaktowym obrazkiem p. t. „Przed śniadaniem“. Po nim nastąpiły: Drzémka pana Prospera“ komedya w 4 aktach wierszem (1866), „Piosnka wujaszka“, komedyjka ze śpiewkami w 1-ym akcie (t. r.), „Poznaj nim pokochasz“, przysłowie dramatyczne w 1-ym akcie prozą (1868), „Posażna jedynaczka“ w 1-ym akcie prozą (t. r.), tłómaczona na niemiecki i wielokrotnie w różnych miejscowościach grywana, „Mentor“ w 3-ch aktach prozą (1871), „*Consilium facultatis*“ w 1-ym akcie prozą (t. r.). Wyliczone tu utwory wyszły razem w 2 tomach w Warszawie r. 1872. W rok potém ukazała się największa 5-aktowa komedyą ś. p. Fredry p. t. „Obce żywioły“; w 1875 było przedstawione „Wielkie bractwo“ (w 5 aktach również), w 1876: „Indyanin pod sądem Amerykanów“, w 1878 „Kalosze“ (w 1-ym akcie), wreszcie farsa „Oj młody, młody“ i „Hypnotyzm“ (1890). Był nadto autorem broszury „Obecna chwila“ (Krak. 1878) i wiersza „Do młodzieży“ (t. t. r.). Złożony od lat kilkunastu ciężką chorobą, nieliczne miał tylko chwile, w których swobodnie mógł pracować. W r. b. udał się do córki swéj hr. Szembekowéj, w W. Ks. Poznańskiém, gdzie choroba jego wzmogła się i nie dała się już zażegnać środkami lekarskiemi. Po długiém pasowaniu się, uległ Fredro śmierci w Siemianicach 15 maja r. b. Zwłoki pochowano w grobach rodzinnych w Rudkach.



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*.—Redaktor *P. Chmielowski*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 24 Мая 1891 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

w kwartale I-szym i II-gim 1891 r.

1. **Przy budowie kolei.** Powieść *Wincentego Kosiakiewicza.* Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1891, 8-o, str. 390.
2. **Z życia księżnéj Kurońskiéj.** Szkic historyczny przez *Kazimierza Puławskiego.* Warszawa, skład gł. w księg. Gebethnera i Wolffa, 1890, 8-o, str. 226.
3. *J. D. Dana* **Podręcznik geologii.** Spolszczył d-r *J. Siemiradzki*, docent ces.-król. wszechnicy we Lwowie. Z 261 drzewor. w tekscie. (Biblioteka przyrodnicza Wszechświata). Warszawa, skład gł. w księg. E. Wendego i S-ki, 1891, 8-o, str. 219.
4. **Regestr złoczyńców** grodu Sanockiego 1554—1638, wydał *Oswald Balzer.* (Materyały historyczne. Wydawnictwo Towarzystwa historycznego we Lwowie. Tom I). Lwów, 1891, 8-o, str. XVI i 264.
5. **O wściekliźnie.** Czy można zabezpieczyć od wścieklizny ludzi, pokąsanych przez psy wściekłe? Napisała *K. B.* Warszawa, druk J. Jeżyńskiego, 1891, 8-o, str. 19 z rys.
6. **O tém, co to jest ospa** i co trzeba robić, aby się od ospy ochronić Napisał d-r *A. P.* Warszawa, druk J. Jeżyńskiego, 1891, 8-o, str. 21 z rys.
7. **Prawdziwa historya** o Szymku parobku i Zofce Pawelcównéj. Napisała *Antoszka.* Warszawa, druk J. Jeżyskiego, 1891, 8-o, str. 35 z rys.
8. *Boirac Emil.* **Zasady filozofii.** Tłómaczył *Adolf Dygasiński.* Warszawa, T. Paprocki i S-ka, zeszyt V ostatni, str. 417—580.
9. **Dziecko** w pierwszym roku życia. Spis wskazówek o postępowaniu z niém. Opracował *Sewer Sterling*, lekarz. Warszawa, skład gł. w księg. T. Paprockiego i S-ki, 1891, w 16-ce, str. 24.
10. **Rocznik** Towarzystwa ogrodniczego za rok 1890 (r. VI-ty). Warszawa. 1891, 8-o, str. 80 i 9.
11. **Sprawozdanie** z czynności Zakładu narodowego imienia Ossolińskich za rok 1890. Lwów, 1890, 8-o, str. 68.
12. **Tajemnice wiedzy,** przez *Emila Desbeaux.* Warszawa, nakł. M. Wołowskiego, 1891, zeszyt I, 4-o, str. 32 z rys., cena zesz. kop. 15 (całość obejmie zesz. 14—20).
13. **Catalogus** codicum manu scriptorum Musei principum Czartoryski Cracoviensis edidit d-r *Josephus Korzeniowski.* Cracoviæ, 1891, 4 to, str. 179—272 (zeszyt III, № 604—728).

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.

TREŚĆ.

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególném uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz spółczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Oboźna, 5.

